

CAKA
PRAWDA

Dan Gemeinhart

BUKOWY LAS

– Widziałem w wiadomościach rodziców Marka, tego zaginionego chłopca.

Niemalże się wzdrygnąłem na dźwięk swojego imienia.

– Wyglądali na przerażonych. I zrozpaczonych. Bardzo im współczułem.

Przełknąłem głośno ślinę, a potem jeszcze raz. Wiedziałem, że powinienem być zasmucony lub zły. Albo jedno, albo drugie. Dokonałem wyboru.

Wbiłem paznokcie w wewnętrzną stronę dłoni i podkułem palce u stóp.

– Na pewno nic mu nie jest – odrzekłem, a mój głos był bezwzględny i wściekły niczym burza na zewnątrz.

– Nic mu nie jest i nie potrzebuje niczyjej pomocy.

Wesley uniósł brwi i ściągnął usta, po czym przekrzywił głowę, lekko wzruszając ramionami.

– Może. A może nie. – Ściszył głos.
– Rzecz w tym, że podali też informację, iż ten chłopiec jest bardzo chory.

Spis treści

Karta tytułowa Karta redakcyjna Rozdział 1 Rozdział 1½ Rozdział 2 Rozdział 2½ Rozdział 3
Rozdział 3½ Rozdział 4 Rozdział 4½ Rozdział 5 Rozdział 5½ Rozdział 6 Rozdział 6½ Rozdział 7
Rozdział 7½ Rozdział 8 Rozdział 8½ Rozdział 9 Rozdział 9½ Rozdział 10 Rozdział 10½
Rozdział 11 Rozdział 11½ Rozdział 12 Rozdział 12½ Rozdział 13 Rozdział 13½ Podziękowania
Okładka

Dan Gemeinhart

CAŁA PRAWDA

przełożyła
Magda Białoń-Chalecka



BUKOWY • LAS

TYTUŁ ORYGINAŁU: *The Honest Truth*

Copyright © 2015 by Dan Gemeinhart
All rights reserved. Wszelkie prawa zastrzeżone.

Published by arrangement with Scholastic Inc., 557 Broadway, New York, NY 10012,
USA

Copyright © for the Polish edition and translation by Wydawnictwo Bukowy Las Sp.
z o.o., 2016

ISBN 978-83-8074-030-3

PROJEKT OKŁADKI: © Helen Crawford-White 2015

REDAKCJA: Renata Otolińska

KOREKTA: Iwona Huchla

REDAKCJA TECHNICZNA: Adam Kolenda

WYDAWCA:

Wydawnictwo Bukowy Las Sp. z o.o.

ul. Sokolnicza 5/76, 53-676 Wrocław

www.bukowylas.pl, e-mail: biuro@bukowylas.pl



WYŁĄCZNY DYSTRYBUTOR:

Firma Księgarska Olesiejuk

Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością Sp.j.

ul. Poznańska 91, 05-850 Ożarów Mazowiecki

tel. 22 721 30 11, fax 22 721 30 01

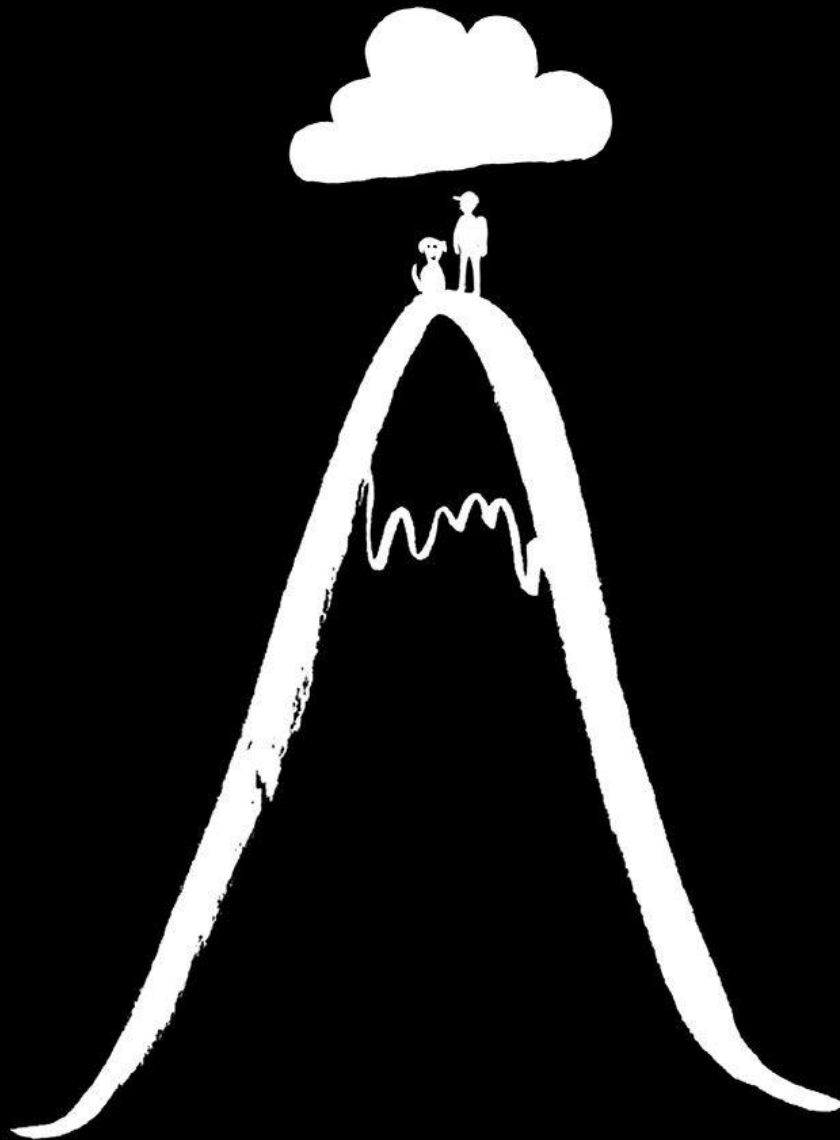
www.olesiejuk.pl, e-mail: fk@olesiejuk.pl

Skład wersji elektronicznej: pan@drewnianyrower.com

*Dla Karen.
Za wszystko i zawsze.*

*I dla Marka.
Góra woła nas!*

Rozdział 1



Do pokonania 423 km

Góra mnie wzywała. Musiałem uciec. Po prostu musiałem.

I nie chciałem, by ktokolwiek wyruszył ze mną.

Zaciągnąłem paski plecaka i przytrzymałem stopą drzwi z siatki.

– Beau, chodź! – zawołałem, a mój głos nawet nie zadrżał. Był mocny jak ja.

Beau wypadł z domu jak strzała, uderzając mnie ogonem po nogach. Zahamował przednimi łapami na ganku, patrząc wesoło swoimi oczami – zielonym i brązowym, z językiem wywieszonym w radosnym uśmiechu. Schyliłem się i podrapałem go za uszami – tam, gdzie lubi najbardziej, i tak, jak tylko ja potrafię.

– Zawsze chętny na spacer, co, kolego?

Sapnął z aprobatą.

– No dobra – westchnąłem, schylając się po torbę podróżną. – Czekaj cię wielka przygoda.

– Spojrzałem w stronę horyzontu na majaczące w oddali białe szczyty gór. – Najdłuższy spacer w życiu. Taka prawda.

Zatrzasnąłem za sobą drzwi i nie obejrzałem się ani razu. Nawet nie sprawdziłem, czy wziąłem klucz. Nie zamierzałem tu już nigdy wracać.

Całe dziesięć minut do dworca Beau szedł grzecznie przy mojej nodze. Aparat fotograficzny, który powiesiłem na szyi, kołysał się i obijał o mój brzuch. Gdy w końcu dostrzegłem stację, dałem nurka w zaułek za rogiem i przykucnąłem, bo ze zdenerwowania trochę brakowało mi tchu.

– Dobra, piesku, robimy teraz tak, jak ćwiczyliśmy. – Rozsunąłem zamek torby i otworzyłem ją zapraszająco. Była prawie pusta. Klepnąłem w jej dno, by zachęcić psa. – No, Beau, włącz do środka.

Beau wskoczył do torby, okręcił się kilka razy i położył. Uniósł na mnie wzrok.

– Dobry piesek – pochwaliłem go szeptem, a on spróbował w torbie zamachać ogonem. Wyłowiłem z kieszeni psie ciasteczko, które natychmiast pochłonął w całości z głośnym mlaśnięciem.

Zasunąłem zamek prawie do końca, a Beau zniknął w ciemnym wnętrzu. Gdy wstałem, ciężar psa przygiął mnie do ziemi. Chwyciłem mocniej uszy torby.

– Super, że nie jesteś bernardynem – zwróciłem się do niego szeptem, po czym wyszedłem zza rogu i skierowałem się do kasy biletowej.

Mężczyzna w okienku spojrzał na mnie znad gazety, którą czytał. Poprawiłem jaskrawoczerwoną czapkę bejsbolową i odchrząknąłem.

– Poproszę dwa bilety – powiedziałem.

– Na pociąg czy na autobus?

– Na autobus do Spokane.

– Podróżujesz sam?

Słowo „sam” zabrzmiało niczym pęknięty dzwon. Nerwowo oblizałem wargi.

– Tato poszedł do ubikacji – wyjaśniłem. – Dał mi pieniądze na bilety.

Kasjer skinął głową i ziewnął. Ludzie są leniwi – i na to właśnie liczyłem.

– W porządku. Jeden dorosły i jeden ulgowy, z Wenatchee do Spokane. Razem czterdzieści cztery dolary.

Wyjąłem pieniądze z kieszeni niebieskiej kurtki i podałem mężczyźnie.

– Autobus odjeżdża stamtąd za dziesięć minut.

Zabrałem bilety i poszedłem we wskazanym kierunku. Przy krawężniku czekało kilka autobusów, a jeden z nich rzeczywiście był opatrzony napisem „Spokane”. Obejrzałem się przez ramię. Kasjer znów wlepił wzrok w gazetę. Minąłem autobus i skręciłem za róg budynku prosto

na peron kolejowy.

Gdy planowałem swoją eskapadę, zauważyłem tam małą wiatę z ławkami. Za nią znajdował się przypięty łańcuchem kubeł na śmieci, prawie niewidoczny. Stałem szybko koło niego, rozejrzałem się, czy nikt mnie nie widzi, zdjąłem niebieską kurtkę i wyrzuciłem ją do śmieci. Za nią poleciała czerwona czapeczka i dwa bilety autobusowe. Wyjąłem z plecaka ciemnozieloną wełnianą czapkę i naciągnąłem ją na głowę.

Już odwróciłem się, by odejść, ale poczułem wybrzuszenie w kieszeni bluzy. Wziąłem drżący wdech i wyciągnąłem z niej staromodny srebrny zegarek kieszonkowy z okrągłą szklaną tarczą. Prezent od nieżyjącego już dziadka. Czuję, jak tyka w mojej dłoni. Mocno przygryzłem wargę. Tik-tak, tik-tak. Mijający czas.

Nie ogarniam tego: dlaczego ludzie chcą nosić przy sobie coś, co im przypomina, że życie cały czas ucieka?

Cisnąłem zegarkiem o chodnik najmocniej, jak umiałem. Uderzył w beton i szkiełko pękło, ale się nie rozbiło. Zacisnąłem zęby i nastąpiłem na niego tak zapamiętałe, że aż zabolą mnie stopa. Szybka pokruszyła się, więc znów na niego nadepnąłem i wskazówki się wygięły. Miażdżyłem zegarek nogą wielokrotnie.

Właśnie znów uniosłem stopę, gdy w torbie zapiszczał Beau. Płuca mnie paliły, oddychałem szybko i ciężko, pojawiły się mdłości. Poczujęm w głowie początki ćmiącego bólu. Beau znów pisnął.

– Spokojnie, Beau – wysapałem i opuściłem nogę. Schyliłem się, by wyrzucić srebrne szczątki do śmietnika, ale coś mnie powstrzymało. Spojrzałem na kubeł, a potem na zniszczony zegarek. Gdy się prostowałem, zawieszony na szyi aparat uderzył o mój brzuch. Uniosłem go do oka i sfotografowałem kawałki rozbitego zegarka rozrzucone po chodniku. Potem przesunąłem je stopą za śmietnik.

Za rogiem ujrzałem stojący pociąg. Był lśniący, srebrny i dudnił jak zabutelkowane trzęsienie ziemi. Pogrzebałem w kieszeni szarej bluzy z kapturem i wyłowiłem bilet kolejowy, który kupiłem przez Internet poprzedniego wieczoru, płacąc kartą kredytową zabraną z portfela mamy. Żołądek opadł mi do pięt.

– Jedziesz do Seattle? – zapytała konduktorka, sprawdzając bilet. Skinąłem głową i zacząłem wsiadać. Nie chciałem, by mnie zapamiętała. – Całkiem sam? Pomóc ci z torbą?

Pohamowałem się, by nie spojrzeć na nią ze złością.

– Nie – odrzekłem, nie podnosząc wzroku, po czym wspiąłem się po schodach do wagonu, choć nogi i ręce piekły mnie od ciężaru Beau.

Pociąg był prawie zupełnie pusty, więc zająłem miejsce w rzędzie na końcu wagonu. Przez duże okno widziałem Wenatchee – dom, który opuszczałem. Niebo ciemniało. Niskie budynki i magazyny wzdłuż torów rzucały długie cienie. Napływały czarne i ciężkie chmury. Zbliżała się burza, a z nią noc.

Gdzieś tam, w tym ciemnym miasteczku, była Jessie, moja najlepsza przyjaciółka. A także mama i tato. Oczami wyobraźni widziałem ich twarze. Nie mieli pojęcia, że wyjeżdżam. Nie mieli pojęcia, dokąd się udaję. Nie będą mogli mnie znaleźć. Nie będą w stanie mi pomóc.

Gwałtownie zamrugałem i potrząsnąłem głową.

– Nie potrzebuję ich – szepnąłem, wpatrując się zmrużonymi oczami w miasto i jego cienie. – Nikogo nie potrzebuję.

Może i była to prawda, ale nie spodobało mi się, że moje słowa zabrzmiały jak lament, a nie jak wyraz siły. Dotknąłem zimnej szyby palcami, patrząc w stronę pustego domu, do którego za jakiś czas wrócą rodzice.

– Przepraszam – powiedziałem łagodniej. – Przepraszam.

Z zewnętrznej kieszeni plecaka wyjąłem notes i pióro. Przerzuciłem kartki zapisane zadaniami domowymi i innymi bazgrołami aż do pierwszej czystej strony, a potem się zadumałem. Grzebałem po omacku w myślach, próbując odnaleźć słowa właściwe dla tej chwili. W końcu pojawił się pomysł, nieśmiały i niewyraźny. Pokiwałem głową. Kilka razy policzyłem na palcach, bezgłośnie wypowiadając słowa, a później je zanotowałem.

Na zewnątrz usłyszałem wołanie:

– Proszę wsiadać!

I zgrzytliwy dźwięk zamykających się metalowych drzwi.

Spojrzałem na wiersz zapisany na kartce. Trzy linijki.

Sam opuszczam dom.

Nowa podróż, nowy cel.

Góra woła mnie.

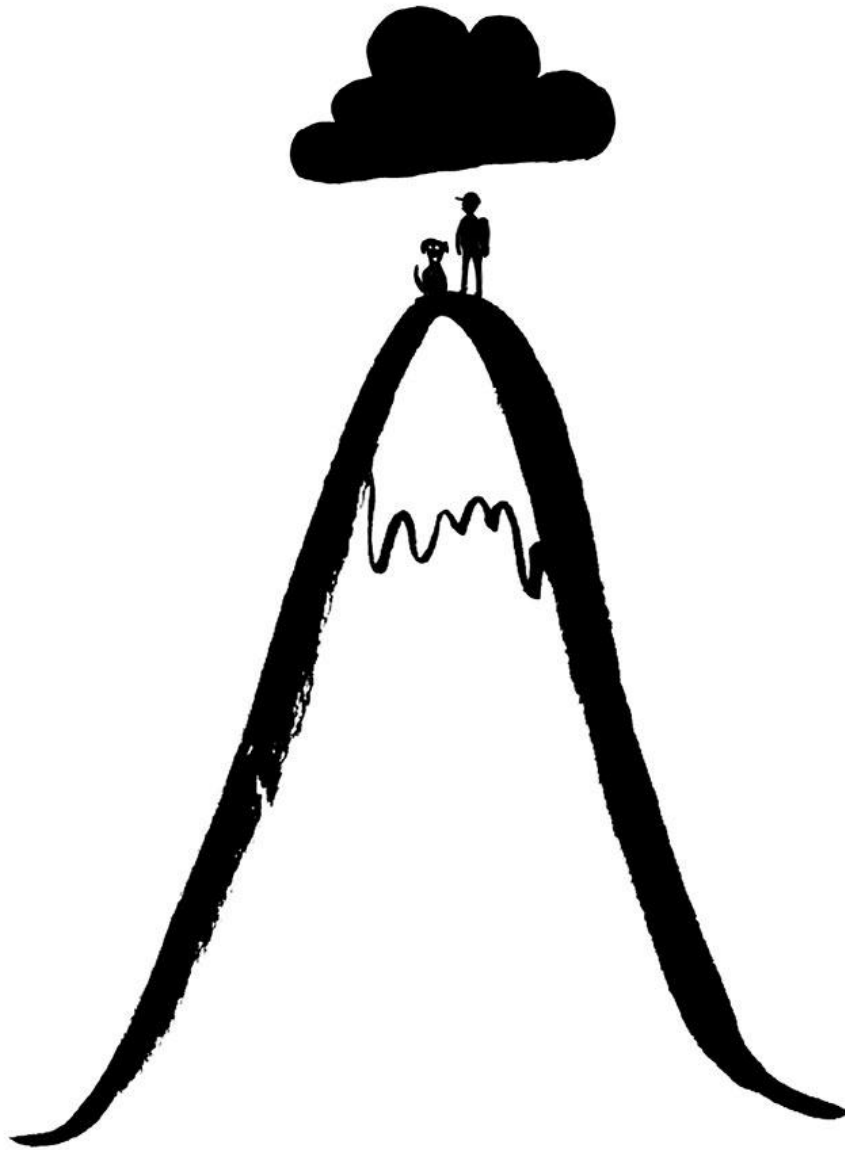
Wsunąłem dłoń do torby leżącej na siedzeniu obok i dotknąłem głowy Beau. Polizał mnie po palcach. Język miał wilgotny, oddech ciepły, a sierść miękką w dotyku. Był moim przyjacielem. Podrapałem go za uszami, powstrzymując płacz. Usilnie próbowałem pamiętać o tym, że się nie boję. Nie boję się tak wielu rzeczy.

Oparłem głowę o siedzenie, starając się myśleć tylko o górach.

Za parę godzin mama wróci do domu.

Trochę później zacznie mnie szukać policja.

Rozdział 1½



*Głos jej drżał jak liść,
Ostatni liść na drzewie,
Który nie chce spaść.*

– Jessie, kochanie, czy Mark jest z tobą? Przyszedł może do ciebie?

Jessica Rodriguez pokręciła głową do słuchawki, po czym zreflektowała się i powiedziała:

– Eee, nie. Nie widziałam go od szkoły. Coś się stało?

– Och – odrzekła mama Marka, próbując się pogodnie zaśmiać, ale zabrzmiało to tak, jakby się dławiła. – Zapewne nic takiego. Zdziwiłam się tylko, że wyszedł. I dom był taki ciemny... – Umilkła. – Nie ma też Beau. Daj mi znać, gdyby Mark się u ciebie pojawił, dobrze?

Ale Mark się nie pojawił.

Policja zazwyczaj nie podejmuje działań, jeśli dzieciaka nie ma dopiero od kilku godzin. Lecz gdy mama opowiedziała policjantom trochę o chłopcu, zaczęli słuchać uważniej. A kiedy przekazała im, czego się ostatnio dowiedziała od lekarzy, okazali jeszcze większe zainteresowanie. Gdy znaleźli liścik, który chłopiec zostawił, byli już do głębi przejęci.

Zatem kilka minut po siódmej dwa radiowozy wjechały z piskiem opon na parking przed dworcem autobusowym i stacją kolejową. Nie było żadnych podstaw do podejrzeń, że Mark udał się właśnie tam, poza faktem, że wszystko wskazywało na ucieczkę, a dziecko mogło uciec z Wenatchee tylko pociągiem albo autobusem. Jeden policjant wyskoczył z auta i podbiegł do autobusu czekającego na odjazd na południe, do Oregonu. Przyjrzał się siedzącym w nim pasażerom, szukając samotnego dziecka. Chudego chłopca o bladej cerze, w czapce na głowie.

Nie zauważył nikogo takiego.

Drugi oficer pospieszył do kasy i zapukał w okienko. Siedział tam znudzony mężczyzna, który czytał jakieś czasopismo. Znudzenie trochę mu przeszło, gdy dojrzał, że pukający to policjant.

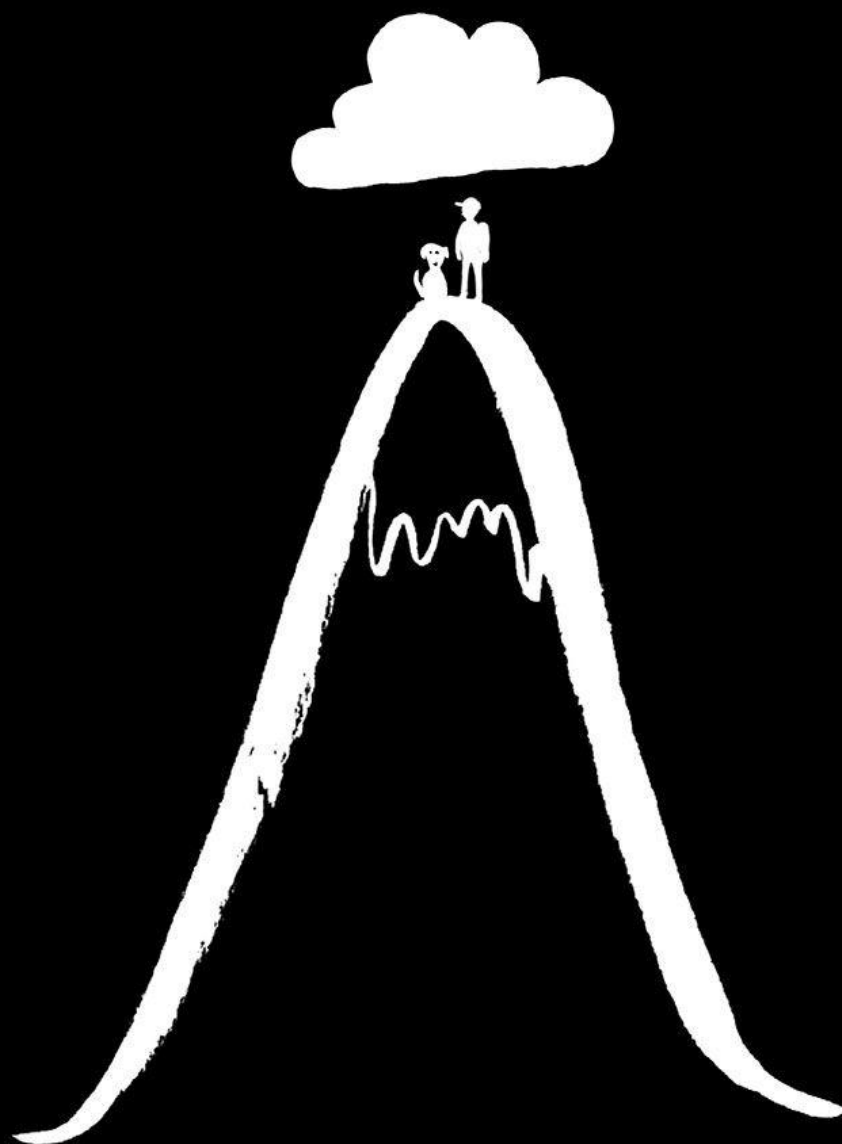
Gliniarz zadał mu kilka pytań szybkim, ostrym tonem. Kasjer oblizał usta, podrapał się po podbródku i odpowiedział. Policjant skinął głową i wrócił do radiowozu, gdzie spotkał tego drugiego, który sprawdzał autobus. Otworzył drzwi i sięgnął po radio.

Mamy go – mówi.

Ma czerwoną czapeczkę.

Jedzie do Spokane.

Rozdział 2



Do pokonania 185 km

Wysiadłem z pociągu około dziewiątej. Znalazłem się zupełnie sam w Seattle i musiałem przetrwać tam całą ciemną noc. Lało jak z cebra.

Gdy tylko wyszedłem z dworca, postawiłem torbę na ziemi i rozpiąłem zamek. Beau wyskoczył ze środka, stukając pazurami po mokrym chodniku. Machał ogonem tak radośnie, że skręcał mu się cały zadek.

– Czeka nas długa noc, Beauchamp. – Podrapałem go za uszami i poklepałem po boku. – Nasz autobus odjeżdża dopiero jutro, więc będziemy musieli jakoś zabić czas.

Zarzuciłem plecak na ramię. Beau biegał dookoła drobnym truchtem, chłonąc zapachy obcego miejsca i obsikując, co tylko się dało. Po chwili ruszyliśmy przed siebie.

Miasto tonęło w mroku. Wyobrażałem sobie, że będą tu kolorowe neony, oświetlone budynki, mnóstwo samochodów i tłumy przechodniów. Tymczasem dworzec kolejowy w Seattle znajdował się wśród pustych hal magazynowych i opuszczonych domów. Większość lamp ulicznych nie działała, a jedyni ludzie, których widziałem, wyglądali na bezdomnych. Kulili się w zaułkach lub kaszleli gdzieś w mrocznych alejkach. Beau powarkiwał na nich i szedł blisko mojej nogi. Wokół czuć było zapach starych samochodów i śmieci.

W ciągu godziny minęło mnie tylko kilka aut. Gdy dostrzegłem błysk reflektorów lub słyszałem szum opon na ulicy, dawałem nura w najgłębszy cień i wstrzymywałem oddech. Chwytałem Beau mocno za obrożę i szeptałem mu uspokajająco do ucha. Przecież policja już mogła mnie szukać.

Kiedy mijaliśmy duży kontener na śmieci, w mroku za nim rozległ się zgrzytliwy łomot. Głośny, metaliczny łoskot, jakby ktoś przewrócił kubel. Wrzasnąłem i podskoczyłem, a serce zaczęło mi walić jak młotem. Niemalże wypuściłem torbę z rąk. Beau szczeknął, jeżąc grzbiet. Gotów byłem rzucić się do ucieczki, ale uświadomiłem sobie, że nie mam d o k a d uciekać. W ciemnościach rozległ się szelest, jakby ktoś lub coś próbowało wstać, a potem szuranie. Beau zawarczał, głucho i nisko, po czym cofnął się, nie spuszczając wzroku z miejsca, z którego dobiegał hałas. Poszliśmy dalej, przyspieszając kroku. Po chwili obejrzałem się przez ramię i Beau też zerknął w tył. Ale cokolwiek to było, nie wynurzyło się z cienia.

Z każdą kolejną przecznicą moje nogi drżały coraz bardziej. W brzuchu mi się przewracało i miałem ślinotok. Ból w głowie narastał, a paski plecaka wrzynały mi się w ramiona. Byłem bardzo zmęczony. Musiałem odpocząć i spróbować coś zjeść.

Beau już nie machał ogonem. Obracał nerwowo głowę, węsząc w stronę niepokojących dźwięków i wpatrując się w mroczne cienie. Z jego gardła cały czas dochodziło głuche powarkiwanie. Wydawało się, że zagrożenie czai się wszędzie.

W końcu ujrzałem przed sobą rozświetlone okna całodobowego baru. Był to obskurny lokal w rodzaju tych, co to mają plastikowe tace na stołach i cały dzień serwują śniadania. Dotknąłem małego zwitka pieniędzy w kieszeni spodni – nie było tego zbyt wiele, ale powinno wystarczyć.

Położyłem torbę na ziemi i rozsunąłem zamek.

– Wskakuj, kolego – rzuciłem, poklepując wnętrze torby. Beau położył uszy po sobie i zmarszczył psie brwi. Zaskomlał, po czym pomachał nisko zwieszonym ogonem. – Wiem – zapewnilem go. – To okropne. Ale za to załatwię ci trochę bekonu.

Na tę wieść nastawił uszu. Przesząpił kilka razy z łapy na łapę, a potem wszedł do torby i zwinął się w kłębek. Nim ją zapiąłem, podrapałem go po głowie.

Ręce miałem tak zmęczone, że nie umiałem zacisnąć dłoni w pięść, ale udało mi się jakoś

dźwignąć torbę. Rozejrzałem się po ciemnej ulicy i wszedłem do baru.

Poczułem stary dym papierosowy, zapach kawy i smażonych jajek. Na ekranie telewizora zawieszzonego w rogu migotały obrazy, ale dźwięk był wyłączony. Slinka napłynęła mi do ust, a żołądek się przebudził. Większość stolików była pusta, tylko starsza para w narożnym boksie zapamiętała pochłaniała posiłek, nie odzywając się do siebie, a przy kontuarze siedział samotny mężczyzna z brodą i długimi włosami zebranymi w koński ogon. Wyglądał na bezdomnego. Kelnerka stała oparta o ladę i oglądała telewizję, żując gumę. Wszyscy sprawiali wrażenie zmęczonych i nieszczęśliwych. Kobieta zmierzyła mnie wzrokiem.

– Sam jesteś? – zapytała głosem szorstkim i schrypniętym. Pokiwałem głową. – Siadaj, gdzie chcesz, słonko.

Postawiłem torbę z Beau na siedzeniu w boksie i wsunąłem się na miejsce obok. Jedną dłoń położyłem na grzbiecie psa, żeby go uspokoić, a drugą otworzyłem plastikowe menu. Plecak oparłem o nogę pod stołem. Nie czułem się bezpiecznie w tym mieście i byłem tak wyczerpany, że litery rozmazywały mi się przed oczami.

– Jest już prawie jedenasta. – Głos kelnerki tuż obok mojego ucha przeraził mnie tak, że aż podskoczyłem. Spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Pod grubą warstwą makijażu zauważyłem fiolet podbitego oka. Jej usta cały czas poruszały się w rytmie żucia gumy. Zamrugałem gwałtownie i skinąłem głową.

Żucie ustało.

– No i? – Uniosła brwi i schyliła głowę, by lepiej mi się przyjrzeć. – Co robisz tu sam o tak późnej porze?

Mój umysł gorączkowo szukał jakiegoś gładkiego kłamstwa, ale był zbyt zmęczony. Wszystko mu się wymykało z rąk.

– Ja... nie jestem sam. Mój tato poszedł... hm, tam. – Kiwnąłem głową w kierunku okna. Kelnerka wyjrzała na ulicę. Kawalek dalek jaśniał neon.

– Do Barneya? – Przewróciła oczami i pokręciła głową. – Jedenasta w nocy, facet siedzi w knajpie, a dzieciak musi jeść w barze. Jak słodko! Zupełnie jak mój stary. – Spojrzała na mnie, a jej wzrok złagodniał. Znów zaczęła żuć. – Co masz ochotę przekąsić, słonko?

– Proszę tosta. I jajecznicę. – Przypomniał mi się Beau leżący pod moją dłonią w ciemnościach torby. – I dodatkowy bekon.

Kąciki ust kelnerki wygięły się na sekundę w grymasie, który chyba miał być uśmiechem.

– Mówisz, masz.

Żołądek miałem pusty i burczało w nim głośno, ale jak zwykle nie czułem właściwie głodu. Do tego ból głowy narastał, rozsadzając czaszkę. Przez chwilę mrużyłem oczy w nadziei, że trochę zelżeje, ale w końcu sięgnąłem do kieszeni kurtki. Moje palce zamknęły się na plastikowej buteleczce z lekami. Choć bardzo tego nie chciałem, wyjąłem ją, otworzyłem i wytrząsałem trzy pigułki na dłoń. Popiłem wszystkie naraz łykiem lodowatej wody. Robiłem to jak zawodowiec, bo wiedziałem, że trochę złagodzą ból głowy.

Ale nienawidziłem ich z całego serca.

Wsunąłem rękę do torby, by pogłaskać Beau, a on polizał mnie po dłoni ciepłym, miękkim językiem. Ależ grzeczny psiak – zamknięty w torbie podróźnej z pustym brzuchem wśród zapachów jedzenia, a liże mnie po ręce. Nieproszone łzy zapiekły mnie pod powiekami. Miłość Beau jakoś poruszyła cały uśpiony smutek. Zagryzłem wargę i wyjrzałem przez okno w ciemność, próbując sobie przypomnieć, kiedy ostatnio byłem szczęśliwy.

Musiałem się cofnąć dość daleko w czasie. Wszystkie wspomnienia od wielu lat były naznaczone, nawet te dobre. Musiałem wrócić do czasów sprzed diagnozy.

Działo się to w wakacje siedem lat temu. Byłem wówczas pięcioletkiem.

Bawiliśmy się z Jess w ogrodzie za naszym domem. Beau był szczeniakiem: małym, hałaśliwym, potykającym się o własne łapy.

Czułem się dobrze. Nie bolała mnie głowa ani nic innego.

Zabawa polegała na przebieganiu przez wodę rozpylaną przez spryskiwacz. Cały świat składał się z zielonej trawy, niebieskiego nieba i ramion gorących od słońca. Nie potrzebowaliśmy specjalnych powodów do śmiechu.

Małe dzieci są takie niemądre. Nic jeszcze nie wiedzą. Taka to prawda.

Moja mama siedziała na ganku, sącząc lemoniadę i obserwując nas z rozbawieniem. Ciekawe, czy to jest też jej ostatnie szczęśliwe wspomnienie.

W końcu padliśmy na trawę, żeby odsapnąć. Śmialiśmy się i obserwowaliśmy chmury. Porównywaliśmy swoje pępki. Ja miałem wystający i jasny, a Jess wklęsły, małeńki krater w brązowym jak masło orzechowe brzuchu. Beau ułożył się między nami, wypełniając nasze nozdrza zapachem mokrych psich kudłów.

– Wiesz co? – odezwała się Jess, opierając się na łokciu. – Beau jest jakby naszym połączeniem.

Zachichotałem.

– Nie, serio. Zobacz. – Zanurzyła palce w jego sierści. – Ma dwa kolory. Brązowy jak twoje włosy i czarny jak moje.

– Fakt – zgodziłem się, bo jeszcze wtedy miałem szopę brązowych włosów. Siedząc w barze, wsunąłem dłoń pod czapkę, żeby dotknąć głowy.

– No i oczy – mówiła dalej Jess. – Jedno zielone – powiedziała, prawie wkładając w nie palec z obgryzionym paznokciem. Beau zmrużył powieki i odwrócił łeb w drugą stronę, uchylając się przed jej dotykiem. – Jak twoje. A drugie brązowe – dokończyła, usiłując wskazać drugie oko psa – jak moje.

Spodobał mi się ten pomysł. Nawet bardzo. Tak bardzo, że zaśmiałem się głośno.

– Jest taki jak my oboje – powiedziałem z promiennym uśmiechem. – Razem.

Lecz w tym momencie zadzwonił telefon, a mama zerwała się, by go odebrać. Zrobiła to naprawdę szybko.

Obserwowałem, jak wchodzi do domu. Widziałem, jak podnosi słuchawkę i przykłada do ucha. Spojrzałem na swój pępek i lśniący kryształ zebranej w nim wody.

– Myślisz, że to dzwoni moja *mamá*? – zapytała Jess, siadając prosto.

– Nie – odrzekłem, nadal wpatrując się w pępek. Wyciągnąłem rękę i pogłaskałem mojego nowego szczeniaczka, a potem podrapałem go za uszami i pod brodą. Uszczęśliwiony zamknął oczy. Wyglądało na to, że bardzo lubi drapanie za uszami. Był moim własnym psem.

Boże, już wtedy tak bardzo go kochałem.

Kątem oka dostrzegłem, że Jess sztywnieje.

– Hej – powiedziała – dlaczego twoja mama płacze?

I wtedy właśnie skończyło się szczęśliwe wspomnienie.

Pomyślałem, że Jessie pewnie siedzi w domu i już o wszystkim wie. Zapewne domyśliła się, dokąd zmierzam. I dlaczego. Z jakiegoś powodu poczułem się przez to lepiej, jakbyśmy z Beau nie byli tak całkiem samotni. Wyobraziłem sobie jej brązowe oczy, poważne i spokojne, którymi potrafiła zajrzeć mi wprost do wnętrza, sprawiając, że czułem się lepiej. Zamknąłem na chwilę powieki, próbując ją przywołać.

I proszę, była ze mną. Uśmiechnąłem się lekko do siebie. Właśnie tak wyglądała nasza przyjaźń. Byliśmy sobie tak bliscy, że tak naprawdę nigdy się nie rozdzielaliśmy.

Wyjąłem z plecaka zeszyt i zacząłem pisać, nawet się nie zastanawiając, przerwałem tylko na chwilę, by dla pewności policzyć sylaby.

*Choć przyjaciel jest
daleko stąd, to trzyma
Mnie za rękę wciąż.*

Przeczytałem wierszyk jeszcze raz i skinąłem głową. Wszystko się zgadzało. Myśl o Jess poprawiła mi nastrój, ale nie potrafiłem się pozbyć wspomnienia płaczącej mamy. Wiedziałem, że teraz też pewnie płacze. Może tato również. Zbyt często widywałem, jak płaczą. Taka to prawda. Odetchnąłem z drzeniem i zacisnąłem zęby, wymazując twarze rodziców z umysłu. Myślenie o nich mi nie pomoże.

Kelnerka wyszła z kuchni, niosąc tacę z jedzeniem.

– Przykro mi, Willy, to nie dla ciebie – oznajmiła wyglądającemu na bezdomnego facetowi przy ladzie. – Earl mówi, że musisz mieć kasę na jedzenie. Masz szczęście, że daje ci kawę za darmo.

Podeszła do mojego stolika.

– Proszę, słonko. – Postawiła przede mną talerz. Jajka w niczym nie przypominały tych robionych przez mamę. I tost też nie miał obciętej skórki, tak jak ona to robiła. – Zdejmiesz czapkę i posiedzisz chwilę u nas?

Uniosłem wzrok na nią i jej wiecznie przeżuujące usta. Miałem ochotę wyciągnąć jej tę gumę z buzi i cisnąć ją na drugą stronę sali.

– Nie.

Wzruszyła ramionami.

– Jak tam sobie chcesz, słonko – odpowiedziała, ciągle żując, i odeszła.

Szybko rozejrzałem się wokół, chwyciłem bekon i wsunąłem go do torby. Wyglodniały Beau wyjadł mi go łapczywie z ręki. Zakaszlałem, żeby zagłuszyć odgłos mlaskania.

Pochłonąłem oba kawałki tostu i nadal czułem się dobrze. Przyjrzałem się płynnym jajkom, wmawiając sobie, że wyglądają smacznie. Musiałem coś zjeść.

Pierwszy gumiaasty kęs stanął mi w gardle, ale go przełknąłem. Drugi wszedł już łatwiej, za to mój żołądek zaczął się skręcać i protestować. Mozoliłem się właśnie nad trzecim kęsem, gdy spojrzałem na ekran telewizora.

Na górze widniał napis: „Wiadomość z ostatniej chwili”, a pod spodem znajdowała się mapa stanu Waszyngton z czerwoną migającą kropką podpisaną „Wenatchee”, skąd uciekłem.

U dołu pojawiła się wypisana jaskrawożółtymi literami informacja: „Zaginęło dziecko”.

Zamarłem w pół kęsa. Mój żołądek zacisnął się jak gotowa do ciosu pięść.

Na mapie zamigotała kręta linia. Wiła się jak wąż od Wanatchee do kolejnej czerwonej kropki podpisanej: „Spokane”. Cień uśmiechu zadrżał w kącikach moich warg. Podstęp się udał.

Jednak mina mi zrzędnęła na widok kolejnej planszy. U dołu widniał numer telefonu, natomiast na środku, zajmując niemal cały ekran, pojawiło się moje zdjęcie. To była szkolna fotka – miałem na głowie czerwoną czapeczkę i szczyrzyłem się jak głupi. Nienawidziłem tego zdjęcia.

Obrzuciłem wzrokiem pozostałych klientów baru. Nikt nie patrzył na ekran. Spróbowałem jednak połknąć jajecznicę, ale utknęła mi w przełyku i zebrało mi się na wymioty. Nerwowo przenosiłem spojrzenie z telewizora na gości baru. Nie podnoście wzroku, modliłem się. Moja własna uśmiechnięta twarz na ekranie szydziła ze mnie. Wydawało mi się, że mówi: „Nie uciekniesz!”. Ignorowałem ją, czekając, aż wreszcie zniknie.

– No szybciej, szybciej – szeptałem. Jak długo mogą pokazywać to zdjęcie? Naprawdę nie dzieje się nic ciekawszego niż ucieczka jakiegoś durnego dzieciaka?

Kelnerka wyszła z kuchni przez wahadłowe drzwi z dzbankiem kawy w ręce. Wciąż mlaskając, podeszła do kontuaru. Stała twarzą do ekranu i mojej kretyńskiej szkolnej foty, a ja wstrzymałem oddech. Po chwili obeszła kontuar, odstawiła dzbanek i zaczęła przeliczać pieniądze wyjęte z kieszeni fartuszka. Telewizor miała tuż nad głową. Siedziałem jak skamieniały, ledwo oddychając, z otwartymi ustami i żołądkiem rzucającym się niczym ryba na dnie łodzi.

Kelnerka oderwała wzrok od pieniędzy i spojrzała na mnie. Nic nie mogłem na to poradzić – moje oczy natychmiast powędrowały na zdjęcie za jej plecami. Przestała żuć i odwróciła głowę. Żołądek opadł mi do pięt.

Jednak zanim zdążyła się całkiem odwrócić, zdjęcie znów zastąpiła mapa. Na ekranie nadal widniał napis „Zaginęło dziecko”, ale moja twarz zniknęła. Ścisnąc w dłoni pusty widelec, wpatrywałem się bez tchu w tył głowy kobiety: czy obraz się zmienił, zanim zobaczyła fotografię?

Kelnerka spojrzała na mnie i uniosła brwi, po czym odłożyła pieniądze i podeszła do mojego stolika, znów przeżuując. Położyła dłoń na biodrze.

– Zaginęło dziecko, co? – Schyliła się trochę i ściszyła głos. – Powiedz prawdę, słonko, wystraszyłeś się? – Uniosłem na nią wzrok, nadal z otwartymi ustami, niezdolny do wydobycia z siebie głosu. Wszystkie moje plany pójdą z dymem już pierwszego wieczoru nad talerzem glutowatych jajek. – Nie bój się – ciągnęła. – Na świecie jest więcej dobrych ludzi niż złych, możesz mi wierzyć. Na pewno je znajdą. – Puściła do mnie oko, a ja rozpaczliwie usiłowałem się uśmiechnąć.

Nie widziała zdjęcia.

– Wiem, że ci ciężko – dodała, wskazując wzrokiem na neon za oknem. – Tatusiek ma cię w nosie. – Poklepała mnie po dłoni. – Sam nie wie, co traci, słonko. Poradzisz sobie, jestem pewna. Mój ojciec też był nicponiem, a ja wyszłam na ludzi.

Odwróciła się i oddaliła w stronę kasy, a ja w końcu znów zacząłem oddychać. Nic nie podejrzewała. Potrząsnąłem głową i z drżeniem wciągnąłem powietrze do płuc. Ludzie potrafią być tacy ślepi. Taka to prawda.

Na ekranie nadal widniał numer telefonu. Chwyciłem długopis i zapisałem go na serwetce, którą wsunąłem do kieszeni. Zauważyłem, że na mapie zaszły zmiany. Teraz przy Spokane migotał znak zapytania. Na faliście czerwonej linii między Wenatchee i Spokane pojawiły się trzy kolejne czerwone kropki, oznaczone nazwami Quincy, Moses Lake oraz Ritzville. Oczywiście. Autobus dotarł już do Spokane, a ponieważ mnie w nim nie było, doszli do wniosku, że wysiadłem gdzieś po drodze. Nadal nie trafili na mój ślad.

Gdy zamykałem notes, dopadły mnie mdłości: zielona wzbierająca fala wymiotów, zaczynająca się głęboko w brzuchu i podchodząca do gardła. Chwyciłem się krawędzi stolika obiema rękami, próbując powstrzymać słabość.

Bezskutecznie. Zbyt dobrze znałem to uczucie. Najpierw poczułem w ustach suchość, potem ślinotok, a na koniec okropny kwaśny smak. Zerwałem się z miejsca i pognałem do ubikacji. Widziałem, że kelnerka obserwuje mnie z drugiej strony baru.

Ledwie zdążyłem. Klęknąłem przed muszlą w tej samej chwili, w której tost i jajka podeszły mi do gardła. Starąłem się zachowywać cicho, ale pewnych rzeczy nie da się kontrolować. Mój żołądek się zbuntował i w efekcie wyrzuciłem z siebie wszystko, co udało mi się zjeść. Łzy napłynęły mi do oczu, a ręce zaczęły się trząść. Podłoga była brudna i ubikacja wyglądała odrażająco, jeszcze zanim przyszedłem, a teraz wcale nie zrobiło się w niej przyjemniej. Między falami wymiotów plułem i próbowałem oddychać przez usta, czytając wszystkie brzydkie słowa wydrapane na obłazających metalowych ściankach kabiny. Pomyślałem,

że to paskudna ironia, iż głodny Willy siedzi przy barze, a ja marnuję tu całą kolację.

Życie jest podłe. Taka to prawda. Nie ogarniam tego: dlaczego wszyscy zawsze próbują udawać, że jest inaczej?

Przeplukałem usta nad umywalką i pospiesznie wróciłem do stolika. Dzięki Bogu, Beau siedział grzecznie w torbie, bo bałem się, że będzie próbował się wydostać, by mnie szukać. Szybko poskrobałem go za uszami i właśnie zasuwalem znów zamek, gdy nade mną stanęła kelnerka.

– Wszystko gra, słonko? Masz ochotę na seven-upa albo coś innego? – Głos miała ciepły i zmartwiony, niemalże matczyzny. Rozzłościło mnie to jeszcze bardziej.

– Nie – zaprzeczyłem, nie patrząc na nią. – Chcę zapłacić.

Sięgnąłem do kieszeni i wyjąłem zwitek banknotów.

– Jesteś pewien? Mogę przynieść ci jeszcze tost albo pójść po tatę, albo...

– Nic mi nie jest – warknąłem i tym razem spojrziałem na nią, ze złości marszcząc brwi. Szeroko otworzyła oczy ze zdumienia. – Tato dał mi pieniądze na jedzenie. Proszę powiedzieć, ile mam zapłacić, żebym mógł już pójść.

– Wiesz co, słonko, nie zwracaj sobie tym głowy. Zatrzymaj kasę, a ja nic nie powiem tacie. Może przyda ci się ona później.

– Nie potrzebuję pomocy, dam sobie radę. Chcę tylko zapłacić i pójść. Proszę powiedzieć, ile jestem winien. – Nie zamierzałem zwracać się do tej kobiety z taką irytacją, ale w żołądku mi bulgotało, nogi miałem miękkie, zapach kawy i bekonu przyprawiał mnie o mdłości, a Beau już zdecydowanie za długo musiał tkwić w torbie. Marzyłem o tym, by wyjść w ciemność, przytulić psa i czuć tylko zapach jego sierści. Chciałem też uciec od telewizora.

Kelnerka kilka razy przeżuła gumę, a potem skinęła głową.

– Należy się osiem dolców.

Wyłuskałem dychę oraz piątkę ze zwitka i rzuciłem banknoty na stół.

– To za mnie i za to, czego będzie chciał Willy – wyjaśniłem.

Świat znów zaczynał wirować, a smak wymiocin w ustach nie poprawiał mojego samopoczucia. Wcisnąłem notes i pióro do plecaka, zarzuciłem go na plecy, chwyciłem torbę z Beau i przecisnąłem się obok kobiety. Przelykałem szybko ślinę i oddychałem płytko przez zęby, żeby znów nie zwymiotować.

Kelnerka odprowadziła mnie do drzwi.

– Masz w sobie dużo złości – powiedziała do moich pleców – ale może nie bez powodu.

– Może – odrzekłem, a drzwi zatrasnęły się za mną.

Zimne powietrze na zewnątrz rozjaśniło mi umysł. Żołądek zaczął się uspokajać, choć nadal byłem wściekły. Na telewizję. Na swój brzuch. Na kelnerkę. Nawet nie wiedziałem dlaczego.

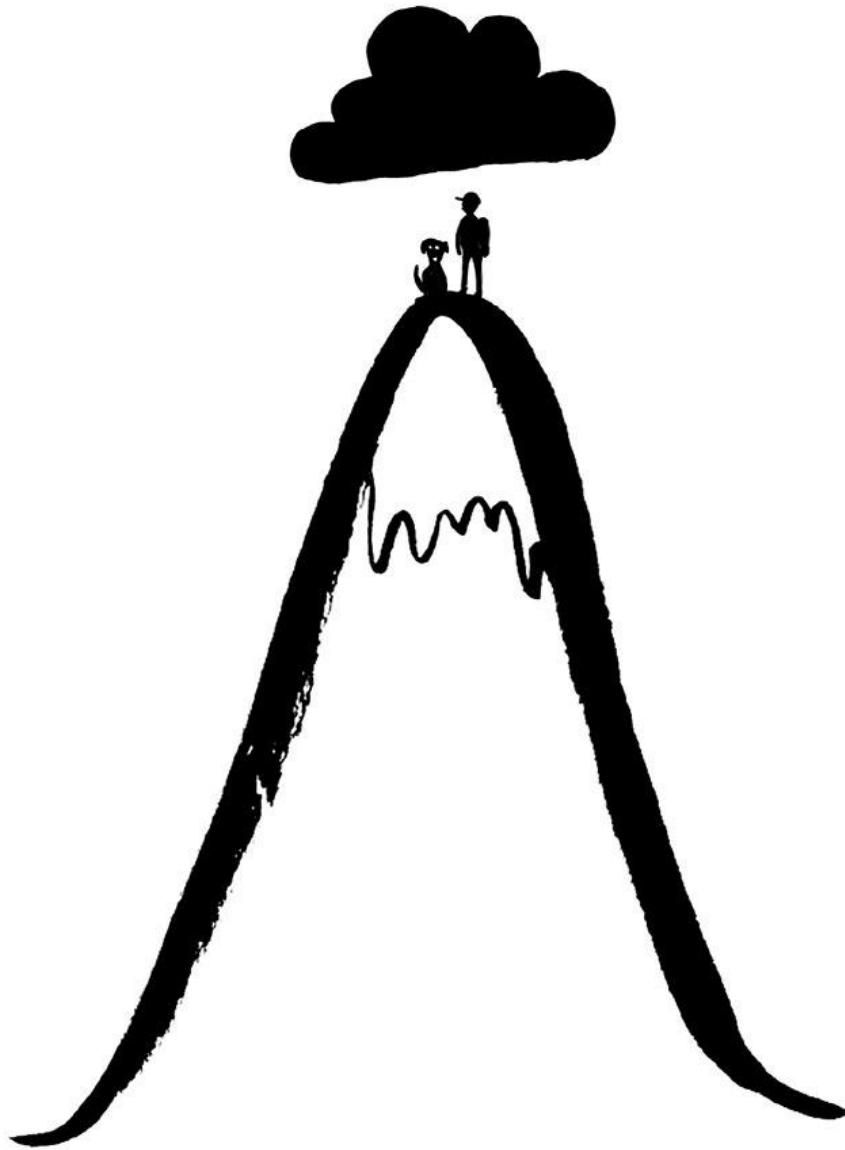
Poszedłem na koniec parkingu, tam gdzie nie sięgało już światło z okien. Jeszcze raz przeliczyłem zapasy z trudem zaoszczędzonych pieniędzy i wsunąłem rulonik do kieszeni. Odwróciłem się i spojrziałem w kierunku baru. Kropelki deszczu moczyły mi kark. Gdzieś niedaleko zaczął wyc alarm samochodowy. Knajpa wyglądała ciepło i pogodnie, a żółte światło wylewało się z okien w mrok jak ciekłe żółtko jajka. Sprawiała wrażenie bezpiecznego miejsca, w którym można się schronić przed chłodem. Kelnerka sprzątała naczynia z mojego stolika, mówiąc coś przez ramię do starszej pary. To było miejsce pełne dźwięków i ludzi, tam toczyło się życie. Nienawidziłem go. Stałem na zewnątrz, słaby i śmierdzący wymiocinami, i znów zupełnie sam.

Uniosłem aparat, nastawiłem obiektyw na oświetlone okna knajpy i otaczającą je czerní nocy, po czym zrobiłem zdjęcie.

Nie zauważyłem, że z cienia ktoś mnie obserwuje.

Gdy się odwróciłem i ruszyłem pustą ulicą w środku nocy przez śmieci i potłuczone szkło, podążyła za mną grupa chuliganów.

Rozdział 2½



*Rodzina czeka.
Telefon głośno milczy.
Chcę, by syn wrócił.*

Jessie czekała z nimi. Na wiele ważnych sposobów była właściwie członkiem ich rodziny. Siedzieli w trójkę w salonie z pobladłymi twarzami i zaciśniętymi ustami. W domu panowała cisza, a najgłośniejsz milczał telefon. Mama Marka cały czas bezdźwięcznie płakała. Do perfekcji opanowała sztukę cichego łkania.

Ósma wieczorem, czyli godzina przyjazdu autobusu do Spokane, przyszła i minęła. Policjanci pewni, że Mark nim pojechał, czekali na dworcu. Powinni już dać znać. Powinni byli zadzwonić i spokojnie oznajmić, że znaleźli chłopca i jest bezpieczny. Ale nie zadzwonili. Aż do 20.15. Dopiero wtedy zakłopotany głos w słuchawce wyznał, że autobus dotarł do Spokane, ale Marka w nim nie było. Rozpłynął się w powietrzu. Mama ukryła twarz w dłoniach, a tato zaklął pod nosem i mocno przycisnął powieki palcami.

Jessie zmarszczyła brwi i zacisnęła dłonie, bo przyszedł jej do głowy pewien pomysł. Zaczął się rodzić, gdy usłyszała, że przyjaciel uciekł, ale zignorowała go. Przecież Mark pojechał do Spokane, więc ten pomysł nie miał sensu.

Lecz gdy okazało się, że Mark tam nie dotarł, głos w głowie odezwał się głośniejsz. Szarpał ją za rękaw i szturchał jej myśli.

Policja zmieniła koncepcję, ponieważ autobus zatrzymał się w trzech miastach pomiędzy Wenatchee i Spokane. Niestety, kierowca, zmęczony i znudzony, nie zwracał uwagi na to, kto wysiada. Teraz wszyscy policjanci w tych trzech miastach patrolowali ulice, rozglądając się za chłopcem podróżującym z małym łaciatym psem. Byli pewni, że musiał wysiąść w którymś z nich. Zadzwonią, gdy go znajdą. Proszę się nie zamartwiać.

Tato Marka milczał. Wyglądał na zupełnie wyczerpanego. A mama znów płakała.

Jessie wyrzała przez okno. Pomysł w jej głowie odchrząknął i postukał ją w ramię.

A tymczasem nawet nie wiedziała jeszcze wszystkiego. Nie wiedziała tego, co Mark, nie odkryła tajemnicy, która popchnęła go do tego, by spakować plecak i zniknąć w mroku. Gdyby ją znała, pomysł w jej głowie kopałby i tupał, a potem przerodził się w twardą jak skała prawdę.

Ale potem przyszło jej do głowy jeszcze coś. Nie mogła uwierzyć, że do tej pory na to nie wpadła. Gdy tylko o tym pomyślała, poczuła absolutną pewność: rozumiała, że Mark nigdy by nie odszedł, nie pożegnawszy się z nią.

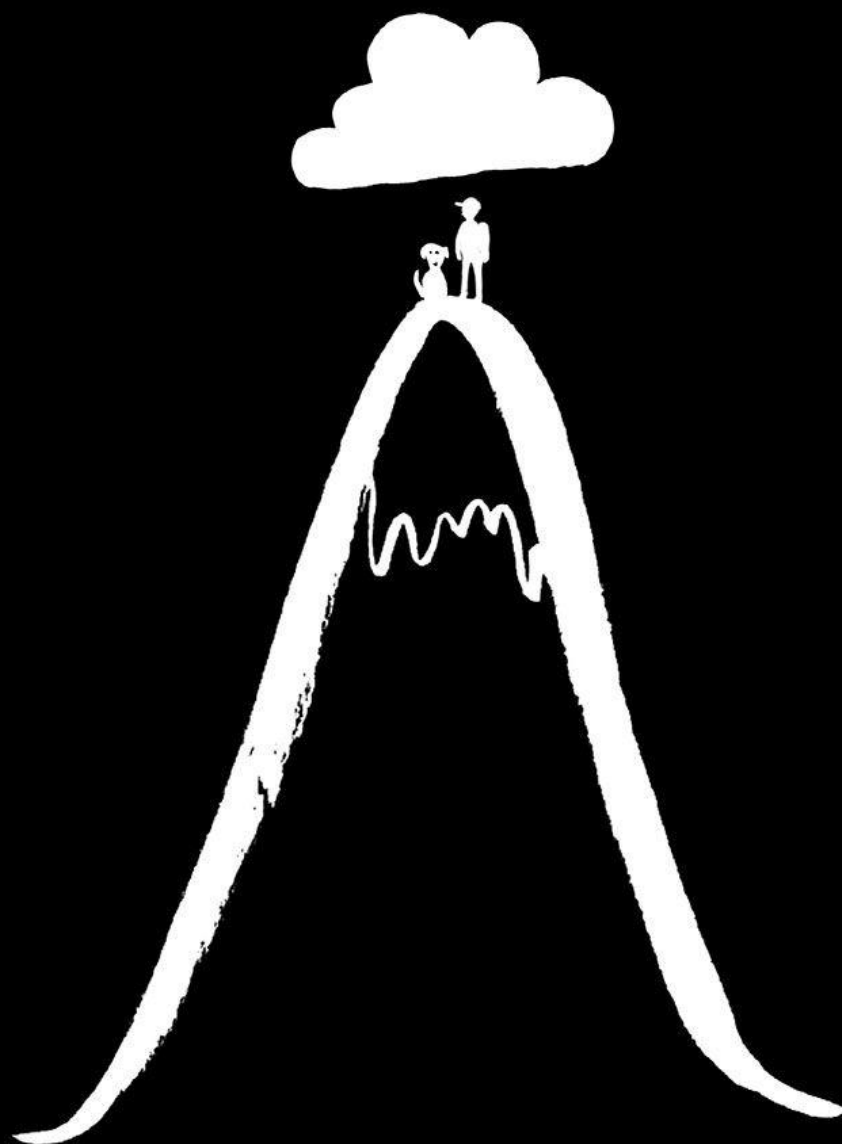
– Muszę iść – oznajmiła, po czym wstała i wyszła.

Na dworze wiało i siekł zimny deszcz, a ona biegła przez noc do swojego domu. Minęła frontowy ganek i skręciła za róg do ceglanej podmurówki pod oknem swojego pokoju. Nawet w ciemności nie miała problemu z odnalezieniem luźnej cegły maskującej ich sekretną kryjówkę. Używali jej z Markiem od lat. Tajemne miejsce, o którym wiedzieli tylko oni, miejsce, w którym ukrywali swoje sekrety i listy.

Wsunęła palec do szczeliny i zamiast cegły wyczuła papier. Wyjęła z kryjówki zwiniętą karteczkę.

*Sekret na kartce.
Przyjaciel cicho szepcze.
Pożegnania głos.*

Rozdział 3



Do pokonania 185 km

Usłyszałem kroki za plecami. Więcej niż jedna osoba podążała za mną w ciemnościach. Zamierzałem wypuścić Beau z torby, gdy tylko oddalę się trochę od baru, ale postanowiłem na razie się nie zatrzymywać.

Zerknąłem przez ramię i zobaczyłem, że jest ich czterech lub pięciu. W mroku wyglądali jak śledzące mnie cienie. Rozległ się cichy głos, potem śmiechy, ale po sposobie, w jaki się poruszali, domyśliłem się, że są nastolatkami.

Zmierzałem w stronę całkowitej ciemności. Bar – ten, w którym miał przesiadywać mój zmyślony ojciec – znajdował się w przeciwnym kierunku i przede mną widać było jedynie budynki z zabitymi oknami oraz puste parcele. Przyspieszyłem kroku, a cała złość ze mnie wyparowała.

Znów usłyszałem głos, tym razem na tyle blisko, że niemalże rozróżniłem słowa. Był jakiś przerażający – taki pół warkot, pół śmiech. Taki, jakby mówiący obnażał groźnie zęby na widok ofiary. Beau niespokojnie poruszył się w torbie. Przełożyłem ją do drugiej ręki i spróbowałem iść trochę szybciej. Tabletki przytłumiły ból, ale pozostawiły mgłę w głowie i wzbudziły bunt w brzuchu. Oddychałem głęboko chłodnym powietrzem, żeby rozjaśnić umysł i uspokoić żołądek, ale nie na wiele się to zdało.

Dotarłem do kolejnej ulicy, równie ciemnej i pustej jak ta, którą szedłem. Po lewej kilka przecznic dalej zauważyłem światła i ruch uliczny. Skręciłem i zmusiłem stopy do szybszego ruchu. Właściwie prawie biegłem. Obejrzałem się przez ramię, nawet nie starając się robić tego dyskretnie. Prześladowcy też skręcili.

Przedem stała samotna latarnia, rzucająca krąg żółtego światła na popękany chodnik. Znajdowała się ledwie o dobry rzut piłką do kosza, ale z tą ciemnością wszędzie wokół i stadem wilków za plecami wydawało mi się, że dzieli ją ode mnie cała wieczność. Wlepiłem wzrok w światło, ignorując palenie w płucach i rewolucję w żołądku. Znów usłyszałem śmiech, który zabrzmiał, jakby rozległ się tuż za moimi plecami.

Muszę tylko dotrzeć do światła, wmawiałem sobie.

To była durna myśl. Taka to prawda.

– Hej! Co się tak spieszysz?

Głos był szorstki i drwiący. Nie zatrzymałem się i nie odważyłem się obejrzeć.

– Czego tak pędzisz? Nie nadążamy! – To był inny głos, równie wstrętny. Wszyscy wybuchnęli śmiechem. Beau warknął. – Do ciebie mówimy, śmieciu!

Coś między sobą ustalili, a potem kamień przeleciał nad moim ramieniem i odbił się od chodnika. Potoczył się i zatrzymał pod latarnią. Zamknąłem oczy, nie zatrzymując się, ale wiedziałem już, że ucieczka nie ma sensu.

Kiedy znajdowałem się o jakieś pięć metrów od lampy, napastnicy zaczęli biec. Nogi mi tak drżały i tak bardzo piekło mnie w piersiach, że nie dałbym rady zwać. Poza tym i tak by mnie złapali.

Dopadli mnie, gdy wszedłem w krąg żółtego światła. Ktoś brutalnie mnie obrócił, drugą dłonią chwytając za koszulkę. Wypuściłem torbę.

– Co z tobą, głucie? Czego do mnie nie gadasz?

Twarz chuligana była napięta, blada i podła. Tylko tyle widziałem. Ciemne, wodniste oczy, ściągnięte gniewem brwi. Czerwone pryszczki na białej skórze. Okrutne usta wygięte w rekinim uśmiechu, ukazującym drobne, ostre zęby. Jego towarzysze majaczyli w cieniu, otaczając mnie kręgiem. Śmiali się głupawo i przybijali sobie piątki. Byli tym, co złe, brzydkie i nieuniknione. A ja musiałem stawić im czoło zupełnie sam.

Gorące, słone łzy napłynęły mi do oczu. Tego już było dla mnie zbyt wiele.

– Zostawcie mnie.

Chłopak parsknął pogardliwie.

– Zostawić cię?

– Proszę. – Mój głos, wydobywający się ze ściśniętego gardła, zabrzmiał wysoko i jękliwie.

– Proszę! – powtórzył chłopak dyszkantem, przedrzeźniając mnie, a jego kumple wybuchnęli śmiechem.

– Co tam masz w plecaku? – zapytał ciszej i groźniej. Wypuściłem powietrze przez nos i zamknąłem oczy. – Masz jakiś hajs? – Pokręciłem głową i próbowałem zaprzeczyć, ale zabrzmiało to jak słaby jęk. Czułem się bardzo zmęczony. – Zakład, że masz. – Wyszczrzył kpiąco zęby i szarpnął plecak. W torbie u moich stóp Beau warknął, ale chyba tylko ja go usłyszałem.

Ktoś mocniej pociągnął za plecak tak, że paski wrzęły mi się w ramiona. Wokół rozległy się szydercze chichoty. Staralem się stać prosto i nie upaść. Mój żołądek skręcał się i wierzgał.

– No, koleś – rzucił chuligan. – Dawaj go.

Wziąłem głęboki wdech, żeby się trochę uspokoić.

– Nie – odrzekłem. Mój gniew, przegnany przez strach, zaczął się wślizgiwać z powrotem. – Idź do diabła. – Zagryzłem zęby i zacisnąłem powieki, wstrzymując wymioty.

Pierwszy cios dostałem w żebra. Zgiąłem się wół i zabrakło mi tchu. Ktoś popchnął mnie mocno z boku. Wpadłem na kolejnego z napastników, a on odepchnął mnie z powrotem.

Próbowałem zaprotestować, ale z moich ust nie wydobył się żaden dźwięk.

Ktoś kolejny raz szarpnął za plecak.

Następne uderzenie, mocne, pewne i brutalne, zmiażdżyło mi żołądek.

Świat się rozleciał na kawałki.

Upadłem.

Kontakt z chodnikiem był nagły i bolesny niczym polerowanie betonowym papierem ściernym, który przesunął się po mnie, wcierając ból w całe ciało. Czyjaś stopa wbiła się w mój brzuch, kolejny kopniak trafił w plecy. Po chwili zacząłem się podnosić na dłoniach i kolanach, ale następny cios pięścią trafił w policzek i zgasił światło w moich oczach.

Nie płakałem, ale tylko dlatego, że byłem zbyt przerażony, chory i obolały.

Zdarli mi plecak z ramion, a ja nie próbowałem ich nawet powstrzymać. Stopą wymacałem torbę i z ulgą stwierdziłem, że nadal jest na miejscu. Nie chciałem, żeby ją otworzyli. Beau był małym pieskiem i bałem się, co mogliby mu zrobić. Ktoś rozsunął zamek błyskawiczny plecaka.

– Nic – oznajmił. – Tylko ciuchy, liny i śmieci. Co za frajer!

– A ta druga torba? – zasugerował ktoś inny.

– Nie – wymamrotałem. Tylko nie Beau. – Mam pieniądze. W kieszeni.

Twarz miałem wciśniętą w chodnik, ale usłyszeli mnie. Natarczywe dłonie przeszukały moje kieszenie. Poczułem, jak wyjmują zwitek banknotów.

– Jasny gwint – szepnął chłopięcy głos. – Tu jest chyba ze sto dolców.

– Zostawcie mi coś – wychrypiałem. Głos miałem zdławiony, a oddech rwany.

– Co?

– Nie zabierajcie... wszystkiego. To moje. Zostawcie mi coś.

Chłopak parsknął.

– Zostawię ci coś – obiecał. Chwycił mnie za ramię i przewrócił na plecy. Otworzyłem oczy akurat, by na tle ciemnego nocnego nieba dojrzeć pięść zbliżającą się do mojej twarzy.

Trafiła mnie w usta z głośnym chrzęstem, po którym paroksyzm bólu przeszył moje ciało. Wierzgnąłem nogami, a moje ramiona opadły bezwładnie. Krew, ciepła, gęsta, słonawa spłynęła mi do gardła.

Nade mną ukazała się blada twarz, otoczona poblaskiem z ulicznej latarni. Zauważyłem, że bandzior przenosi wzrok na aparat fotograficzny, nadal wiszący na mojej szyi. Błyskawicznym ruchem przycisnąłem go do piersi.

Chłopak złapał mnie za dłonie i próbował go wyrwać. Chwyciłem aparat mocniej.

– Oddawaj! – warknął.

– Nie. – Nie wiem, czy to powiedziałem, czy tylko pomyślałem. Chłopak pociągnął gwałtowniej, a ja mocniej zacisnąłem dłonie. Szarpał i wrywał, ale moje palce były jak ze stali. Nie zamierzałem się poddać.

Wtem potrząsnął mną tak gwałtownie, że spadła mi czapka i poczułem na skórze zimne nocne powietrze.

Napastnik zamarł z pięścią uniesioną do kolejnego ciosu, wlepiając wzrok w moją głowę.

– Boże – westchnął. – Co z tobą jest nie tak?

Spojrzałem na niego, mrużąc oczy.

– Ty – odpowiedziałem, ledwo ruszając poranionymi wargami.

Otworzył szeroko usta, powoli opuszczając pięść.

Uniosłem aparat i zrobiłem mu zdjęcie.

– Może ma gdzieś więcej kasy – zasugerował ktoś. Usłyszałem szelest w okolicach moich stóp, tam, gdzie leżała torba. A potem dźwięk rozsuwanego zamka.

Beau to mały piesek. Ale wielkość ciała nie ma nic wspólnego z wielkością ducha.

Wyskoczył z torby niczym płonąca kula sprawiedliwości. Niczym wszelkie odmiany słusznego gniewu. Niczym wszystko, czego świat kiedykolwiek potrzebował. Wypadł w ciemność i krew tej zimnej ulicy szybko, głośno i zdecydowanie, same zęby, warkot i brawura.

Wokół rozległy się okrzyki zaskoczenia, a potem wrzaski bólu, przekleństwa i piski.

– Spadamy! – zarządził jeden z nich, po czym usłyszałem szybko oddalający się tupot stóp.

Dzieciak, który mnie pobił, nadal się na mnie gapił. Poczułem, że coś spada na moją pierś z trudem unoszącą się przy każdym wdechu, a potem napastnik też zniknął i jego kroki dołączyły do pozostałych cichnących w ciemności.

Leżałem na chodniku, pokastując, przelykając krew i katalogując źródła bólu w całym ciele. Było ich tak wiele, że gorące łzy potoczyły się po moich policzkach. Pod głową miałem twarde chodnik. Kamienie i żwir kłuły mnie w plecy. Spróbowałem usiąść, ale poddałem się niemalże od razu, bo za bardzo mnie bolało w zbyt wielu miejscach. Opuściłem głowę na chodnik i spojrzałem zmaconym przez łzy wzrokiem tam, gdzie powinny być gwiazdy, lecz ich nie było. Może skrywały się za chmurami, a może światła miasta przytłaczały ich blask.

Wtem usłyszałem zbliżający się stukot psich pazurków. Beau! Nie zauważyłem nawet, że odbiegł. Pogonił ich. Przegnał, a potem do mnie wrócił.

Poczułem jego oddech, a następnie dotyk nosa na dłoni, później na szyi, zakrwawionych ustach i głośniejszy w uchu. Poczułem psi język, początkowo delikatnie, a potem mocniej, gdy się zaniepokoił i zaczął lizać krew i łzy na mojej twarzy.

Zaskomlał cicho, ponagłajaco, po czym trącił mnie nosem.

Nadal oddychałem. Nadal wpatrywałem się tam, gdzie powinny być gwiazdy. Nadal czułem cały ból i cały smutek.

A mój piesek zlizywał moją krew i łzy.

Odwróciłem do niego głowę. Patrzył na mnie z troską swoim jednym okiem brązowym

i jednym zielonym. Znów poczułem jego oddech i ciepły język. Kolejna fala łez napłynęła mi do oczu.

– Och, Beau... – westchnąłem. Głos miałem chropowaty jak beton pod plecami. Słowa brzmiały niewyraźnie, zniekształcone przez krew w ustach i spuchnięte, pokaleczone wargi.

Znów zaskomlał, a moją twarz owiał jego gorący oddech. Leżał na ciemnej ulicy w obcym mieście z dala od domu, a martwił się tylko mną. Mój bohater.

Walcząc z bólem, wyciągnąłem rękę, żeby podrapać Beau za uszami. Położył je po sobie i zamerdał ogonem. Sięgnąłem dłonią na pierś, sprawdzając, co chłopak rzucił. Wyczułem palcami kawałek papieru i uniosłem go do oczu: banknot dwudziestodolarowy. Jedna z moich dwudziestek. Przedtem miałem ich pięć.

Nie ogarniam tego: dlaczego ludzie uważają, że potrzebuję pomocy, ot tak po prostu. Wsunąłem pieniądze do kieszeni i znów zamknąłem oczy, pozwalając, by piekące łyzy przeciskały się przez powieki i spływały po twarzy na ulicę.

Beau nerwowo przestąpił z łapy na łapę i znów zaskomlał.

Wiedziałem, że powinienem wstać, znaleźć restaurację albo jakiś inny lokal z łazienką i się umyć.

Lecz czułem się zbyt chory, smutny i obolały.

Chciałem umrzeć, tu i teraz, na chodniku w mieście, które nie miało dla mnie żadnego znaczenia. Opuściła mnie cała wola walki.

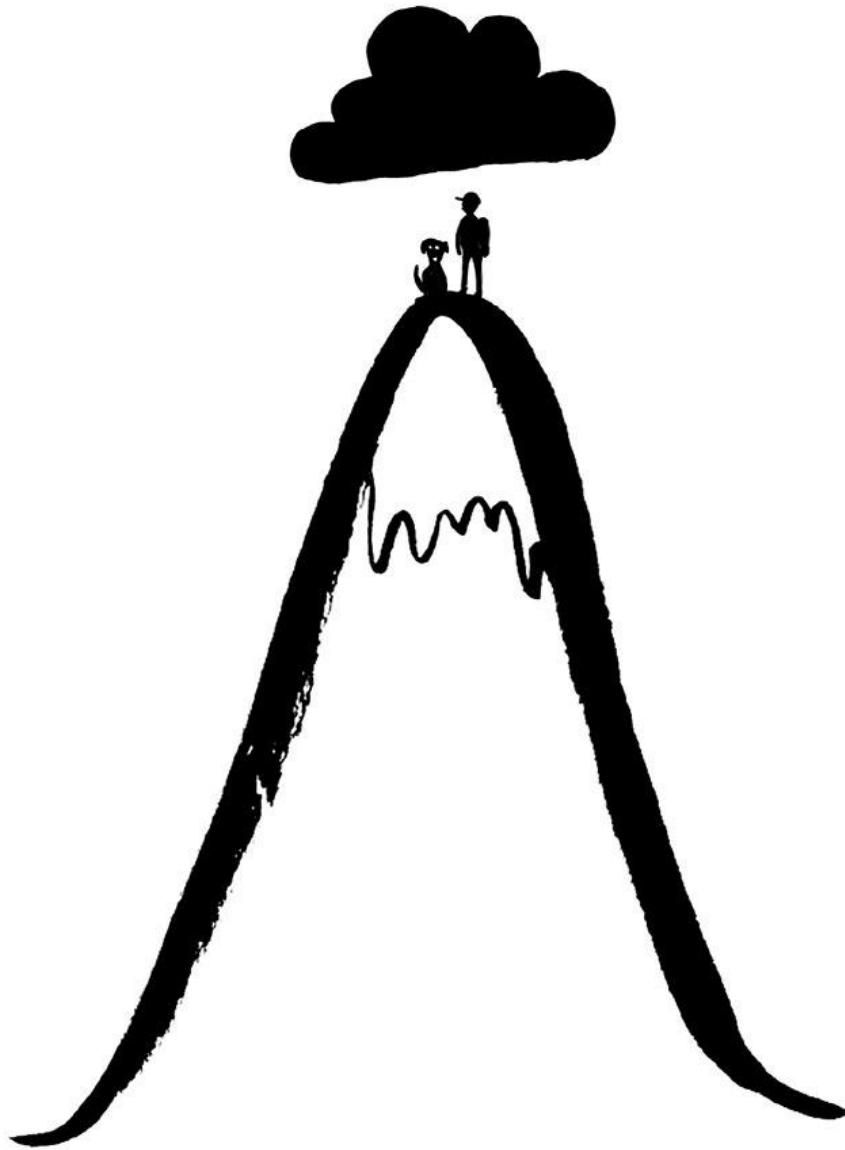
Wyciągnąłem rękę, chwyciłem paski plecaka i rączkę torby. Odczołgałem się dalej od ulicy i światła, głębiej w cień, wlokąc bagaże za sobą. Kark, żebra, głowa protestowały głośno w kontakcie z szorstkim betonem. Moje ciało przeszywały ukłucia bólu. Krew w ustach smakowała gorzko i metalicznie.

W końcu dotarłem do ceglanego muru, do którego ledwo docierało światło z ulicy. Raczej nie powinien mnie dostrzec nikt z przejeżdżającego samochodu. I dobrze. Nie chciałem, by ktoś mnie znalazł. Nie chciałem, by ktoś patrzył, jak umieram. Chciałem być sam.

Zwinąłem się w kłębek twarzą do ściany. Beau stał przez chwilę, a potem położył się za moimi plecami, by mnie pilnować. Czułem jego ciepło.

Zamknąłem oczy i pozwoliłem sobie umrzeć.

Rozdział 3½



*Sen cieniem skryty.
Samotna w mroku pytań.
Deszcz i wiatr wokół.*

Jess leżała na łóżku, mocno zaciskając w palcach liścik od zaginionego przyjaciela. Przeczytała go już tyle razy, że słowa miała wyryte w pamięci, i nie potrzebowała światła, by na nie patrzeć. Pomysł, który nieśmiało kielkował jej w głowie od chwili, gdy mama Marka zadzwoniła po raz pierwszy, nabrał teraz wyrazistości. Gdzieś głęboko czuła przekonanie, że nie znajda Marka w miastach przy drodze do Spokane, bo wcale nie wyruszył w tamtą stronę. Domyślała się, dokąd przyjaciel się kieruje, i przerażało ją to. Sięgnęła myślą do niego, przez setki kilometrów i burzę, od której drżały mokre szyby w oknie. Sięgnęła sercem do najlepszego przyjaciela, zastanawiając się, gdzie on teraz może być. Miała wrażenie, że jest tuż przy nim, tak silna była ich więź. Niemalże czuła jego ból.

– Dlaczego? – zwróciła się do ciemnej nocy. Wydawało jej się, że wie, dokąd Mark idzie i co chce zrobić, dręczyła ją jedynie wątpliwość, dlaczego się na to zdecydował.

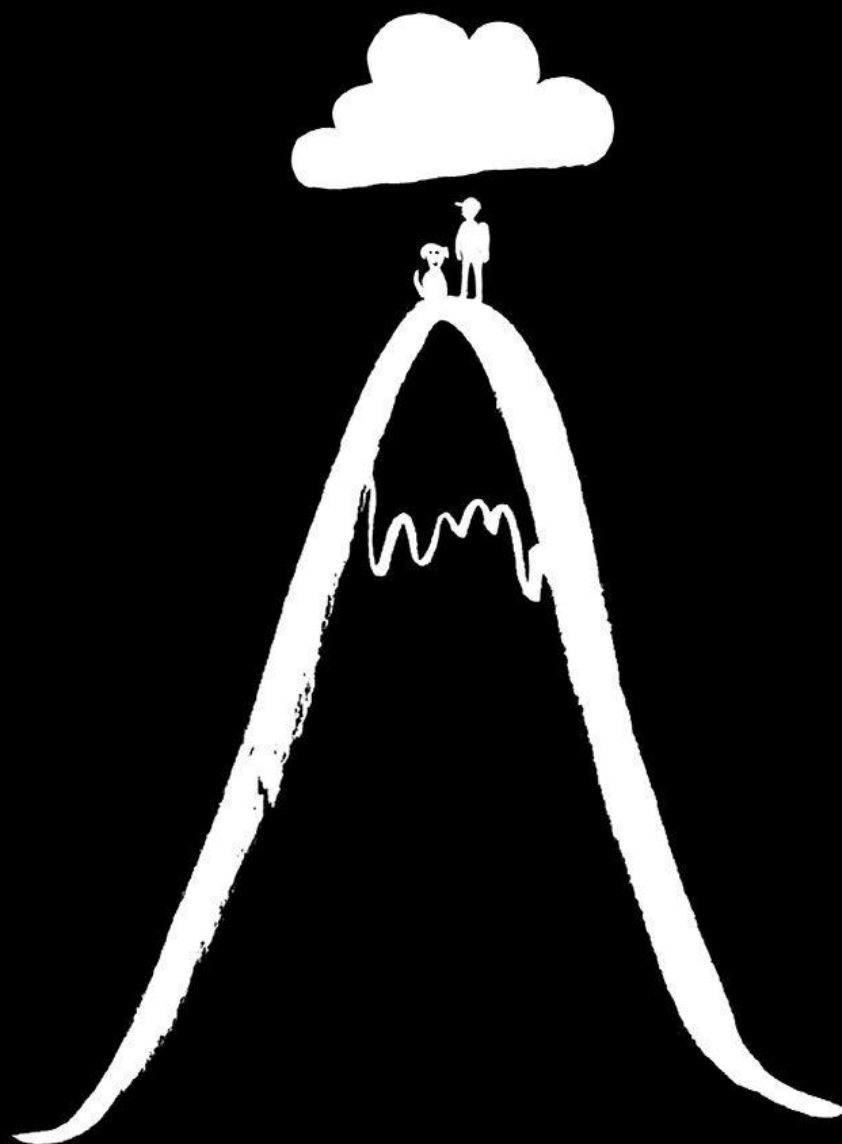
W mroku warczały dwa wilki. Temu, który warczał: „Dlaczego?”, odpowiadał mroczniejszy, cichszy warkot. A jego odpowiedź podobała jej się jeszcze mniej niż samo pytanie. Przegnała z pokoju wszelki sen.

Jess kochała swojego przyjaciela, ale zupełnie nie wiedziała, jak mu pomóc.

Pytanie, które chciała wykrzyknąć do wilków w ciemnościach, brzmiało: Jeśli wiem, dokąd Mark zmierza, i jeśli się nie mylę, dlaczego to robi, to czy powinnam powiedzieć o tym jego rodzicom?

*Musiała wiedzieć.
Czy przyjaciel wybrał śmierć?
Dlaczego uciekł?*

Rozdział 4



Do pokonania 185 km

Obudziły mnie dźwięki muzyki.

Wyplułem strzęp zakrzepłej krwi i zasłuchałem się.

Aniołowie śpiewali. Nie rozumiałem słów, ale było to przepiękne.

Ciepły wiatr delikatnym tchnieniem owiał moją twarz.

Udało się, pomyślałem. Umarłem. Czas już był na to najwyższy. Obliziałem poranione wargi.

Nie było nic prócz śpiewu aniołów i ciepłego wiatru. I całego oceanu bólu.

Bolały mnie usta. Bolały mnie zęby. Głowa. Plecy. Żebra.

– O nie! – jęknąłem. Język miałem spuchnięty i suchy. – Jednak nie umarłem.

Beau zerwał się z miejsca i wysapał powitanie w moją twarz. Zaskomlał, wywalił jęzor i zaczął machać ogonem tak energicznie, że aż się składał w pół. Trącił mnie wesoło nosem.

– No już, koleś – wychrypiałem. – Daj mi chwilę.

Spróbowałem wesprzeć się na łokciu. Ostre igły bólu przeszły mnie od żeber aż po czaszkę, mimo to zdołałem jakoś usiąść i rozejrzeć się wokół.

Znajdowałem się w brudnym pokrytym asfaltem zaułku, wciśnięty w kąt między ceglana ścianą i zielony kontener na śmieci. Kontener był zdezelowany i powgniatany, a dobiegający z niego zapach bezwzględnie obudził moje powonienie. Jakimś cudem udało mi się wczoraj doczołgać aż do tego miejsca. W nagłym, mętym przebłysku wrócił do mnie cały nocny koszmar: prześladowcy, strach, wściekłość, dzieciak o szczurzej twarzy, pobicie.

Kradzież.

Szybko przetrząsnąłem kieszenie, ale znalazłem tylko banknot dwudziestodolarowy. Tylko tyle mi zostało.

Zacisnąłem dłoń w pięści, a mój oddech stał się szybki i urywany.

– Nie wystarczy – powiedziałem głosem ostrym jak potłuczone szkło, kręcąc głową. Poczulem mdłości i bezwład w rękach. Skoncentrowałem się na wyrównaniu oddechu, starając się nie zwymiotować. Byłem zbyt chory i zbyt zmęczony, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy. – Nie wystarczy – powtórzyłem głosem słabym i kruchym. Jak potłuczone szkło.

Beau znów zaskomlał. Jego głos wyrwał mnie z odrętwienia i znów usłyszałem śpiew aniołów.

Wraz ze śpiewem dotarła do mnie inna, przyjemniejsza woń, która zagłuszyła odór ze śmietnika. Smażona cebula. Gotowana fasolka. Grillowane tortille. Zapachy ciepłe i pełne przypraw smakowitymi palcami lekko trąciły mój żołądek. Pachniało jak w kuchni u Jess, gdy jej babcia przyjeżdżała z wizytą z Meksyku.

Stałem na czworakach i wyjrzałem zza kontenera.

Po drugiej stronie zaułka zauważyłem otwarte drzwi, to stamtąd dobiegały piękne aromaty i śpiew. Mrużąc oczy, przeczytałem ręcznie wypisaną tabliczkę na drzwiach: „Restauracja San Cristobal. Proszę wchodzić od frontu”.

Beau zapiszczał, oblizując się łakomie. Obaj czuliśmy boski zapach jedzenia i założyłem się, że w naszych brzuchach burczało równie głośno.

Wstałem i aż mnie zatchnęło, gdy ból w mojej głowie zaryczał, jakby ktoś przekręcił gałkę głośności do oporu. Zmrużyłem oczy i zagryzłem zęby. Beau przywarł bokiem do mojej nogi, machając ogonem.

– Zostań – poleciłem. Opuścił uszy, ale nie ruszył się z miejsca, gdy pokuśtykałem w stronę drzwi.

Za nimi znajdował się wąski korytarz zastawiony kartonami, a na jego końcu była

kuchnia, pełna brzęku naczyń i odgłosów gotowania. Zauważyłem trzy kobiety, odwrócone do mnie plecami, szatkujące, mieszające i przestawiające patelnie na dwóch gigantycznych kuchenkach.

To one były aniołami. Zupełnie zagłuszając stojące na półce radyjko, śpiewały hiszpańską piosenkę, która brzmiała tak, jakby opowiadała o złamanym sercu albo o nadziei, albo trochę o tym i o tym. Kobiety nie przerywały gotowania, a ich głosy unosiły się i opadały, nabrzmiewając emocjami. Ich śpiew, te hiszpańskie słowa, słodko-ostra woń przypraw w jedzeniu, wszystko to sprawiło, że stałem jak zaczarowany. Oparłem głowę o framugę i tylko wdychałem zapachy, słuchałem i oddychałem. To była cudowna chwila.

Moja okaleczona twarz bolała, ale mimo to uśmiechnąłem się lekko. Uniosłem aparat i zrobiłem zdjęcie aniołom przygotowującym posiłek, który pachniał wprost niebiańsko.

Lecz wtedy oczywiście ból w głowie, kościach i twarzy przypomniał mi, gdzie jestem. I kim jestem. I dlaczego się tu znalazłem. Przełknąłem, zamrugałem gwałtownie i spróbowałem przegonić tę cudowność z mojej głowy.

W korytarzu znajdowały się dwie pary drzwi. Za tymi po prawej dojrzałem lustro, umywalkę i krawędź muszli toaletowej. Zasnięta krew oblepiała moją twarz i musiałem się gdzieś umyć, a ta łazienka była równie dobra jak każda inna.

Obejrzałem się na Beau. Siedział przy torbie pod śmietnikiem, patrząc na mnie swoimi oczami w różnych kolorach. Przez całą długą noc mocno się do mnie przytulał. Przegonił wilki i strzegł mnie w ciemnościach. Odetchnąłem i rozejrzałem się wokół.

Potem poklepałem się po nodze i zawołałem szeptem:

– Chodź, Beau. – Znalazł się u mego bok, nim zdążyłem się uśmiechnąć. – Tylko bądź cicho – dodałem, przeciskając się przez uchylone drzwi. Śpiew aniołów zabrzmiał głośniejsze.

Stały tyłem do nas, ale wiedziałem, że w każdej chwili mogą się odwrócić. Szybko przemknąłem do ubikacji i dałem nura do środka, a Beau cały czas szedł przy mojej nodze, wesolo merdając ogonem. Za drzwiami po drugiej stronie korytarza dojrzałem fragment innego pomieszczenia. To było coś w rodzaju biura, z komputerem, telefonem i zabałaganionym, zasypianym papierami biurkiem. Zamknąłem drzwi do łazienki i zasunąłem rygiel.

Beau, zachwycony kuchennymi woniami, uniósł na mnie wzrok, wyraźnie rozczarowany, że zboczyliśmy z właściwej drogi.

– Przykro mi, kolego – powiedziałem. – Nie przyszliśmy tu jeść. Musimy...

Głos uwiązał mi w gardle, kiedy ujrzałem swoje odbicie w lustrze.

Całą moją twarz pokrywały zadrapania. Jedno oko otaczał obrzęknięty czarny siniak, a kolejny odznaczał się cieniem na kości policzkowej po drugiej stronie. Usta miałem popękane i zakrwawione, a jeden z przednich górnych zębów ukruszony. Pod nosem widniała zakrzepła strużka krwi.

Wyglądałem koszmarnie. Taka to prawda.

Poczułem, że coś we mnie zaczyna się rozpadać. Wgryzłem się w to tylnymi zębami.

– Nie – powiedziałem do zakrwawionego wraka w lustrze. – Nie rozbeczysz się. Nie będziesz płakał.

I nie płakałem.

Lecz gdy wycierałem twarz zmoczonymi papierowymi ręcznikami, dłonie mi drżały, mimo że im tego zabraniałem. I oddech wiązał gdzieś między ustami a płucami. Ale moje oczy nie płakały. Głosy aniołów wpadały przez otwór wentylacyjny pod sufitem i niesły się echem po pomieszczeniu.

Zdjąłem czapkę, by zetrzeć brud oraz krew z czoła, i nie włożyłem jej ponownie. Upuściłem ją na podłogę i tak zostawiłem.

Przesunąłem palcami po delikatnym zaroście na mojej prawie łysej głowie. Zawsze starałem się ukrywać tę łysinę, która mówiła światu: oto dzieciak chory na raka. Wykrzykiwała to pełnym głosem. Nienawidziłem jej.

W wewnętrznej kieszeni kurtki znalazłem zmiętą widokówkę. Chuligan nie wpadł na to, by tam zajrzeć, kiedy szukał pieniędzy. Wyjąłem ją drżącymi palcami.

Widniała na niej góra. Ogromna, pokryta śniegiem góra na tle błękitnego nieba. U dołu kartki znajdował się podpis wykonany pełnymi zawijasów fioletowymi literami: *Góra Rainier*.

To właśnie ta dzika góra, a właściwie jej szczyt, stanowiła cel mojej podróży. Wiedziałem, że to szaleństwo. Chory dzieciak, który ucieka, żeby się wspiąć na jedną z najwyższych gór Ameryki Północnej. Całkiem sam. Tak, to zawsze wydawało się szalone, ale w tej ubikacji, zakrwawiony i potłuczony, pomyślałem, że to nie jest szalone, tylko głupie. I niemożliwe. Zupełnie beznadziejne. Zamrugałem piekącymi powiekami i wsunąłem pocztówkę z powrotem do kieszeni.

Zająłem się zmywaniem krwi z twarzy, również świeżej, która się pojawiła, gdy wycierałem tę zaschniętą. Tarłem, aż moja twarz zrobiła się czysta, umywalkę wypełniły kropelki czerwieni, a śmietnik papierowe ręczniki.

Wyglądałem trochę lepiej, ale naprawdę niewiele.

I przez cały ten czas myślałem o pieniądzach, których nie miałem w kieszeni. I o jedzeniu, którego nie miałem w brzuchu. I o bólu, który przenikał każdą część mojego ciała. I o górze, na którą miałem się wspiąć.

Nie płakałem, ale to nic nie zmieniało.

Spojrzałem na siebie w lustrze, nieplaczącego, bez czapki. Wyglądałem na małego i słabego. I samotnego.

Nienawidziłem siebie.

Aparat wisiał wyczekująco na mojej szyi. Trzymając go nisko przy piersi, zrobiłem zdjęcie brzydkiemu odbiciu w lustrze. Nie uśmiechałem się, a w drżącym świetle jarzeniówek moja skóra wyglądała na jeszcze bledszą niż zazwyczaj.

– Chodź, Beau – odezwał się. – Pora już... – Nie umiałem dokończyć tego zdania. Podniosłem czapkę i włożyłem ją na głowę. Pazury Beau zastukały na wyłożonej płytkami podłodze, gdy ruszył za mną. Wiedziałem, co muszę zrobić. Odetchnąłem ze znużeniem, otworzyłem drzwi i niemalże wpadłem na rozśpiewaną kobietę idącą korytarzem z workiem śmieci w rękę. Była wysoka, a na włosach nosiła ochronną siatkę.

Oboje się zatrzymaliśmy. Jej głos zamarł w pół wersu. Kobieta szeroko otworzyła oczy i usta, a następnie zawołała coś po hiszpańsku. Nie było w tym złośliwości, gniewu ani lęku, tylko niepokój.

Krzyknęła ponownie, trochę głośniej.

Dwa pozostałe anioły przestały śpiewać i przyszły do nas. Ze zdumieniem zmierzyły mnie wzrokiem od stóp do głów, a potem popatrzyły na Beau.

Mogłem uciec. Właściwie to chyba powinienem był uciec, ale tymczasem zastygłem w bezruchu. Z powodu głodu i bólu. Z powodu samotności. Z powodu brzmienia ich głosów, gdy śpiewały. Przez ich okrągłe twarze nadal przyjazne, choć zaskoczył je szalony dzieciak z psem w ich kuchni. Przez ich ciepłe brązowe oczy, które przypominały mi oczy Jess.

Szeptaly do siebie niezrozumiałe dla mnie słowa. Potem ta wysoka wyciągnęła dłoń i powoli, delikatnie dotknęła siniaka na moim policzku. Nie cofnąłem się. Druga wyciągnęła rękę i musnęła ranę nad moim okiem.

Zacząły o czymś dyskutować, podnosząc głosy. Pokiwały głowami i, patrząc mi w oczy, mówiły miłe słowa, których niestety nie znałem.

To było przyjemne uczucie. Było mi dobrze, że ktoś mnie dotyka, że się o mnie troszczy. A potem jedna z nich wypowiedziała zrozumiały wyraz.

Policía.

Był jak wiadro zimnej wody gaszące ciepło, które mnie otoczyło.

– Nie – zaprotestowałem, kręcąc głową. – Nie policja. – Szukałem w głowie jakichś znanych hiszpańskich słówek. – *Por favor.* – To znaczyło „proszę”, byłem pewien. – *Por favor, no policía.*

Skonsternowane zmarszczyły brwi, a potem znów z przejściem zaczęły coś do siebie szeptać.

Za ich plecami po drugiej stronie korytarza znajdowało się biuro.

Pokazałem na nie palcem i przyłożyłem rękę do ucha, jakbym trzymał słuchawkę.

– Telefon? – spytałem. – *¿Teléfono?* – Oblizalem spękane usta. – Chcę... muszę zadzwonić do rodziców. *Mamá.* – Wymówiłem to z hiszpańska z akcentem na ostatniej sylabie tak jak Jess. – *Mamá y papá. Teléfono. ¿Por favor?*

Zmarszczki zmartwienia na ich twarzach się wygładziły. Znów chwilę poszeptały, a potem odsunęły się na bok. Ta wysoka, na którą natknąłem się, wychodząc z łazienki, objęła mnie za ramiona i poprowadziła w stronę biura.

– *Sí* – powiedziała. – *Sí.* – Pachniała kwiatami i ciepłym jedzeniem.

Wsunąłem się do maleńkiego pokoiku, Beau poszedł za mną, ale oglądał się na kobiety i wesoło szczyrzył zęby, machając ogonem. Zawsze jest bardzo przyjazny w stosunku do ludzi mających coś wspólnego z gotowaniem.

Zamknąłem drzwi, odcinając się od uważnych spojrzeń kobiet i hałasu z kuchni. Z głodu ciekła mi ślinka, a w brzuchu głośno bulgotało, ale ruszyłem w stronę telefonu stojącego na zagraconym biurku.

Pogrzebałem w kieszeni w poszukiwaniu serwetki z numerem telefonu, który zanotowałem nocą w barze. Podniosłem słuchawkę.

Rozległo się buczenie, ale w drugim uchu nadal słyszałem muzykę z radia. Anioły milczały wyczekująco. Zagryzłem wargę i znów poczułem smak krwi.

Drżącym palcem zacząłem wybierać numer.

Pomyślałem o tym, jaki się czuję chory i obolały, o ciosach i kopniakach z poprzedniego wieczoru, o tych wszystkich pieniądzach, które przepadły.

Przypomniałem sobie, jaki mały i słaby wydawałem się sobie w lustrze. I jak daleko musiałbym jeszcze wędrować. Ból głowy był niczym wściekły grizzly z ostrymi pazurami atakujący mój mózg.

– Linia alarmowa organów ścigania stanu Waszyngton! – ryknął ktoś prosto w moje ucho. Walczyłem z bólem o odrobinę miejsca w mojej głowie.

– Halo – odezwałem się, ale ledwie dobyteł z siebie głos, więc odchrząknąłem i spróbowałem ponownie. – Halo. Dzwonię w sprawie zaginionego chłopca. Tego z Wenatchee.

Kolejne słowa czekały, bym je wypowiedział. Czekały wśród milczących aniołów.

– Tak? – ponaglił mój rozmówca. – Słucham? Ma pan jakieś informacje o tym chłopcu?

– Tak – potwierdziłem i otworzyłem usta, by mówić dalej.

Ale cóż... No, cóż, wtedy Beau szczeknął.

Beau prawie nigdy nie szczeka. Naprawdę prawie nigdy. Chyba że jest wściekły. Taka to prawda.

W małym pomieszczeniu jego szczeknięcie zabrzmiało bardzo głośno. Zamrugąłem raptownie i spojrzałem na psa. Uszy miał postawione, ale nie machał ogonem. Przekrzywił głowę i wpatrywał się we mnie. I zaskomlał, tylko raz. Spojrzałem w jego zielone oko, a potem

w brązowe.

Przejaśniło mi się w głowie.

Nie ogarniam tego: dlaczego człowiek zawsze uważa, że poddanie się jest najlepszym rozwiązaniem, dopóki tego nie zrobi.

No jasne, byłem chory i obolały. I co z tego? Żadna mi nowość.

Racja, większość pieniędzy przepadła, ale nadal trochę mi zostało.

Dobra, kilka wilków mnie wczoraj poszarpało. Lecz potem obudziły mnie anioły.

Pewnie, byłem kompletnie sam, ale miałem przecież Beau. A jeden Beau był wart więcej niż cały świat ludzi.

Zerknąłem na zegar na ścianie. Nadal zostało mi trochę czasu.

– Halo? Czy ma pan jakieś informacje o zaginionym chłopcu?

– Tak – odrzekłem, wyrzucając serwetkę do śmietnika. – Jest w Moses Lake. Widziałem go. Na sto procent to był on.

Rozłączyłem się.

Beau stał, nadal nie spuszczał ze mnie wzroku.

– Dzięki, kolego – powiedziałem, a on pomachał ogonem i wywalił jęzor w szerokim uśmiechu.

Anioły czekały na mnie w korytarzu, gdy otworzyłem drzwi. Wysoka kobieta wyciągnęła rękę i wcisnęła mi w dłoń coś ciepłego zawiniętego w papierowy ręcznik. Zajrzałem do zawiniątka i ujrzałem świeżą tortillę, pełną ryżu, fasolki, cebuli, czerwonej salsy, zielonej kolendry i grillowanego kurczaka. Od jej zapachu niemalże ugięły się pod mną kolana.

Łzy zapiekły mnie pod powiekami. Pewnie od woni przypraw. Zamrugąłem, żeby powstrzymać płacz, tak jak zrobiłem to w łazience.

– *Gracias* – powiedziałem, a ponieważ jedno podziękowanie zdecydowanie nie wystarczyło, powtórzyłem je, czując w dłoniach ciepło jedzenia: – *Gracias*.

Kobiety uśmiechnęły się i pokiwały głowami.

– Muszę iść – dodałem, wskazując brodą tylne drzwi. – Moja *mamá*... przyjedzie. Muszę iść.

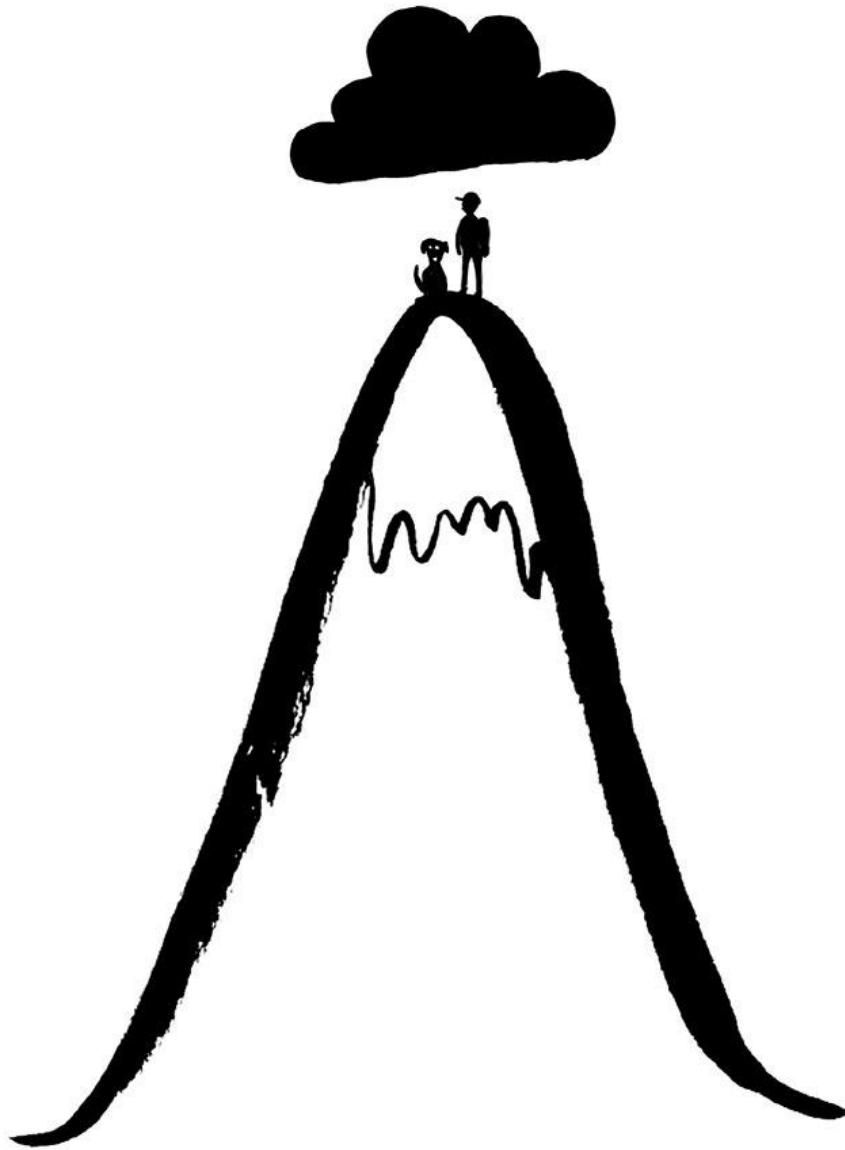
Okłamywanie dobrych ludzi to paskudne uczucie, nawet gdy zupełnie nie kojarzą, co do nich mówimy. Ale nie miałem wyjścia, więc to zrobiłem.

Powiedziały kilka słów, z których większości nie zrozumiałem, poklepały mnie po plecach i schyliły się, żeby pogłaskać Beau. Jedna z nich dała mu kilka ciepłych tortilli, które spałaszował z apetytem.

Kiedy znalazłem się w zaułku na tyłach restauracji, zaciągnąłem paski plecaka i chwyciłem pustą torbę. Wiedziałem, że będę musiał pochłonąć swoje taco w biegu. Spojrzałem na psa.

– Chodź, Beau, trzeba złapać autobus. – Wziąłem głęboki wdech, po czym dodałem: – I wspiąć się na górę.

Rozdział 4½



*Wybiegłam z domu.
Szukam odpowiedzi znów,
Więc pukam do drzwi.*

Otworzyła mama Marka. Wyglądała, jakby nie zmrużyła oka przez całą noc. Jessie dotknęła listu, który trzymała w kieszeni.

– Nie mamy żadnych nowych wiadomości, kochanie – powiedziała mama. – Przykro mi.

– Dlaczego Mark uciekł? – Jessie musiała zadać to pytanie szybko, zanim opuści ją odwaga. Nie było czasu na mówienie „dzień dobry”. Poza tym wcale nie zapowiadało się na dobry dzień.

Mama odwróciła na chwilę wzrok, a potem znów spojrzała na dziewczynkę, unosząc dłoń do gardła. I Jessie już wiedziała. Ale i tak chciała to usłyszeć.

– Wiem, że to trudne. Ale teraz najważniejsze jest to, by sprowadzić go bezpiecznie do domu – odrzekła z przygnębieniem.

– Nie – zaprotestowała Jess, kręcąc głową. – Proszę mi powiedzieć. Muszę to wiedzieć. Dlaczego on uciekł?

Mama na chwilę przymknęła oczy, a potem spojrzała ponad ramieniem dziewczynki na świat w świetle poranka. Westchnęła do wschodzącego słońca.

– Wejdz, kochanie – zaprosiła Jess.

Tato przyjaciela siedział przy stole. Po prostu siedział bez ruchu przed leżącym na blacie telefonem.

Jess zajęła krzesło naprzeciwko, a mama Marka, z trudem dobierając słowa, w końcu wyznała jej wszystko. Opowiedziała o ostatnim telefonie od lekarza, o diagnozie, którą przekazał, i o tym, jak chłopiec to przyjął.

Czasami płacz jest łatwiejszy, gdy ktoś płacze z nami, ale czasami to tylko pogarsza sprawę.

Kobieta siedziała, patrząc na swoje splecione dłonie. To były mamine dłonie, delikatne, z raptem kilkoma zmarszczkami i obłazącym lakierem na paznokciach. Lecz były puste, mogły trzymać tylko siebie nawzajem.

Jess siedziała z oczami pełnymi łez, nie podnosząc wzroku. Cierpiała. Chciała choć na chwilę przestać oddychać, bo jej nierówny oddech brzmiał jak darty papier. Niczym złamaną kość w środku ciała czuła samotność swojego przyjaciela. Tęskniła za nim tym rodzajem tęsknoty, który graniczy z wściekłością.

Tak. Dokładnie wiedziała, dokąd zmierzał. A teraz wiedziała także, dlaczego się na to zdecydował.

Zaufał jej, że nikomu o tym nie powie. Miała ochotę wyciągnąć rękę, złapać go za koszulkę i wymierzyć mu siarczysty policzek.

Czuła się przygwożdżona i obserwowana jak motyl w gablotce.

Nim zdążyła sprawdzić, czy porusza jeszcze skrzydłami, zadzwonił telefon. Tato Marka odebrał, rzucając ostre i krótkie: „Słucham”. Po chwili mocno ściągnął brwi.

– Aha. Dobrze. Tak. Naprawdę? – Spojrzał na żonę i potrząsnął głową na poły przecząco, na poły twierdząco. – W porządku. Tak, oczywiście. Dziękuję.

Odłożył słuchawkę i ujął mamę za rękę.

– Ktoś zadzwonił na linię alarmową kilka godzin temu. Podobno widział Marka w Moses Lake.

Mama głęboko zaczerpnęła tchu.

– Dobrze! – Jej głos nabrał energii. – Wiadomo coś więcej? Wiedzą, gdzie zacząć poszukiwania?

Tato pokręcił głową.

– Uważają, że to fałszywy trop. Brzmiał dziwnie. Dzwonił dzieciak. Chłopiec. – Uścisnął jej dłoń. – W tle szczekał pies.

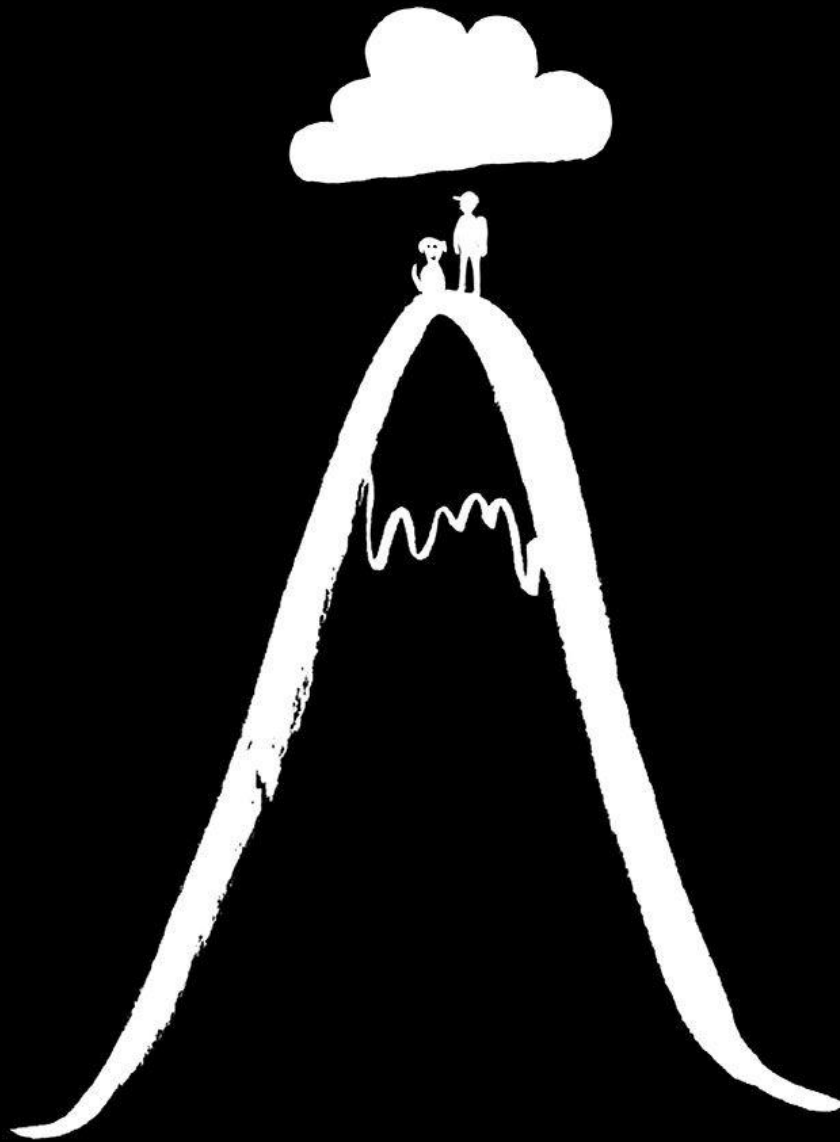
Mama siedziała z na wpół otwartymi ustami.

Znaleźli go w Seattle.

W hiszpańskiej restauracji.

Jadą po niego.

Rozdział 5



Do pokonania 182 km

Obserwowałem przez okno autobusu oddalające się Seattle i próbowałem trochę uspokoić oddech. Sapałem zdecydowanie za głośno i bałem się, że ktoś zwróci na mnie uwagę. Po biegu do autobusu nogi nadal miałem jak z waty, bo moje ciało zupełnie nie przywykło do fizycznego wysiłku. Ból ostrzył zęby we wnętrzu mojej czaszki.

Rozprostowałem palce prawej dłoni, które zdrętwiały od ciężaru torby z Beau. Psiak siedział w niej na miejscu obok mnie przy oknie. Lekko wsparłem na nim łokieć, żeby wiedział, że jestem blisko.

– Dlaczego tak ciężko oddychasz? – Znad oparcia siedzenia przede mną wychynęła dziewczęca głowa. Widziałem tylko kręcone rude włosy, piegowate czoło i ciekawskie zielone oczy. Rozejrzałem się wokół, ale na szczęście nikt inny mi się nie przyglądał.

Wzruszyłem ramionami.

– Chyba trochę się zmęczyłem. – Znów wyjrzałem przez okno w nadziei, że dziewczynka da mi spokój.

– Czym się tak zmęczyłeś?

Udawałem, że nie usłyszałem pytania, ale ona wychyliła się jeszcze bardziej i powtórzyła:

– Czym się zmęczyłeś?

Wypuściłem powietrze przez nos i popatrzyłem na nią.

– Biegiem do autobusu.

Pokiwała głową.

– Zapytam brata, czy mogę usiąść z tobą – oznajmiła i, zanim zdążyłem zaprotestować, jej głowa zniknęła.

Podróżujący z nią chłopak wyglądał na jakieś szesnaście lat. Wyjął na chwilę słuchawkę z ucha, by rzucić:

– Ta, jasne, czemu nie.

Dziewczynka natychmiast zaczęła się wciskać na moje siedzenie, więc nie miałem nawet szans na protest. Odsunąłem Beau i przysiadłem obok niego. Mała usadowiła się tak blisko, że czułem jej oddech pachnący doritos.

– Jestem Shelby – oznajmiła. – Mam sześć lat.

– Aha.

– A ty jak masz na imię?

Już chciałem się przedstawić, ale w porę się opamiętałem. Mój umysł sprężył się, a potem wypluł pierwsze imię, które się w nim pojawiło.

– Eee, Jess. To znaczy Jesse.

– Ty też jedziesz odwiedzić tatusia?

– Hm?

– Jedziesz autobusem, żeby odwiedzić swojego tatusia?

– Nie.

– A ja tak. Pierwszy raz.

– Pierwszy raz zobaczysz swojego tatę?

– Nie. Pierwszy raz odwiedzę tatusia w jego nowym domu.

– Och. – Wyjrzałem przez okno. Miasto już zniknęło. Widać było tylko magazyny, kominy i samochody na autostradzie.

– Moi rodzice się rozwiedli.

– Och. – Nie miałem ochoty na rozmowę. Chciałem się zdrzemnąć.

– Jesse?

Wzniosłem oczy do nieba.

– Tak?

– Czy twoi rodzice się rozwiedli?

– Nie.

– Och.

Znów popatrzyłem przez okno. Beau zaczął się wiercić w torbie, jakby próbował się podrapać. Dyskretnie poskrobałem go przez materiał. Chciałem, żeby ta wścibska dziewczynka zostawiła mnie w spokoju, bym mógł pozwolić pieskowi wystawić nos z torby, aby zaczerpnął świeżego powietrza.

– Co ci się stało w twarz? – Pokazała palcem moje limo.

– Nic – odrzekłem, odsuwając się. Wbiłem wzrok w całą tę beznadzieję za oknem, ale czułem, że mała nadal mnie obserwuje. Zaciśnąłem zęby. Może uciszy się, jeśli pogadam z nią twarzą w twarz. Odwróciłem się, pochyliłem i spojrzałem jej prosto w oczy.

– Grupa chuliganów pobiła mnie wczoraj w nocy – zdradziłem szeptem. – Stłukli mnie na kwaśne jabłko i zabrali mi prawie wszystkie pieniądze.

Szeroko otworzyła oczy.

– Dlaczego to zrobili?

Mrugnąłem.

– Bo zadawałem za dużo pytań.

Zastanawiała się przez chwilę.

– Ja bym przestała zadawać pytania – uznała.

Nie mogłem powstrzymać się od lekkiego uśmiechu.

– Chyba raczej nie – stwierdziłem.

Odwzajemniła uśmiech.

– Pewnie masz rację. Lubię gadać.

– Zauważyłem.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Przesunąłem dłonią po boku Beau. Westchnął sennym psim westchnieniem. Na szczęście zagłuszył go szum asfaltu pod kołami autobusu.

– Skoro zabrali ci pieniądze – podjęła wątek dziewczynka – to czym zapłaciłeś za bilet?

– Już go miałem. Kupiłem wcześniej przez Internet.

– Och. – Poskubała strup na swoim kolanie. – Moi rodzice niedawno się rozwiedli. Mieszkamy teraz z mamą, bo tato się wyprowadził. Pierwszy raz jadę go odwiedzić w jego nowym domu.

– Muszę chwilę popracować – oznajmiłem. Wyjąłem z plecaka zeszyt i pióro. Ostatnie słowa zapisałem w barze, jeszcze przed wilkami i aniołami. Czułem, że powinienem napisać coś o aniołach. Nawet jeśli były tylko kucharkami w meksykańskiej restauracji.

Przypomniałem sobie, jak głosy aniołów obudziły mnie rano. Poszukałem słów, a potem policzyłem w myślach sylaby i zacząłem notować.

Koszmar minął już.

– Co robisz?

– Zadanie domowe – odpowiedziałem, nie unosząc wzroku. Chwilę pomyślałem, policzyłem na palcach i zapisałem kolejną linijkę.

Śpiew anioła budzi mnie.

– Co liczysz?

– Ciii.

Przypomniał mi się telefon i to, jak prawie się poddałem, potem mój smutek przeszedł w gniew, a gniew w coś innego. Coś lepszego. Wiedziałem, jak powinna brzmieć ostatnia linijka.

Wilki odeszły.

Odłożyłem pióro i przeczytałem całość. Sprawdziłem liczbę sylab i pokiwałem głową. Ogarnęło mnie potworne zmęczenie. I taki dziwny rodzaj głodu, który nie woła wcale o jedzenie.

– Dlaczego zapisujesz wszystko w trzech linijkach? – zapytała Shelby. Wskazała to, co właśnie zanotowałem, a potem to, co napisałem w barze.

Byłem zbyt zmęczony, żeby kłamać albo coś zmyślać. Ta mała nie zamierzała się poddać. I może to by nie było takie złe pogadać z kimś, kto nie chce przyłożyć mi w zęby.

– To taki wiersz – wyjaśniłem. – Nazywa się haiku. Zawsze ma tylko trzy linijki.

– Dlaczego?

– Po prostu. I wersy zawsze mają taką samą liczbę sylab.

– Co to jest sylaba?

– No, sylaba. Dźwięk. Tak jak tu. Pierwszy wers haiku musi mieć pięć sylab. – Przeczytałem linijkę, cicho klaszcząc przy każdej sylabie. – „Kosz-mar-mi-nął-już”. Pięć sylab. – Pokiwała głową. – Drugi wers zawsze ma siedem. – Przeczytałem drugi wers, a ona tym razem klaskała ze mną. – „Śpiew-a-nio-ła-bu-dzi-mnie”.

– Siedem! – wykrzyknęła z szerokim uśmiechem.

– No właśnie. A ostatni wers znów ma pięć. „Wil-ki-o-de-szły”. Pięć, siedem, pięć.

Uśmiechnęła się znów i przesunęła palcem po słowach na papierze.

– Podobają mi się te wiersze hiku – stwierdziła.

– Haiku. Mnie też. To moje ulubione. Razem z moją przyjaciółką... – Głos mi zadrżał, gdy pomyślałem o Jessie. Przełknąłem ślinę i mówiłem dalej, żeby powstrzymać napływające do oczu łzy. – Ja i moja przyjaciółka je uwielbiamy. Nasza ukochana nauczycielka w trzeciej klasie nauczyła nas je pisać. Stosujemy te wierszyki jak coś w rodzaju... szyfru. Piszemy do siebie haiku, a czasami nawet tak rozmawiamy. To takie... takie nasze. Coś naszego własnego, tylko jej i moje.

Shelby zmarszczyła brwi.

– Masz najlepszą przyjaciółkę? Taką jakby dziewczynę?

– Nie, jest po prostu moim przyjacielem. Przyjaźnimy się od zawsze.

– Och.

Autobus trząsł się i podskakiwał. Zamknąłem zeszyt. Mężczyzna za nami zaczął chrapać.

– Jak dojadę – powiedziała Shelby – nie będę z nim w ogóle rozmawiała. Przez cały weekend.

– Z kim?

– Z tatusiem. Nie odezwę się do niego ani słowem.

– Dlaczego?

Uniosła brodę, a w jej zielonych oczach zabłyśły łzy.

– Bo jestem wściekła! Zła. B a r d o zła. – Jej głos lekko się załamał.

Mocno zacisnęła dłonie na kolanach. Widziałem jej wściekłość w ściągniętych ustach, w rumieńcu na policzkach, w rozdętych nozdrzach.

Doskonale znałem to uczucie. Taka to prawda.

– Masz ochotę zrobić mi zdjęcie? – zapytałem.

Zrobiła zdziwioną minę.

– Co?

Wyjąłem aparat spod kurtki i uniosłem. Jej palce odrobinę się rozluźniły, a napięcie na twarzy zelżało.

– Tym – wyjaśniłem. – Uśmiechnij się. Najpierw ja ci zrobię zdjęcie.

Przygryzła dolną wargę i zerknęła na mnie z ukosa. Wyraźnie nie chciała rezygnować ze swojej złości.

– Uśmiechnij się – powtórzyłem i pokazałem jej język.

Skrywany uśmiech przebił się przez gniewną minę. Zwolniłem migawkę.

– Świetnie – pochwaliłem, a ona uśmiechnęła się szerzej. – Teraz twoja kolej.

Zdjąłem pasek z szyi i podałem jej aparat. Odwróciła go i przyjrzała mu się z konsternacją.

– A gdzie jest ekran? – zapytała.

Roześmiałem się.

– To nie jest cyfrówka, tylko staroświecki aparat z kliszą w środku. Należał do mojego dziadka. Spójrz przez wizjer i naciśnij ten guzik na górze.

Wzruszyła ramionami, a potem spojrzała na mnie przez obiektyw.

– Musisz się uśmiechnąć – poleciła, mrużąc jedno oko i ustawiając kadr. Uśmiechnąłem się półgębkiem. – I zdejmij czapkę.

– Nie.

Otworzyła oko, słysząc nieustępliwość w moim głosie.

– Nie chcę jej zdejmować. No, zrób zdjęcie. – Uśmiechnąłem się promiennie, a ona znów odpowiedziała uśmiechem i zrobiła fotkę.

Przez chwilę gapiła się na aparat.

– Jak można teraz zobaczyć zdjęcie?

– Nie można. Trzeba najpierw pójść do zakładu i wywołać film, tak jak się to kiedyś robiło. Ale ono jest tam w środku.

– Aha. Robisz dużo zdjęć?

– Tak. Lubię to.

– Ale dlaczego?

Wzruszyłem ramionami.

– Nie wiem. Chyba... chyba podoba mi się uczucie, że coś utrwalam. Że coś zatrzymuję na zawsze. – Spojrzałem na mijane drzewa, drogowskazy i ciepłe domy obcych ludzi. – To tak, jakby... nie wiem, łapać kawałek życia. Tyle się dzieje, wszystkie te chwile mijają i znikają. I człowiek też znika. – Wziąłem długi, głęboki wdech i wypuściłem powietrze, które osiadło parą na szybie. – Ale gdy robisz zdjęcie, ta chwila nie znika. Chwytasz ją. Jest twoja. I możesz ją zachować.

Przeniosłem wzrok na Shelby, a ona zamrugła oczami, wyraźnie nic z tego nie rozumiejąc.

– No dobrze... – powiedziała.

Uśmiechnąłem się i wyciągnąłem rękę. Mała ziewnęła szeroko po dziecięcemu, oddając mi aparat. Koła autobusu stukwały na powierzchni autostrady niczym rytmicznie bijące serce. Shelby oparła głowę o siedzenie. Odrobinę odsunąłem zamek w torbie i poczułem, że Beau wystawia mokry nos. Położyłem dłoń tam, gdzie powinny znajdować się jego uszy, i też usiadłem wygodniej. Za oknem było szaro i ciemno. I wyglądało na to, że zimno.

Shelby znów ziewnęła i jej głowa opadła na moje ramię. Nie odsunąłem jej. Pomyślałem o rodzicach i nagle ostre szarpnięcie miłości poruszyło moim sercem, a po nim nastąpił zimny

prysznic poczucia winy. Było mi przykro za wszystko, co im robiłem. Jakby nie dość przeze mnie przeszli. Zawsze chcieli dla mnie tylko tego, co najlepsze, a ja właśnie narażałem ich na najgorsze. Musiałem to zrobić, lecz wcale nie musiałem czuć się z tym dobrze.

– Nie powinnaś się złościć na tatę – zwróciłem się do małej.

– Dlaczego nie? – Głos miała senny.

Pokręciłem głową.

– Nie wiem. Po prostu myślę, że lepiej się nie złościć.

Nie odpowiedziała. Moje oczy mrugały wolniej z każdym mijanym samochodem. Stłumiłem ziewnięcie i pozwoliłem powiekom opaść. Ból wgryzał się w mój mózg zardzewiałymi metalowymi zębami. Pomyślałem o pigułkach w plecaku, ale ich nie wyjąłem.

– Jesse?

– Tak?

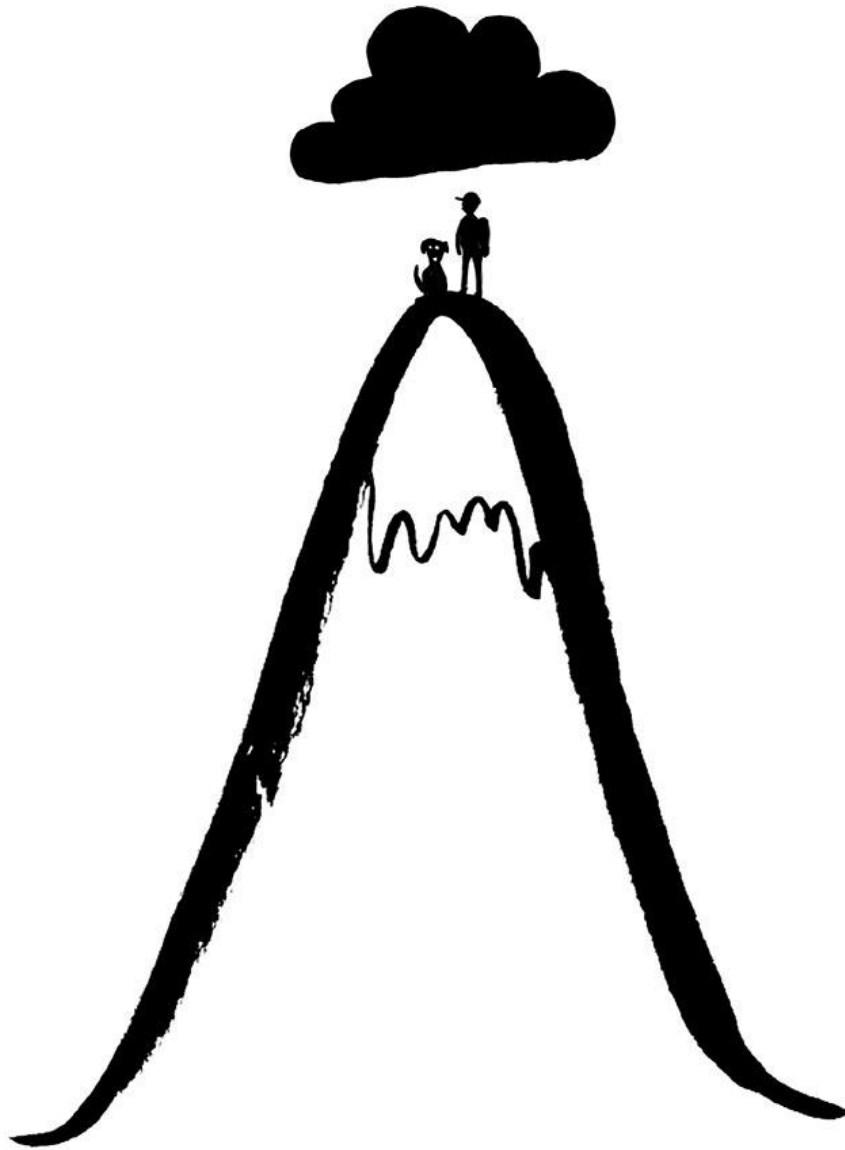
– Mówiłeś, że nie jedziesz do tatusia. To dokąd jedziesz?

Minęliśmy zieloną tablicę na poboczu, na której widniał napis: „Raj – 177 km”.

Mój żołądek skręcił się w mały czerwony węzełek strachu.

– Wspiąć się na górę – odrzekłem.

Rozdział 5½



*Karton starych zdjęć.
Listy policzonych słów.
Kartki ze wspomnień.*

Jess leżała na łóżku, przeglądając zawartość pudełka z pamiątkami, które trzymała na górnej półce szafy. Znajdowały się w nim głównie zdjęcia jej i Marka robione jego starym aparatem. Były tam też karteczki, które przekazywali sobie od przedszkola. Liściki, które zostawiał za cegłą pod jej oknem. Przeglądając je, co jakiś czas ocierała policzki i brodę, by łzy nie spadały na fotografie i nie rozmazywały listów.

Oto oni pierwszego dnia jej zerówki. Plecak był niemalże większy od niej. Mark leżał w łóżku w swoim pokoju, bo musiał zacząć naukę w domu z mamą. Przez większą część roku był zbyt chory, żeby chodzić do szkoły. Ale i tak świętowali pierwszy dzień razem. I tak chciał zrobić pamiątkowe zdjęcie, tak jak inne dzieci.

Fotka ze zjeżdżalni na basenie w lecie po pierwszej klasie. Czuł się wtedy świetnie. Nawet myśleli, że może poprawi mu się na stałe. Chodził do szkoły przez cały rok. Jego uśmiech, gdy obejmowali się chudymi ramionami, wyglądał wesoło i zdrowo. Tak jak jej. Podobało jej się, że mieli taką inną skórę – on jasną, ona brązową – i takie podobne uśmiechy. Dwójka zwykłych szczęśliwych dzieciaków.

Trzecia klasa. Przyjęcie w szkole z okazji jego powrotu. Znów zachorował i opuścił trzy miesiące. Cała klasa zrobiła dla niego kartki z życzeniami. Pani Wilson poleciła wszystkim, by napisali haiku, ponieważ tak bardzo je lubił. Na zdjęciu wyglądał na zmęczonego, ale szczęśliwego. Pozostałe dzieci otoczyły go kręgiem. Miał czapkę bejsbolową, która była na niego za duża. Jako jedyny w szkole mógł nosić czapkę podczas lekcji.

Czwarta klasa. Pozowali w strojach do piłki nożnej przed pierwszym meczem. Oboje wyglądali na podekscytowanych. To był najlepszy rok Marka, w ogóle nie chorował. Wydawało się niemalże, że cała ta sprawa to był jakiś okropny czteroletni koszmar, który został za nimi. Do zdjęcia dołączony był liścik, który Mark zostawił w kryjówce na początku roku. „Wyniki dobre” – powiadomił swoim niewyraźnym pismem. „Uczcijmy je dziś pizzą. Masz ochotę wpaść?”. Jess pociągnęła nosem, patrząc to na zdjęcie, to na wierszyk.

Następna była pocztówka, którą jej dał podczas wakacji przed piątą klasą. Tego lata Mark bardzo się zakręcił na punkcie górskiej wspinaczki. Jego dziadek był świetnym alpinistą i podarował mu książkę o wspinaniu, a chłopiec czytał ją ciągle od nowa. Nauczył się wszystkiego, co mógł. Wspinaczka stała się jego potajemną pasją. Nie zdradzał się z tym przed rodzicami, bo byli nadopiekuńczy, jak twierdził. Nie zwierzał się też kolegom, ponieważ by tego nie zrozumieli. Był za mały i zbyt chorowity, żeby chodzić po górach. Ale powiedział Jess, jej mówił wszystko. Obrazek na pocztówce przedstawiał górę: błękitną, skalistą i zwieńczoną śnieżną czapą, wyglądającą, jakby miała sto pięćdziesiąt kilometrów wysokości. Pod zdjęciem widniał wykonany fantazyjnymi literami podpis: *Góra Rainier*. Jess odwróciła pocztówkę, by przeczytać jedno słowo, które Mark napisał z tyłu kartki. „Kiedys”.

Ostatni list – poza tym, który nadal trzymała w kieszeni – pochodził sprzed kilku tygodni. Był krótki i zwięzły. „Jutro mnie nie ma. Wróciły bóle głowy. Trzeba znów badać”.

Powinna była się domyślić. W sumie się domyślała, tylko nie chciała się do tego przyznać.

Oczy ją zapiekły od łez i wzrok jej się rozmazał. Mruganie nic nie dało, ale tak naprawdę wcale nie musiała patrzeć na zdjęcia, żeby widzieć twarz Marka. Nie musiała czytać listów, żeby słyszeć jego głos.

Z absolutną, potworną pewnością wiedziała, co przyjaciel chciał zrobić. Ale istnieją różne rodzaje potworności na tym świecie. To, co planował, było tylko jednym z nich. I może wcale nie najgorszym.

Czasami nienawidziła lekarzy.

Tego ranka w domu Marka czekała wraz z jego rodzicami na następny telefon. Byli pewni, że tym razem policja oznajmi, iż znalazła go w restauracji i wkrótce przywiezie do domu. Cóż to by była za ulga.

Telefon w końcu zadzwonił. Mama Marka odebrała i przekazała im, że policjanci na miejscu zastali tylko puste biuro i kilka pań pracujących w kuchni. Owszem, widziały Marka, ale nie miały pojęcia, dokąd poszedł. W łazience znaleziono papierowe ręczniki poplamione krwią.

Tato pokręcił głową i zamknął oczy. To nie miało sensu. Chłopiec był chory, ale dlaczego krwawił?

Rodzice wyglądali na coraz bardziej zagubionych, niepewnych i smutnych.

– Gdzie on może być? – pytali ciągle.

Jess w milczeniu trawiła swoje wnioski, mocno zaciskając usta, żeby zachować je dla siebie.

Mark wiedział, że ona się domyśli. Ufał jej. Wszystko zależało tylko od niej.

Czy powinna go wydać i uratować? Czy uratować, pozwalając odejść?

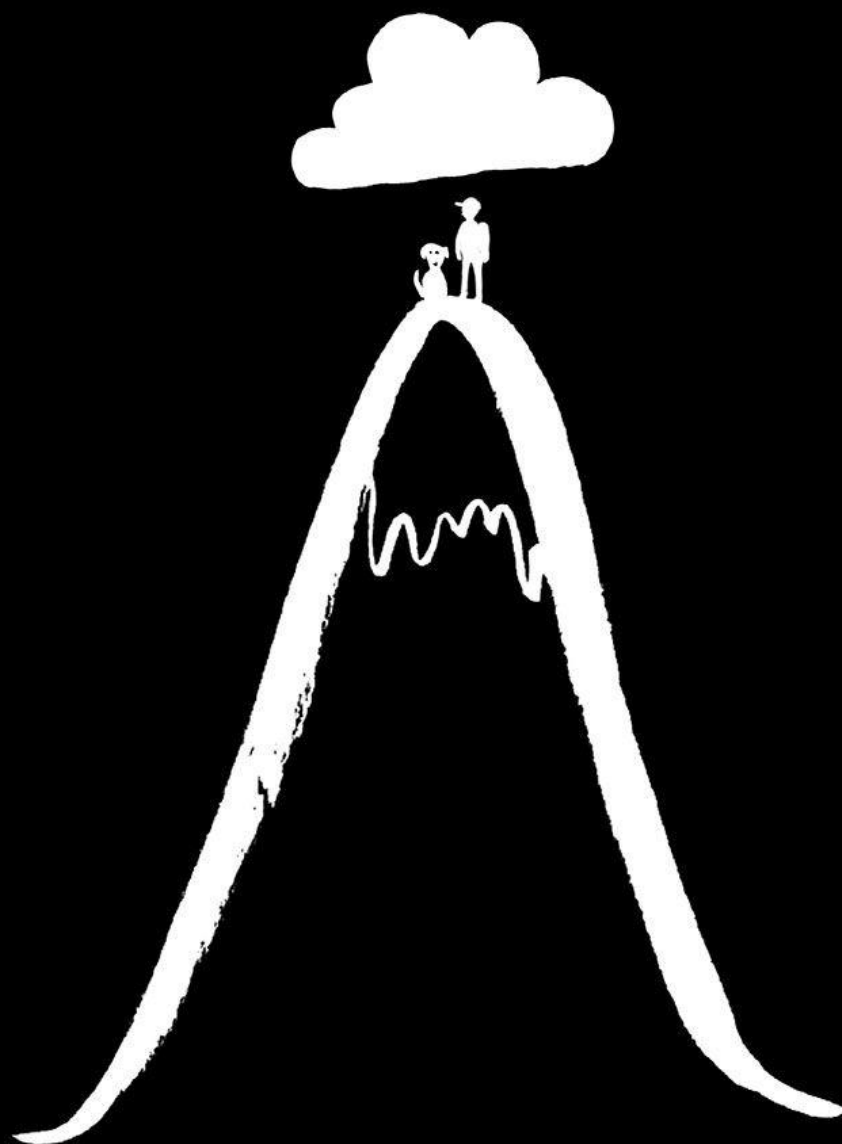
To niesprawiedliwe. Jak można być równocześnie tak smutnym i tak zdezorientowanym? Zbyt trudna decyzja spoczywała na jej barkach. I zbyt silne emocje. Była zagubiona.

Przyjaciel nie wie,

Jak pomóc, gdy pomoc i

Zdrada to jedno.

Rozdział 6



Do pokonania 60 km

Autobus zatrzymał się na żwirowym parkingu tuż przy drodze.

– Miasteczko Elbe – oznajmił kierowca przez świsty i szmery w mikrofonie. – Pięć minut przerwy na papierosa.

Drzwi z przodu otworzyły się, a mężczyzna oraz kilku pasażerów wysiedli, żeby zapalić.

Padła deszcz. Chmury przykrywały świat od jednej krawędzi nieba po drugą. Kolor miał tak ciemny, że wydawały się prawie czarne. Wiatr szarpał gwałtownie drzewami.

Shelby nadal spała wsparta o moje ramię, ale niestety musiałem tu wysiąść. To był nasz przystanek, mój i Beau.

W czasie ostatnich kilku kilometrów snu dziewczynki napisałem do niej krótki liścik. Składał się z trzech linii: pięć sylab, siedem i znów pięć. Dotyczył głównie złoszczenia się, a właściwie niezłoszczenia. Wsunąłem papier w jej rękę. Oblizła usta, zacisnęła palce na karteczce, a jej głowa zsunęła się z mojego ramienia na oparcie siedzenia. Wstałem, chwyciłem rączki torby z Beau i precyzyjnie się obok dziewczynki.

Jej brat wyglądał przez okno, a ze słuchawek w jego uszach dobiegały stłamszone dźwięki agresywnej muzyki. Wyciągnąłem rękę i wyszarpnąłem jedną z nich. Obrzucił mnie oburzonym spojrzeniem.

– Uważaj na nią, głupi palancie – rzuciłem na odchodne. Otworzył szeroko usta ze zdumienia, a ja spokojnie wysiadłem z autobusu.

Miasteczko Elbe było niewielkie – ledwie zakręt na dwupasmowej drodze. Kilka zmokniętych domków. Obskurny motel przy stacji benzynowej. Stary wagon kolejowy zestawiony z torów i przerobiony na knajpę. Mój brzuch miotał się między śmiercią głodową i mdłościami. Musiałem spróbować coś zjeść.

Deszcz mżył, marszcząc kałuże w żwirowej nawierzchni parkingu. Moja głowa była jak pęknięty werbel, w który ktoś nadal młóci pałką. Bolała tak bardzo, że zamknąłem jedno oko. Beau biegał wokół w cieniu drzew, węsząc i opróżniając pęcherz, a ja wyłowilem pigułki z kieszeni kurtki. Zagrzechotały w buteleczce, obiecując ulgę od bólu, ale wiedziałem, że będzie mi po nich znów niedobrze. Kolejny posiłek zmarnowany w ubikacji, a musiałem jeść, by mieć siły.

Przygryzając język, wcisnąłem i przekręciłem zakrętkę na pojemniku. Zanim zdążyłem zmienić zdanie, obróciłem buteleczkę do góry dnem i wysypałem całą jej zawartość. Okrągłe białe pigułki opadły jak twarde i ciężkie płatki śniegu. Niemalże świeciły, tak jasne się wydawały w ciemnościach na parkingu.

Wylądowały z cichym chlupotem w błotnistej kałuży u moich stóp.

Od tej pory będę musiał jakoś radzić sobie z bólem. Nie umrę od niego. Choć owszem, umrę, ale przecież właśnie o to chodzi. Taka to prawda.

Na szczęście kelnerka w wagonie była zbyt zabiegana, by zadawać za dużo pytań. Powiedziałem jej, że mama śpi w motelu po drugiej stronie drogi, a ona bez wahania wyjęła długopis wetknięty w kok i przyjęła ode mnie zamówienie.

Jedzenie było smaczne i utrzymałem je w żołądku, żując starannie mimo bólu głowy. Beau siedział jak aniołek w torbie u moich stóp, a ja ukradkiem podawałem mu jak najwięcej kąsków, choć były słone i gorące.

Czekając, aż kelnerka wyda mi resztę, spojrzałem przez okno na stację benzynową. Jakiś człowiek tankował paliwo, a para z wielkimi plecakami stała pod ścianą, chroniąc się przed deszczem. Za chwilę miał podjechać autobus zabierający pasażerów do rezerwatu. To miał być

ostatni etap mojej podróży, którego nie zamierzałem pokonać pieszo, w każdym razie według pierwotnego planu. Ale według niego miałem mieć w kieszeni jeszcze pięćdziesiąt dolarów na autobus.

Mogłem poprosić turystów, żeby zafundowali mi bilet, ale nie chciałem. Pragnąłem zrobić wszystko od początku do końca samodzielnie, bez niczyjej pomocy. Nie potrzebowałem niczyjej pomocy. Poza tym pewnie wzbudziłbym podejrzenia. No bo niby dlaczego dzieciak wybiera się na wyprawę górską zupełnie sam? Przecież może mu się stać krzywda.

Przyjąłem resztę od kelnerki i poszedłem na drugą stronę ulicy na stację benzynową. Tak naprawdę nie miałem żadnego planu. Wiedziałem jedynie, dokąd jądę i jak się tam dostać – ot i cały plan.

Oparłem się o ścianę obok jakichś turystów. Byli młodzi, koło dwudziestki, oboje mieli długie włosy i bandany na szyi.

Chłopak spojrział na mnie.

– Jedziesz do Raju? – zagadnął.

– Tak – potwierdziłem. Czekałem na kolejne pytanie, zastanawiając się, z jakim kłamstwem wystąpię.

Ale on tylko pokiwał głową.

– Spoko, ziom – rzucił. – Autobus powinien tu być lada moment.

Mimo paskudnej pogody dołączyło do nas jeszcze kilka osób. Starsza para bez sprzętu wspinaczkowego, ale za to z trzema aparatami i lornetką. Rodzina z dwójką dzieci, które biegały w koło i wrzeszczały. Starszy pan z laską, który wyglądał tak szczupło i zdrowo, jakby mógł przejść tysiąc pięćset kilometrów i nawet się nie zasapać.

Mogłem wtopić się w tłum, co mi bardzo odpowiadało. Usiadłem na ziemi pod ścianą, głaszcząc Beau przez materiał torby.

Gdy podjechał autobus, zrobiło się spore zamieszanie. Pasażerowie kupowali bilety i pakowali bagaże. Kierowca chodził między nimi z podkładką do pisania. Wyglądał na pochłoniętego swoimi obowiązkami i zirytowanego.

Czekałem na odpowiednią chwilę. W końcu kierowca poszedł na tył autobusu, żeby wcisnąć ciężki plecak do bagażnika. Natychmiast chwyciłem swoją torbę, przemknąłem między pasażerami stojącymi na zewnątrz i wszedłem po schodkach do środka.

Chciałem usiąść dyskretnie gdzieś z tyłu, ale to był mały autobusik i wolne podwójne siedzenia znajdowały się tylko z przodu, a ja potrzebowałem miejsca dla Beau. Opadłem na fotel przy oknie, położyłem torbę na siedzeniu od strony przejścia i starałem się jak najmniej rzucać w oczy. Po chwili pozostali pasażerowie zajęli resztę miejsc.

– Witam – odezwał się kierowca, wchodząc do środka i zamykając drzwi. – Wyruszamy do Centrum Turystycznego Raj w Parku Narodowym Góry Rainier, gdzie zaczyna się szlak prowadzący na szczyt. Mam nadzieję, że nikt z państwa nie zamierza się wspinać na górę w najbliższym czasie, ponieważ zbliża się paskudna burza. – Silnik autobusu ożył, kierowca wrzucił bieg. Ruszyliśmy. – Czeka nas krótki postój w Ashford, a w Raju będziemy mniej więcej za godzinę.

Udało mi się. Jeszcze krótka jazda i znajdę się u stóp góry. U stóp mojej góry. A wtedy...

A wtedy?

Żołądek znów zawiązał mi się na supeł, a serce zaczęło walić tak mocno, że poczułem jego rytm w gardle. Najpierw dostałem ślinotoku, a potem zupełnie zaschło mi w ustach. Oddychałem szybko i płytko.

Potrząsnąłem głową i zamrugałem dwa, trzy, cztery razy, z całej siły wbijając paznokcie we wnętrza dłoni.

– Pieprzyć to – wyszeptalem przez zaciśnięte zęby. – Pieprzyć to.

Nie ogarniam tego: dlaczego wszyscy robią takie wielkie halo z umierania.

Umieranie i życie – to taki bajzel. Taka to prawda. Zezłościłem się. Ale była to pełna smutku złość.

Spośród tych uczuć wypłynęło pewne wspomnienie. Zamknąłem oczy i trzymałem je w myślach niczym gładki, rzeczny kamyczek.

Znów miałem nawrót choroby. Jessie mnie odwiedzała, co było bardzo miłe z jej strony. Kiedy chorowałem, strasznie się nudziłem i czułem się samotny. Tego dnia leżałem w łóżku, a Beau jak zawsze zwinął się w kłębek obok mnie. Moja mama, która z natury miała hopla na punkcie czystości i nie tolerowała czegoś takiego jak pies w pościeli, nigdy go nie wyganiała. Pozwalała mu trwać przy mnie, bo tam było jego miejsce.

Jessie zauważyła, że jestem jakiś milczący.

– Zawsze jest milczący – stwierdziła mama, gładząc mnie po czole miękkimi palcami. Ona też nieustannie trwała przy mnie, tak jak Beau. – Zawsze był trochę milczący i zamyślony.

Jessie pokręciła głową. Mieliśmy wówczas po siedem lat i wciąż byliśmy małymi dziećmi.

– Nie – zaprotestowała poważnym dziecięcym tonem. – Nie w taki sposób. Teraz jest bardziej przestraszony.

Małe dzieci są niemądre. Mówią każdą głupotę, która im wpadnie do głowy, niezależnie od tego, jak bardzo jest prawdziwa. Niezależnie od tego, jak zasmuci czyjąś mamę.

– Przestraszony? – zapytała mama z nerwowym śmiechem, kładąc dłoń na moim ramieniu i delikatnie je ściskając. – A czego miałby się bać?

Jessie ściszyła głos do szeptu.

– Może się boi umierania – wyjaśniła z poważnymi oczami pełnymi łez.

Nie chciała nikomu sprawić przykrości ani być niegrzeczna, po prostu nie umiała się inaczej zachować.

Ale ja usłyszałem, jak mama głośno przełknęła ślinę, zauważyłem, jak jej głowa drgnęła. Wiedziałem, że jeśli na nią popatrzę, w jej oczach też ujrzę łzy, więc nie uniosłem wzroku.

– Och, Jess – westchnęła mama – niemądre rzeczy mówisz, to tylko...

Przerwałem jej:

– To prawda. Boję się umierania.

Chłodne palce mamy przesunęły się miękko po moim gorącym czole. Niemalże słyszałem słowa cisnące się jej na usta, które powstrzymywała, szukając tych właściwych.

– Nie trzeba się bać – powiedziała w końcu. – Wiem, że to trudne, kotku, ale nie trzeba się bać. – Spojrzała na Beau śpiącego przy mnie, jego żebra unosiły się i opadały w rytmie miarowego oddechu. – Popatrz na Beau – dodała. – Myślisz, że pozwoliliby, by coś ci się stało? Że pozwoliliby ci kiedykolwiek zostać samemu albo samotnie z czymś walczyć?

– Nie – odpowiedziałem schrypniętym głosem. – Nie pozwoliliby. Jest najlepszy. Ale... psy też umierają, mamó. Psy umierają.

Znów zapadła cisza. Łzy i smutek wypełniały mnie po brzegi.

– Tak – potwierdziła mama po chwili. – Psy umierają. Ale też żyją. Dopóki nie umrą, to żyją, pięknie i odważnie. Bronią swojej rodziny. I ją kochają. Wnoszą radość w nasze życie. Nie marnują czasu na strach przed jutrem. Spójrz na niego teraz, kotku. – Wszyscy w trójkę popatrzyliśmy na psa śpiącego u boku chorego chłopca, a ja podrapałem go za uszkiem. – On niczego się nie boi – mówiła dalej mama. – Nie martwi się o nic. Po prostu żyje swoim życiem. Jest szczęśliwy z tobą teraz. To bardzo mądry piesek.

Rzeczywiście był mądrym pieskiem. Wyciągnąłem rękę i poklepałem go, gdy tak leżał

spokojnie w torbie w autobusie u boku chorego chłopca. Teraz moja kolej. Moja kolej, by żyć pięknie i odważnie. Moja kolej, by żyć, dopóki nie umrę. Ale nie mogłem wyrzucić z głowy moich własnych słów: „Psy też umierają”.

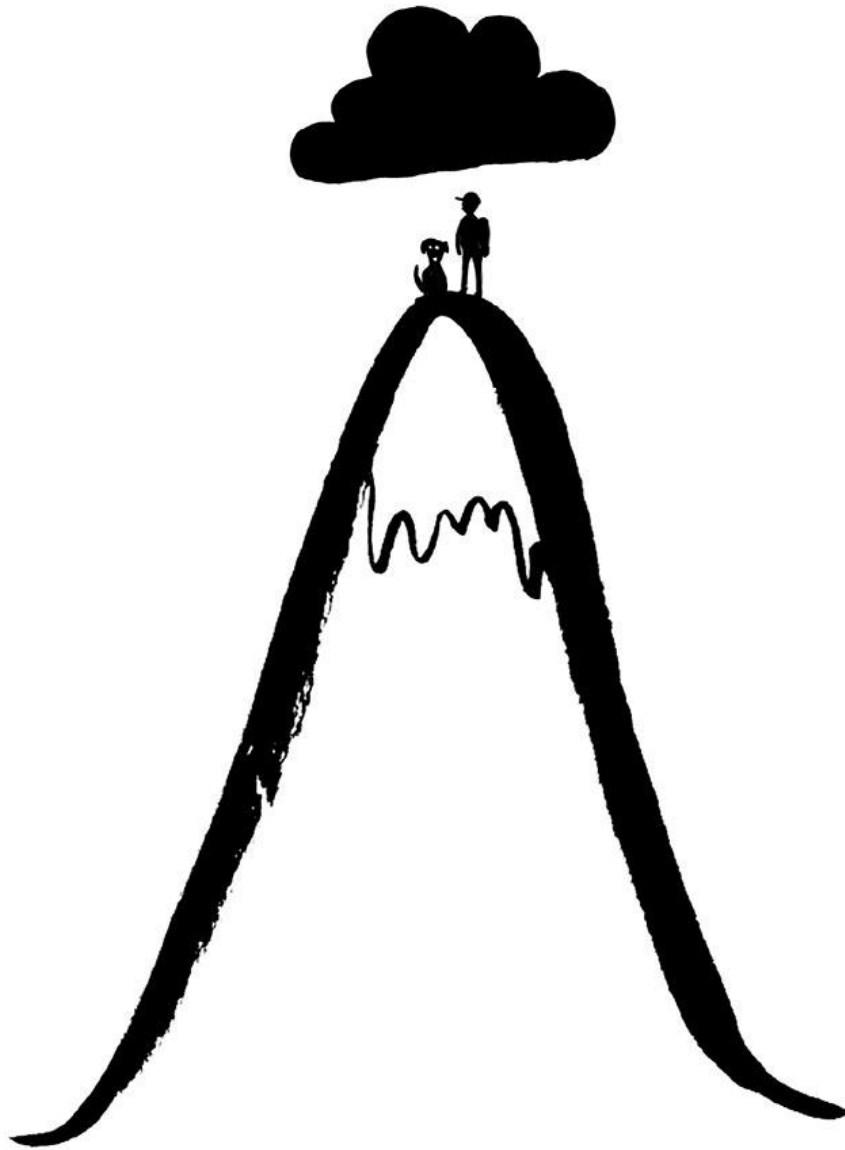
Tak pogrążyłem się w tym wspomnieniu, że ledwie zauważyłem, gdy autobus zatrzymał się przed małym hotelem i kawiarnią przy drodze.

– Ashford! – zawołał kierowca, otwierając drzwi i wyłączając silnik. – Kilka minut postoj. Dosiądzie się tutaj jeszcze paru pasażerów.

Oparłem głowę o siedzenie, żeby poczekać. Czuję się zmęczony do szpiku kości, ale zanim zdążyłem zamknąć powieki, kierowca odwrócił się, spojrzał prosto na mnie i warknął przez zęby:

– Wiem, co robisz, synu. Wsiadaj z mojego autobusu. No, już!

Rozdział $\delta^{1/2}$



*Wieczór znów i te
same pytania: co ma
zrobić przyjaciel?*

Jessie siedziała przy stole i grzebała widelcem w jedzeniu stygnącym na talerzu. W ogóle nie miała apetytu. Czuła się zbyt przepełniona wrażeniami po ostatnich dwóch dniach.

Wiedziała, że teraz wszystko zależy od niej. Od tego, czy wyjawি tajemnicę, choć nikt nawet nie wiedział, że ją skrywa. Sekret jej ciążył. Przytłaczał ją niczym wielki głaz.

To, czy ostatnie życzenie Marka się spełni, zależało od decyzji, czy ona coś powie, czy nie.

Wiedziała, jak bardzo cierpią jego rodzice, jak nieszczęśliwi się czuli przez ostatnią dobę, jacy są smutni, przerażeni i zrozpaczeni. Chcieli tylko odzyskać chorego syna. I zależało to wyłącznie od decyzji Jess.

Cała odpowiedzialność spoczywała na niej. A jej serce drżało pod przytłaczającym ciężarem tajemnicy.

W którymś momencie tego ponurego popołudnia postanowiła, że nie zdradzi sekretu. To był dla niej wielki ciężar, ale wiedziała, że jej najlepszy przyjaciel niesie brzemię o wiele większe. I to powinien być jego wybór. To musi być jego wybór.

– Hej, *mi amor* – odezwała się jej mama, przerywając ciszę. – *¿Cómo estás?* Wszystko dobrze?

– *Sí.* – Jesse wzruszyła ramionami. – Nic mi nie jest, *mamá.*

Mama wyciągnęła rękę nad stołem i uścisnęła dłoń dziewczynki.

– Nie martw się, skarbie, na pewno go znajdą.

Jessie spuściła wzrok.

– Jasne – powiedziała.

Mama cofnęła rękę i zjadła kęs enchilady.

– Jak myślisz, dlaczego Mark uciekł? To dość okropne – zrobić coś takiego rodzicom po tym wszystkim, przez co przeszli.

Jessie odpowiedziała bez zastanowienia, może dlatego, że była zmęczona, a może dlatego, że nie chciała, aby mama mówiła coś złego o jej przyjacielu, nie w takim momencie. Może też dlatego, że jej serce nie mogło znieść brzmienia aż dwóch potwornych tajemnic.

– Ponieważ umiera – powiedziała głosem bez wyrazu, nie unosząc wzroku znad talerza.

Mama przestała jeść.

– *¿Qué?* Co to znaczy? – zapytała z pełną buzią.

Dziewczynka poczuła, że łzy napływają jej do oczu, ale powstrzymała je mruganiem, zatrzymała w środku, by ogrzewały jej sekret.

– To znaczy, że rak wrócił – odrzekła niemalże z przekąsem. – Dowiedzieli się o tym w zeszłym tygodniu.

Mama przełknęła powoli i odłożyła widelec.

– Och – westchnęła raz, a potem drugi. – Och. – Odchrząknęła. – Ale to nie znaczy, że on umiera, *mija.* Ma nawrót choroby, a przecież już raz ją pokonał. Mark jest typem wojownika, wiesz o tym.

Jessie z brzękiem opuściła widelec na talerz, po czym pokręciła głową i pociągnęła

nosem.

– Dobra, więc może nie umiera akurat w tej chwili. Ale liczył na to, że mu się poprawi, a tak nie jest. Jutro miał znowu zacząć kolejną terapię – wyjaśniła i w końcu spojrzała w szeroko otwarte oczy mamy. – A tak dobrze się czuł, nawet włosy mu odrastały. Teraz nowotwór wrócił i znów musiałby przechodzić przez to wszystko od początku. – Jessie wzruszyła ramionami i przygryzła wargę. – Więc odszedł.

Zapadła cisza. Gdzieś w domu tykał zegar, odliczając chwile życia.

Jessie chwyciła widelec i podniosła do ust kęs jedzenia, bo nie chciała więcej mówić. Bała się, że jeśli zacznie, to nie przestanie, dopóki nie wyjawি wszystkiego.

A potem mama zadała pytanie, którego dziewczynka najbardziej się bała.

– Jak myślisz, dokąd się wybrał?

Jess przelknęła.

Jej serce trzymało sekret mocno, najmocniej, jak potrafiło. Trzymało go, żeby się nie wymknął i nie znalazł ujścia w słowach.

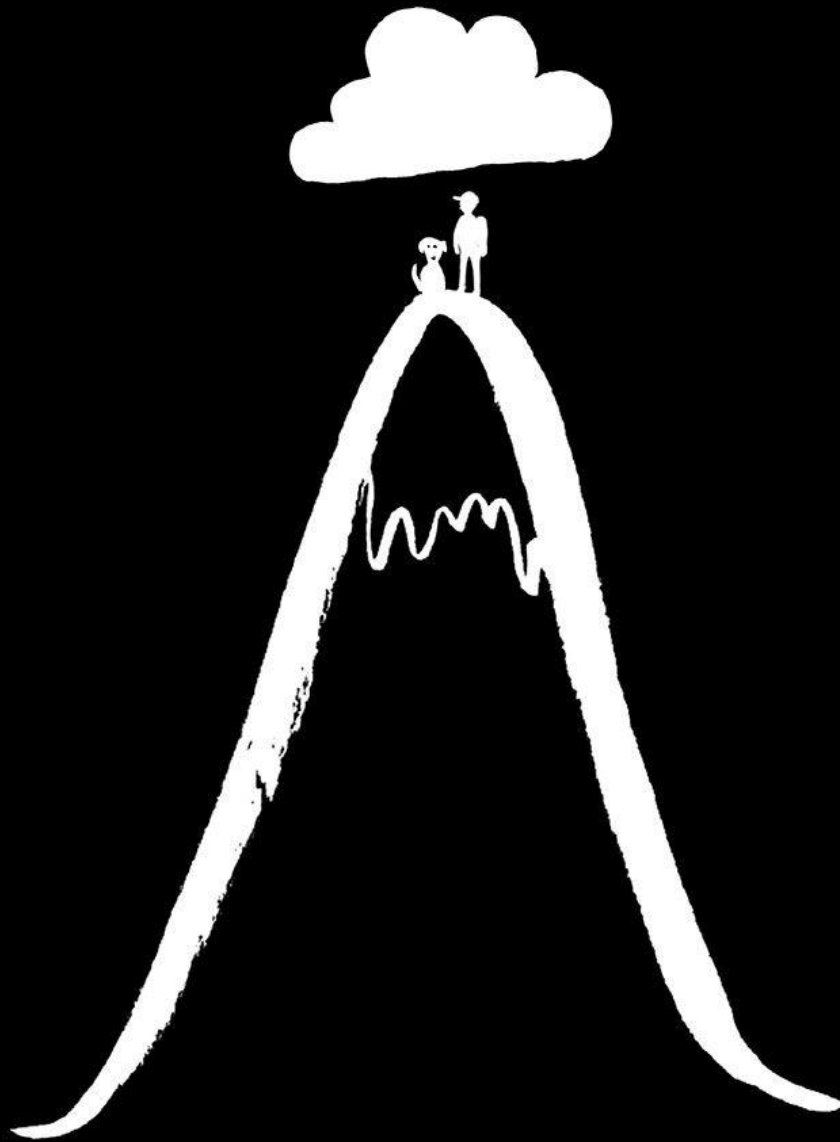
– Nie wiem – powiedziała słabym, cienkim głosem.

To takie trudne

Utrzymać tajemnicę,

Gdy ta chce uciec.

Rozdział 7



Do pokonania 50 km

Naprawdę myślałeś, że się nie zorientuję? Wiem, ile mam miejsc i ile biletów sprzedałem – oznajmił kierowca.

Bez słowa cofnąłem się pod okap hotelu, chroniąc się przed deszczem. Nogi mi się trzęsły, a dłonie pocily. Byłem na to wszystko zbyt zmęczony i naprawdę nie czułem się dobrze. Zerknąłem na niego przez ból dudniący w głowie.

– Mieszkasz w Elbe? – Głos kierowcy był zimny i zniecierpliwiony, jakby jeden mały gapowicz w autobusie to najgorsze, co się może człowiekowi przytrafić w życiu.

Nie miałem nastroju na dyskusje. Znow spójrzałem na niego gniewnie, a potem z irytacją rzuciłem tylko:

– Taa.

Kierowca pokręcił głową.

– Nie złość się na mnie, synu. Nie płacą mi za wożenie pasażerów za darmo.

Rozległ się grzmot, a podmuch wiatru z deszczem szarpnął kołnierzem jego kurtki. Mężczyzna spójrzył przez ramię w ponure niebo.

– Kurczę blade – jęknął, a potem znow popatrzył na mnie, zaciskając usta. – Możesz zadzwonić do rodziców, żeby po ciebie przyjechali?

Pokręciłem głową, starając się wyglądać na smutnego i słabego, co wcale nie było trudne. Może jednak uda mi się go wzruszyć.

Lecz kierowca tylko wypuścił powietrze przez ściągnięte wargi.

– Nie mogę cię zabrać na górę, synu. Wsiedli nowi pasażerowie z bagażami i wszystkie miejsca są zajęte. Przekłęta burza... Zostań tutaj. Na pewno pozwolą ci posiedzieć w hotelowej kawiarni. Zrobię kurs na górę i zawiozę cię do Elbe w drodze powrotnej na dół.

Nie odpowiedziałem. Łzy piekły mnie pod powiekami, ale moja złość była na tyle silna, by nie pozwolić im popłynąć.

– Do zobaczenia za godzinę. Nie musisz dziękować – dodał z ironią, po czym odwrócił się i wsiadł do autobusu.

Deszcz rozpadał się na dobre, gdy autobus wyjeżdżał z wysypanego żwirem parkingu. Był moją jedyną szansą, żeby dotrzeć tam, dokąd zmierzałem. Tylne światła świeciły czerwono w ciemności. Robiły się coraz mniejsze i mniejsze, aż w końcu zniknęły niczym dwa marzenia, które nigdy się nie spełnią.

Dygotanie z zimna w deszczu przy równoczesnym powstrzymywaniu płaczu i wymiotów to naprawdę nefajna sprawa. Taka to prawda.

Rozpiąłem torbę i Beau wyskoczył, machając ogonem i sapiąc. Traciłem wszystko, kawałek po kawałku i dzień po dniu, i tylko on mi został. Łzy wygrały ze złością i popłynęły po moich policzkach. Podrapałem psiaka za uszami.

– Koniec z torbą, kolego – szepnąłem. – Choćby nie wiem co. Nic mnie już nie obchodzi.

Znow rozległ się grzmot. Droga była zupełnie pusta, jeśli nie liczyć kałuż. Popatrzyłem w górę, tam gdzie zniknął autobus. Niebo było jedną wielką szarą ścianą chmur. Wiedziałem, że gdzieś tam znajduje się góra, gdzieś tam czeka, choć jej nie widać.

– Nie ma sensu iść dalej, Beau – powiedziałem, patrząc na deszcz i na niebo, które ciemniało coraz bardziej. Kucnąłem i obiema rękami podrapałem psa po głowie. Trzymałem się go, jakbym tonął. Jego oczy – brązowe i zielone – w mroku wydawały się jaśniejsze. Był przy mnie, mój piesek zawsze był przy mnie. – Ale wracać chyba też nie ma sensu. – Otarłem policzki rękawem, pociągnąłem nosem i uśmiechnąłem się do Beau, a on po psiemu wyszczerzył do mnie

wesoło zęby. W jego spojrzeniu było widać całe dobro świata. Uniosłem aparat, ująłem te oczy w kadr i zrobiłem zdjęcie. Beau mocniej zamachał ogonem.

Wyciągnąłem dłoń i znów podrapałem go za uszami.

– Idziemy – zdecydowałem.

Wyjąłem z plecaka polarową kurtkę i włożyłem na siebie. Wokół deszcz lał się strumieniami, więc schowałem aparat do wodoszczelnego worka, który wziąłem na wszelki wypadek, i wsunąłem do plecaka. Spojrzałem na wąską czarną wstęgę drogi wijącą się między wysokimi, ponurymi sosnami. Gdzieś tam w ciemnościach przede mną kryła się zagubiona w burzy góra.

– Pójdziemy, kolego. Może nam się nie uda. Będziemy szli, aż...

Na szczęście kolejny grzmot mnie zagłuszył, bo nie wiem, jak zamierzałem zakończyć to zdanie.

Kamienie na drodze chrzęściły pod podeszwami butów.

Będziemy szli, aż zostaniemy złapani?

Beau truchtał obok mnie, wciągając nosem górskie powietrze.

Będziemy szli, aż ktoś nam pomoże?

Zimny wiatr owiał moją szyję, więc zaciągnąłem zamek kurtki pod samą brodę.

Będziemy szli, aż... umrzemy?

* * *

Z każdym kolejnym krokiem przez mrok zbliżałem się do mostu. Metalowe belki wyglądały w deszczu jak matowa szara glina. Ubrania mi przemokły, a woda wlała się za kołnierz i spływała po plecach. Trząsałem się niczym galareta.

Było już ciemno jak w nocy, która i tak niedługo miała zapaść. Nieliczne mijające mnie samochody miały włączone światła, ale żaden się nie zatrzymał. Odpowiadało mi to, choć ich wnętrza wyglądały na przyjemnie ciepłe.

– Autobus wróci lada chwila – ostrzegłem Beau, szcękając zębami. Spojrzał na mnie, nie zwalniając. – Kierowca się zatrzyma, jeśli nas zobaczy. Musimy się przed nim ukryć. Zresztą i tak potrzebujemy jakiegoś schronienia na noc.

Dotarliśmy do mostu, zeszliliśmy z drogi i przedarliśmy się przez zarośla do rzeki, której brzegi łączył. Ciemność gęstniała z każdą sekundą i musiałem wysilać wzrok, żeby cokolwiek dojrzeć.

Brzeg pod mostem był suchy, lecz nie znalazłem żadnego miejsca odpowiedniego do spania. Wszędzie piętrzyły się naniesione przez rzekę kamienie, a mnie wszystko bolało już wystarczająco i uznałem, że nie dam rady spać wciśnięty między głazy.

Na środku rzeki, otoczona białą od piany wodą, znajdowała się mała, piaszczysta wysepka. Prawie cała kryła się pod mostem, więc nie padał na nią deszcz. Brzeg, na którym stałem, łączyła z wysepką szeroka kłoda drewna przerzucona nad spienioną wodą. Przygryzłem wargę i przyjrzałem jej się z namysłem. Wyglądało na to, że jest mokra, ale stabilna.

– Jak myślisz, Beau?

Mój towarzysz w odpowiedzi zamerdał ogonem.

– No dobra, spróbujemy.

Wszedłem na zwalone drzewo i od razu poślizgnąłem się na mokrej korze, ale złapałem równowagę i kolejny krok postawiłem ostrożnie.

To była potężna kłoda, z ładnym płaskim wierzchem, szerokości niemalże chodnika. Pomyślałem, że powinno mi się udać. Po prostu muszę iść powoli.

Po czterech krokach odwróciłem się, żeby zawołać psiaka. Stał na brzegu z położonymi

uszami i zwieszonym ogonem. Zaskomlał.

– Chodź, piesku – zachęciłem go. – Nie jest tak źle. Naprawdę. – Przesąpił nerwowo z łapy na łapę. Spojrzałem mu w oczy i ściszyłem głos: – No, dawaj, Beau. Uda nam się.

Piesek wskoczył na kłodę i podszedł do mnie. Odwróciłem się i ruszyłem naprzód, uważnie stawiając krok za krokiem.

Pode mną kipiała czarna toń z białą pianą. Jej ryk wydawał się głośny i głodny.

W połowie drogi uświadomiłem sobie, że to była durna decyzja, ale szedłem dalej. Szybko obejrzałem się do tyłu, upewniając się, że Beau jest tuż za mną.

Zrobiłem kolejny krok. Dwa następne. Trzy, cztery, pięć. Nogi mi się trzęsły, a żołądek wywijał salta z mdłości i paraliżującego strachu. Ból głowy naciskał od wewnątrz na gałki oczne bezczelnymi, natarczywymi palcami.

Odważyłem się oderwać wzrok od swoich stóp i spojrzeć w stronę wyspy. Byłem już prawie na miejscu.

Na moją twarz wypełził głupkawy uśmiech. Uda mi się.

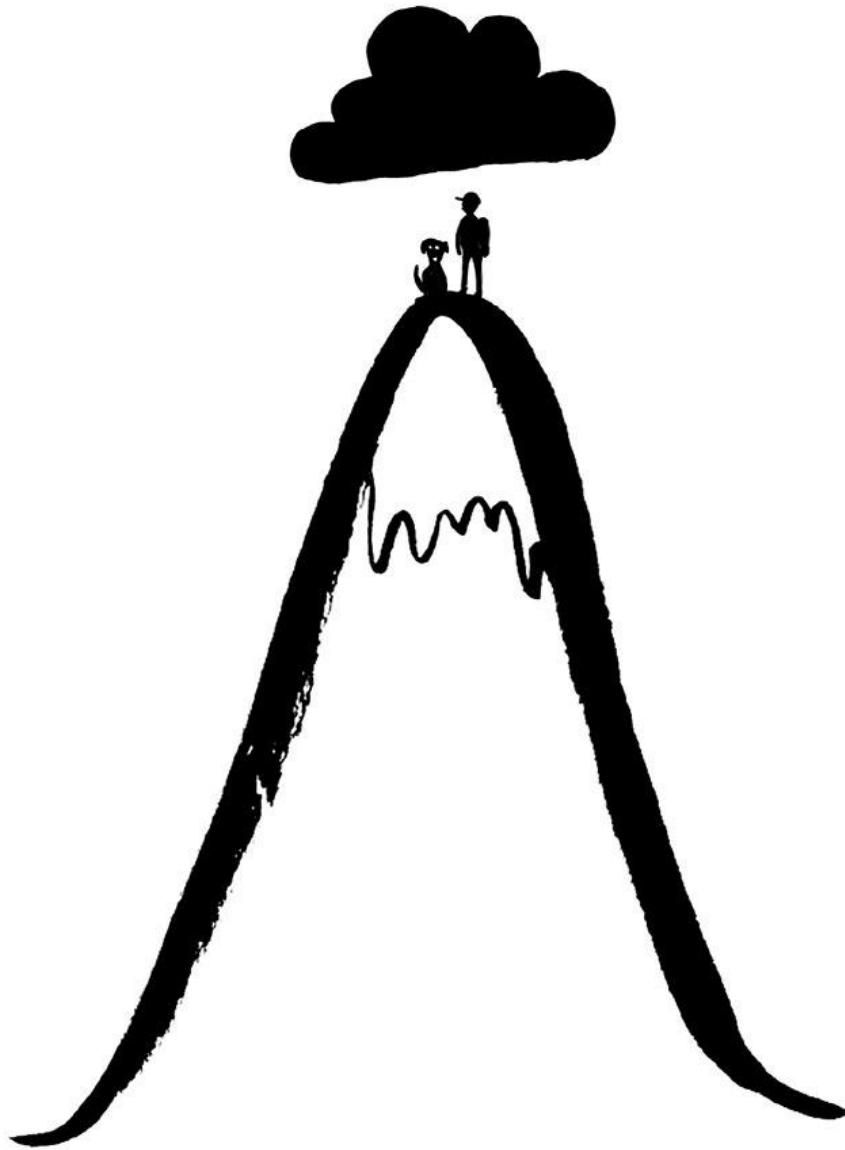
Nie ogarniam tego: dlaczego ludzie zawsze myślą, iż mogą coś zrobić tylko dlatego, że tego chcą.

Nadal wpatrywałem się z nadzieją w biały piach, gdy mokra kłoda wyslizgnęła się spod mojej prawej stopy. Zamachałem ramionami, próbując odzyskać równowagę, a wtedy druga noga również straciła oparcie.

Przez ryk wzburzonej wody usłyszałem szczekanie Beau. Przed oczami mignęło mi niebo, a po nim most.

Później była już tylko wściekła kipiela.

Rozdział 7½



*Nadciąga burza.
Wichura tłucze w szyby.
Grzmi coraz bliżej.*

Jessie trzymała telefon w dłoni i przez otwarte okno obserwowała, jak błyskawice rozświetlają odległe wzgórza. W pokoju czuć było zapach deszczu, a świat na zewnątrz wyglądał na zimny i mroczny. Gdzieś tam wędrował jej przyjaciel, zupełnie sam, tylko w towarzystwie małego kundelka. A zegar nieubłaganie odmierzał czas.

Dziewczynka muskała palcami klawisze telefonu, dotykała ich, nie wciskając. Tak łatwo byłoby ujawnić sekret. Mogłaby zadzwonić na linię alarmową i przekazać to, co wie, nie przedstawiając się. Rodzice Marka nigdy by się nie dowiedzieli, że coś przed nimi zataiła. Mark nigdy by się nie dowiedział, że go zdradziła. I minęłoby całe to okropne, skręcające wnętrzości napięcie, a przyjaciel wróciłby do domu.

Była jedyną osobą, która mogła to sprawić.

Wcisnęła pierwszą cyfrę. Ekran telefonu rozjaśnił się w oczekiwaniu na kolejną. Jess przełknęła głośno i wcisnęła ją. Potem trzecią. Rozbłysł piorun i niemalże w tym samym momencie rozległ się grzmot. Jessie podskoczyła ze strachu i krzyknęła.

Przez okno wpadł powiew wiatru, niosąc zapach burzy.

Elektryczna woń pioruna omiotła pokój i obudziła wspomnienie sprzed wielu lat.

Trzecia klasa. Szpital. Stan Marka znów się pogorszył i chłopiec stracił wszystkie włosy, był słaby, chory i wymęczony. Odwiedzała go, kiedy tylko mogła. Nienawidził tego, że nie może chodzić do szkoły, że nie widuje Beau, że jest samotny. Tego dnia grali w karty na łóżku z jego rodzicami i wszyscy próbowali zachowywać się wesoło. Nawet Mark. A potem rodzice wyszli z pokoju, żeby przynieść coś do jedzenia ze stołówki, i zostawili dzieci same.

Gdy tylko zamknęły się za nimi drzwi, Mark chwycił ją za rękę tak szybko i gwałtownie, że się przestraszyła i próbowała mu ją wyrwać, ale trzymał ją mocno w gorącym uścisku. Spojrzała mu w oczy i ze zdumieniem dostrzegła łzy. Wezbrały i spłynęły po policzkach chłopca. Jess przestała się wyrwać.

– Nie lubię płakać przy nich – wyznał przyjaciel drżącym głosem. – Wiem, że to ich smuci. Nie chcę im mówić, jak źle się czuję. I jak bardzo się boję. Nie chcę im tego robić, rozumiesz?

Jessie pokiwała głową, chociaż nie była wcale pewna, czy rozumie.

– Ale to jest jak z tajemnicą – mówił. – Nie potrafię tego dźwigać zupełnie sam, Jess. To dla mnie zbyt wiele. Czy mogę płakać przy tobie? Dochowasz tajemnicy?

Jessie popatrzyła w zielone oczy przyjaciela, ucisnęła jego dłoń i ponownie skinęła głową.

– Tak – zapewniła go. – Dochowam tajemnicy.

– Zawsze?

– Zawsze, obiecuję.

Tak więc Mark płakał przy niej, opowiadając, jak fatalnie się czuje i jak bardzo się boi. Nim wrócili rodzice, znów śmiali się i grali w karty. Dochowała tajemnicy. I za każdym razem jej dochowywała, żeby nie musieli tego robić jego rodzice i żeby przyjaciel nie musiał dźwigać sekretu sam.

Tego lata rodzice Jess się rozwiedli. Płakała co dnia. Jej tato wyjechał do Meksyku. Mama nie robiła nic poza snuciem się po domu, oglądaniem telewizji i wypijaniem butelki wina co wieczór. Jessie była zupełnie sama.

Ale miała Marka, który dzwonił do niej, odwiedzał ją, zostawiał liściki i cukierki w sekretnej kryjówce. Czasami Jess nocowała u niego w domu i płakała w jego obecności, co wcale nie było żenujące. Przecież on też przy niej już płakał.

– To takie niesprawiedliwe – szlochała. – Człowiek powinien móc liczyć na rodziców i mieć w nich oparcie.

Mark położył dłoń na jej ramieniu.

– Możesz liczyć na mnie, Jess – zapewnił. – A ja będę liczył na ciebie. Zawsze będziemy mogli na sobie polegać. Zgoda?

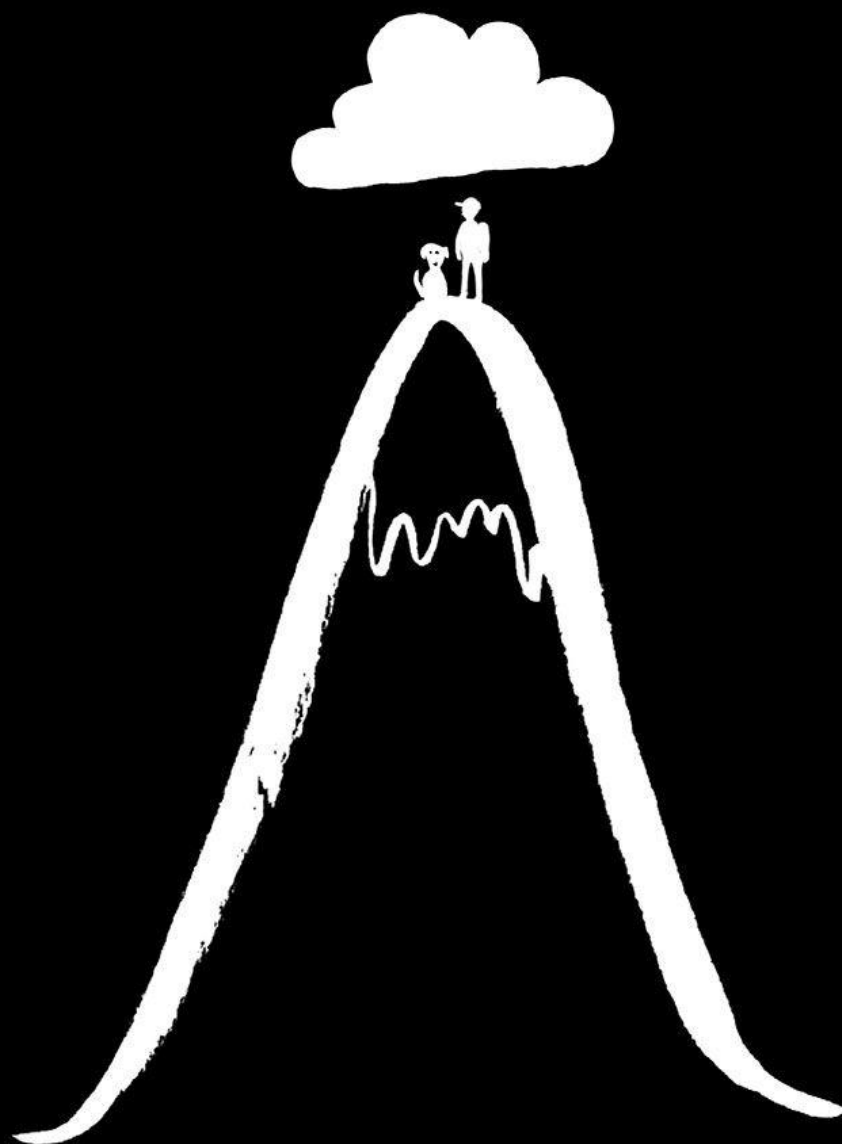
Jess wyjrzała w burzę i w zapadającą ciemność. Nawet gdy stawką było jego życie i cały świat go szukał, znalazł czas, by podrzucić list do niej. Żeby wiedziała. I żeby się pożegnać. Bo wiedział, że ona by na to liczyła.

Popatrzyła na leżącą na stole zmiętą karteczkę. Przeczytała ją tyle razy, że znała jej treść na pamięć.

*„Przyjaciółko ma,
Dochowaj tajemnicy.
Przepraszam, żegnaj”.*

*Powstrzymała łzy.
Mark liczył na jej przyjaźń.
Nie zawiedzie go.*

Rozdział 8



Do pokonania 46 km

W ostatniej sekundzie tuż przed tym, gdy moje ciało uderzyło o powierzchnię wody, zaczerpnąłem wielki haust powietrza. Napełniłem płuca, a potem lodowata toń pochwyciła mnie i dołożyła wszelkich mrozących krew w żyłach starań, by zatrzymać moje serce.

Była bardziej niż zimna. Była niczym płynny lód, do tego silna i bystra, a ja nic nie mogłem zrobić. Krzyczałbym, ale ziąb ścisnął moje płuca jak czarna pięść. Przez sekundę widziałem, że Beau patrzy w moją stronę, a potem wir mnie obrócił i zniknąłem. W ostatnim przebłyku ujrzałem przednie łapy mojego psa już w powietrzu. Postanowił za mną skoczyć.

Zahaczyłem stopami o dno, pokryte nierównymi ostrymi głazami, i uświadomiłem sobie, że rzeka wcale nie jest taka głęboka, ale za to bardzo rwąca, więc nie miałem szans utrzymać się na nogach. Przed oczami mignęła mi wyspa, co oznaczało, że nadal znajdowałem się na jej wysokości. Gdyby rzeka poniosła mnie dalej, przepadłbym, więc starałem się jak najmocniej zaprzeć stopami, ale nie znalazłem żadnego oparcia. Rozpaczliwie zamachałem ramionami, próbując popłynąć w stronę piaszczystej łachy. Woda zalała mi twarz, a ja szarpnąłem się i odbiłem od dna obiema nogami z całą mocą mojego strachu. Znowu wynurzyłem się w ryczącą ciemność i w końcu udało mi się zaczerpnąć powietrza i wydobyć z ust jeden krótki, paniczny krzyk.

W tym potwornym szaleństwie usłyszałem przy uchu skomlenie, po czym poczułem szarpnięcie za kołnierz. Kątem oka dostrzegłem brązową smugę w ciemnościach. Beau mnie trzymał. Próbował zaciągnąć mnie na brzeg i nie zamierzał puścić.

Jeśli nie dotrę do wyspy, zginiemy obaj.

Gwałtownie wyprostowałem nogi. Dotknąłem stopami dna i resztką pozostałych mi sił odepchnąłem się w kierunku wyspy. Młóciłem rękami wodę, a nogami odpychałem się od kamieni. Beau zapiszczał, kopnąłem jeszcze raz i w końcu moje ramiona na sekundę wynurzyły się ponad poziom wody, zanim znowu rzeka podcięła mi nogi.

W świetle błyskawicy dostrzegłem koniec wyspy. Łacha bardzo się tu zwężyła i niemalże ją przeoczyłem. Na samym jej krańcu sterczała z wody kłoda drewna. Ostatnim rozpaczliwym rzutem podpłynąłem bliżej i wyciągnąłem się na całą swoją długość mimo strachu, dławiącego zimna i otaczającej mnie czerni, trafiając dłońmi w belkę, którą szybko chwyciłem. Przestałem dryfować, ale rzeka pchała, ciągnęła i próbowała porwać mnie z powrotem. Dno znajdowało się tu wyżej, więc wyprostowałem nogi i odepchnąłem się w stronę brzegu. Beau przebierał łapami w wodzie obok mnie, nadal wczepiony zębami w moją kurtkę.

Ostatni raz wierzgnąłem, rozchlapując wodę, i obaj przetoczyliśmy się przez kłodę na miękki piach.

Moje płuca ciężko pracowały po wysiłku i kontakcie z lodowatą tonią. Beau stał obok, prychając i otrzepując futro z wody.

Nigdy w życiu tak nie dygotałem. Gwałtowne, potężne dreszcze szarpały mną jak konwulsje.

Próbowałem zebrać myśli. Plecak nadal miałem na ramionach, wciśnięty w piach, za to torba zniknęła porwana przez wygłodniałą wodę.

Głośno szczekałem zębami, a każdemu mojemu oddechowi towarzyszył drżący świst. Wydostałem się z rzeki, lecz byłem kompletnie przemoczony i przemarznięty. Nadal mogłem umrzeć. Zimny, bezwzględny deszcz zalewał mi twarz.

Wyplątałem się z plecaka i sięgnąłem do jego zamka. Dłonie mi się trzęsły, a palce zupełnie nie słuchały poleceń mózgu. Beau piszczał obok mnie. Ziąb zamykał się wokół nas i dźgał lodowatymi szpikulcami. Czuję, jak boleśnie kłuje moje kości.

Otworzyłem plecak w poszukiwaniu drugiej szczelnej torby, tej, którą miałem zachować na górę. Ale potrzebowałem jej już teraz.

Znalazłem ją i wydostałem drżącymi rękami. W środku znajdowały się złożone gazety, pudełko zapalek i kilka kulek waty. Waciki były nasączone wazeliną, bo wyczytałem gdzieś, że to najlepsza rozpałka na świecie.

Ciągnąc za sobą plecak, pokuśtykałem przez wyspę do piaszczystej części pod mostem, z dala od ulewy i wzroku kierowców. Wybrałem płaski kawałek pod wielkim czarnym głazem i zebrałem stertę najdrobniejszych gałązek i patyków, jakie znalazłem. Na wyspie pod mostem leżało mnóstwo naniesionego przez rzekę drewna, które było całkiem suche. Zapadła już niemal zupełna ciemność, ale błyskawice zapewniały mi dość światła, bym mógł zrobić to, co zamierzałem.

Ułożyłem najmniejsze patyczki w zgrabny stosik nad zgniecionymi gazetami i wsunąłem pod niego kilka wacików. Ręce już prawie w ogóle mnie nie słuchały, ale udało mi się jakoś otworzyć pudełko i chwycić zapalną zgrabiałymi palcami. Potarłem ją o draskę i zapłonęła jasno. Skoncentrowałem się, by trzymać ją spokojnie i nieruchomo. Podpaliłem gazetę w kilku miejscach, a potem przytknąłem zapalną do wacików. Zapłonęły powolnym błękitnym ogniem. Płomienie poszły w górę i objęły gazetę, coraz większe i jaśniejsze, a po chwili otoczyły drobne gałązki.

– Proszę – błagałem przez szczękające zęby. – Proszę, pal się. – Beau stał przytulony do mnie, trzęsąc się. Obaj potrzebowaliśmy ognia.

Delikatnie dmuchnąłem w słabe płomienie i jeden patyczek zapłonął, a zaraz po nim następny. Szybko ułożyłem na nich nieco grubsze gałązki i znów podmuchałem. Patyki zajęły się ogniem. Udało mi się, pomyślałem uradowany.

Dokładałem do ogniska coraz większe gałęzie, a ono rosło, aż wreszcie na mojej małej wyspie zapłonął ogień wielkości piłki do kosza. Wyglądał niemalże radośnie, lecz ja nadal trząsałem się tak mocno, że z trudem oddychałem, i miałem na sobie ubrania przesiąknięte lodowatą wodą. Dołożyłem do ogniska kilka polan grubości mojego ramienia, a kiedy z trzaskiem zajęły się ogniem, przysunąłem do niego dłonie najbliżej, jak się dało, i trzymałem tak, dopóki nie poczułem, że z mrowieniem i bólem wraca mi w nich czucie. Prostowałem i rozciągałem palce, aż zaczęły znów funkcjonować w miarę normalnie, a potem zabrałem się do zdejmowania mokrych ciuchów.

Najpierw pozbyłem się kurtki, potem swetra i koszulki. Gdy wiatr uderzył w moją nagą skórę, zadrżałem mocno, ale wiedziałem, że to lepsze niż siedzenie w mokrych ubraniach, więc zacząłem rozwiązywać sznurowadła. Zdjąłem jeden but, dołożyłem kolejne polano do ognia i zsunąłem drugi. Potem przyszła kolej na skarpety oraz spodnie. Kucałem tak blisko ognia, że aż bolało, ale moje ciało powolutku się rozgrzewało. Czułem, jak lodowata rzeczna woda wysycha w ciepłe płomienie. Nadal miałem gęsią skórę i podmuchy wiatru chłodziły mnie od czasu do czasu, lecz odzyskałem władzę w drżących rękach i przestałem nieopanowanie klekotać zębami.

Nie umrę. W każdym razie nie tutaj. I nie teraz.

Zamknąłem oczy i pozwoliłem, by ta myśl mnie wypełniła. Walczyłem z rzeką, z zimnem, z ciemnością – i wygrałem.

Nagle ujrzałem siebie jakby z boku, przykucniętego w przemoczonej bieliźnie przy ognisku pod mostem.

Zacząłem naraz śmiać się i płakać. Czułem się nieomal szczęśliwy.

Beau tulił się do mnie, susząc sierść przy ogniu, a płomienie migotały w jego oczach. Przekrzywił głowę, słysząc mój dziwny śmiech.

– Bałem się, że zginę – wyjaśniłem mu. Piesek zapiszczał i polizał moje chude kolano.

Podrapałem go za uszami, pociągnąłem nosem i znów się zaśmiałem. – Wyruszyłem chory w taką podróż, a bałem się, że zginę.

Lecz mój szalony śmiech ucichł, gdy ujrzałem, jak Beau mi się przygląda. W tym psiaku była wyłącznie miłość. Wyłącznie zaufanie. Przełknąłem ślinę i kilka razy odetchnąłem z drżeniem.

– Ty też prawie zginąłeś – zwróciłem się do niego. Te słowa zabrzmiały okropnie wypowiedziane na głos. Naraziłem Beau na niebezpieczeństwo tylko dlatego, że nie chciałem być sam, i wiedziałem, że wszędzie za mną pójdzie. – Przepraszam cię, piesku. To nigdy nie należało do mojego planu. Naprawdę. Mówię szczerą prawdę.

Drapałem go za uszami, choć palce miałem zmęczone i rozbolała mnie ręka.

Jakbym w ten sposób mógł mu coś wynagrodzić.

* * *

To była długa noc. Podtrzymywałem ogień, wokół którego na gałęziach rozłożyłem mokre ubrania. Potrzebowały kilku godzin, żeby wyschnąć, a tymczasem ja musiałem prawie nagi siedzieć na rzecznej wyspie w środku burzy. Byłem wyczerpany do granic możliwości. Zjadłem jabłko, które miałem w plecaku, i podzieliłem się z Beau kilkoma batonikami z płatków owsianych. Moje ciało i umysł chciały spać, ale do tego potrzebowałem suchych ciuchów. Rozmawiałem z Beau, żeby nie zasnąć.

Raz, podczas najciemniejszej godziny tej nocy, oddaliłem się od ogniska, żeby zebrać więcej drewna. W pewnej chwili obejrzałem się na nasze obozowisko. Ogień, jasny i ciepły, sypał iskrami i rzucał blask na piasek, gład, kłody. Beau leżał zwinięty w kłębek w kręgu światła. Miałem wrażenie, że mu ciepło i jest zadowolony, choć zewsząd otaczały go wiatr, ciemność i rozszalała, rycząca rzeka. Poczulem, że coś mnie ściska za gardło. Ten widok był przerażający, smutny i przykry, ale równocześnie piękny. Ująłem aparat, który wisiał na mojej szyi, i zrobiłem zdjęcie ogniska w burzy – światła, ciemności i brązowego, łaciatego pieska.

Kiedy ubrania w końcu wyschły, dorzuciłem trzy ostatnie najgrubsze polana do ogniska, a potem położyłem się obok Beau. Płomienie trzaskały i syczały, wiatr gwizdał między skałami, a od strony rzeki dobiegał nieustający mokry łoskot. Od czasu do czasu słychać było szum opon na moście nad nami.

Zasnąłem, nim zdążyłem się zdecydować, by zamknąć oczy.

* * *

Rano obudziłem się zeszytniały, obolały i wygłodniały – ale żyłem i byłem bardziej niż kiedykolwiek zdeterminowany, żeby doprowadzić do końca to, co zacząłem. Zaszedłem za daleko i przeżyłem zbyt wiele, by się poddać. Taka to prawda. Przejrzałem zawartość plecaka, sprawdzając, co jeszcze w nim mam. Trochę jabłek, parę bananów, kilka batoników owsianych i prawie pełna torebka suszonej wołowiny w paskach. Butelka wody. I paczka psich chrupek.

– Zostało nam niewiele jedzenia – zwróciłem się do Beau, który leniwie drapał się w ucho tylną łapą. – Ale i tak nie mamy za dużo czasu, więc powinno wystarczyć.

Otworzyłem zeszyt. Troszkę zamókł, ale był w całkiem niezłym stanie. Kilka stron się skleiło, lecz dało się je uratować. Siadłem na kłodzie i rozejrzałem się po naszym małym wyspiarskim obozie. Beau chleptał wodę z rzeki, żeby popić suszoną wołowinę, którą zjadł na śniadanie. Pomyślałem o poprzedniej nocy, o ognisku, ciemnościach i zdjęciu, które zrobiłem, po czym napisałem:

Cały świat ciemny.

Razem sycimy ogień,

Który nas grzeje.

Później ostrożnie wróciliśmy po kłodzie na brzeg i wydostaliśmy się na drogę. Wydawała się długa i pusta w świetle poranka. Deszcz przeszedł w mżawkę, ale wygląd chmur zapowiadał, że na tym się nie skończy. Wiatr wsunął zimne paluchy za mój kołnierz i w rękawy, więc natychmiast zateęskniłem za naszym ogniskiem.

Gdzieś z przodu, tam gdzie droga skręcała, znikając z naszego pola widzenia, gdzieś między czarnymi drzewami i szarym niebem znajdowała się góra. Nadal jej nie widziałem, ale wyczuwałem ją mocniej niż zwykle. Jakby mnie obserwowała. Jakby na mnie czekała.

– Mamy trochę kilometrów do przejścia, kolego – wyjąłem Beau. – Zatem w drogę!

Nie wiem, jak długo szliśmy. Przez wiele kilometrów i godzin. Nie potrafiłem ich zliczyć. Zmęczenie, chłód, brak jedzenia i trudy podróży dawały się we znaki mojemu organizmowi. Zmuszałem się do walki o każdy krok, a żołądek groził, że odrzuci nawet to skromne śniadanie, jakim go uraczyłem. Głowę wypełniał mi ból, który usiłował się wydostać przez oczy. Patrzyłem tylko na pustą drogę pod nogami i stawiałem na niej stopę, a potem następną. I kolejny raz to samo. Beau szedł spokojnie obok mnie z wywieszonym językiem, merdając ogonem. Od czasu do czasu unosił na mnie wzrok, a ja starałem się do niego uśmiechać.

Pogrzeżyłem się w myślach równie mrocznych jak skrywające górę chmury. W myślach o minionych siedmiu latach od tego telefonu, który doprowadził moją mamę do łez. O gabinetach lekarskich, szpitalnych łóżkach, pielęgniarkach o miłych głosach i smutnych oczach, dodających otuchy kartkach od kolegów z klasy. O listach od najlepszych przyjaciół. Myślałem o ludziach, których zostawiłem. O mamie, tacie, Jessie. Wspominałem dziadka, który nazywał mnie swoim bohaterem, wywołując rumieńce na moich policzkach. Dał mi ten srebrny kieszonkowy zegarek, który od tamtej pory zawsze nosiłem przy sobie. Uwielbiałem go – dopóki mój stan się nie pogorszył, a jego tykanie nie zaczęło brzmieć niczym mroczne kroki skradające się za moimi plecami. Kochałem ten zegarek, dopóki nie zacząłem nienawidzić czasu i tempa, w jakim umyka.

I troszkę też rozmyślałem o tym, co mnie czekało. Ku czemu zmierzałem tam wysoko w chmurach. O tym, dokąd i dlaczego wędrowałem.

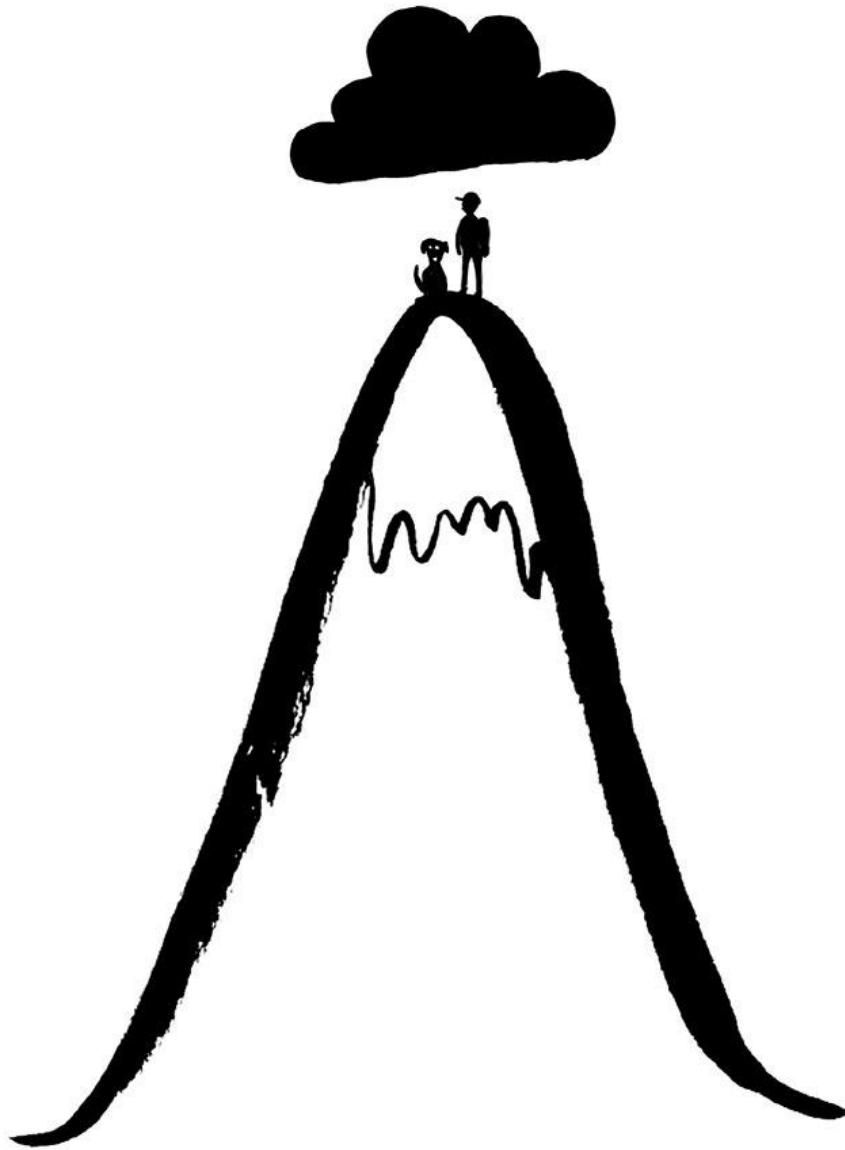
Odczuwałem wszelkie możliwe rodzaje smutku, a także determinacji. Wśród moich rozważań ani razu nie pojawiła się myśl, by zrezygnować.

Byłem tak zadumany, że nie zauważyłem ciężarówki, która do nas podjechała i zwolniła. Beau postawił uszy i się obejrzał, ale czułem się zbyt chory i zmęczony, żeby zwrócić uwagę na pojazd i mężczyznę za kierownicą.

Spojrzałem na niego dopiero, gdy otworzył okno i uderzył we mnie słodko-kwaśny zapach dymu papierosowego. Beau zawarczał.

– Hej, chłopcze! – zawołał kierowca, przekrzykując szum deszczu. – Wsiadaj! I nawet się nie waż odmówić.

Rozdział 8½



*Kolejny ranek.
Nowe światło, nowy dzień,
Lecz ten sam koszmar.*

Jessie przez całą noc męczyły koszmary, więc obudziła się całkiem wyczerpana. W łóżku było przyjemnie ciepło i nie chciało jej się wstawać. Nie miała ochoty na konfrontację z niczym. Ani z nikim.

– Wstawaj, *mi amor!* – zawołała mama od drzwi. – Powinnaś pójść dziś do szkoły, dzięki temu nie będziesz za dużo myślała. Przygotowałam ci na śniadanie płatki.

Szkoła. Koledzy już oczywiście będą wiedzieli o ucieczce Marka, bo informację podawano we wszystkich wiadomościach. Wszyscy będą się dziwnie zachowywali. Wiedzieli, że jest jego najlepszą przyjaciółką. Nauczyciele będą ją traktowali inaczej, dzieciaki będą szeptały po kątach, a ona będzie zupełnie sama.

Boże, wycytają jego nazwisko podczas sprawdzania listy obecności? Czy to będzie gorsze niż pominięcie go?

Psycholog pewnie spróbuje z nią porozmawiać. Zawsze tego próbował, ale istniała na świecie tylko jedna osoba, z którą Jess chciałaby rozmawiać.

Bała się, że jakimś cudem wszyscy domyślą się, że skrywa sekret. Mogła to ukryć przed wzrokiem mamy, rodziców Marka czy policji, ale tam będzie ją śledziło tak wiele par oczu, bez chwili przerwy.

Nie da się schować tajemnicy do plecaka.

Jednak najgorsze wydawało jej się to, że będzie musiała wszystko przetrwać bez niego. Przecież to z nim chodziła do szkoły, z nim siedziała w ławce, z nim dzieliła się drugim śniadaniem. Tam, przy tych wszystkich obserwujących ją oczach i z tym pustym miejscem obok, które on powinien zajmować, jego nieobecność będzie jeszcze bardziej odczuwalna. A ona poczuje się jeszcze bardziej osamotniona.

Nagle przeszył ją ból, jakby twarda pięść wymierzyła jej cios prosto w brzuch. Tak może być już zawsze, pomyślała. Codziennie. Bez niego. Na wieki. Miejsce obok niej może pozostać na zawsze puste.

Być może będzie musiała się z tym mierzyć co dnia.

Ale nie dziś. Chciała, by minął jeszcze jeden dzień, zanim jej życie się zupełnie rozpadnie.

– Nie idę do szkoły – oznajmiła, wchodząc do kuchni. Mama już otworzyła usta, żeby się spierać, ale zaraz je zamknęła i pokiwała głową.

– Dobrze, kochanie.

Jessie wróciła do łóżka i położyła się skulona na pościeli. Obserwowała lodowaty deszcz siekający w okno. Gdzieś tam weszło słońce, ale ze swojego miejsca widziała tylko chmury, czarne jak pogrzebowy garnitur.

*Stracone pół mnie.
Pół ławki puste obok.
Jest nieobecny.*

Rozpadało się na dobre, ale nawet tego nie zauważyłem pogrążony w błocie własnych myśli. Wiatr zrobił się jeszcze zimniejszy i bardziej porywisty. Burza wyraźnie przybierała na sile.

– Wskakuj! – powtórzył mężczyzna. Miał gęste wąsy i biały kowbojski kapelusz. Opierając się ramieniem o kierownicę, przechylał się przez siedzenie pasażera.

Beau przy mojej nodze zapiszczał. Gapiłem się na kierowcę bez słowa, z trudem łapiąc oddech, jakbym przebiegł maraton. Bolały mnie nogi, deszcz spływał mi po plecach, a w głowie łupało tak mocno, że musiałem przymykać jedno oko.

– Słuchaj, synu, nie możesz iść piechotą w taką pogodę – stwierdził mężczyzna przyjaźnie. – A mówią, że ma być jeszcze gorzej. Może nawet padać śnieg. Wsiadaj, podwiozę cię.

Potrząsnąłem głową.

– Nie, dziękuję – odrzekłem. Chciałem krzyknąć, ale byłem zbyt zaspany i słaby. – Nic mi nie będzie. Przejdę się.

Mężczyzna pokręcił głową.

– Jesteś szalony, zamarniesz tu. Dokąd idziesz? Do Raju?

Przygryzłem wargę i spojrzałem w górę drogi. Gwałtowny podmuch wiatru uderzył we mnie i z trudem utrzymałem się na nogach. Krople deszczu niczym ostre, wściekle żądła wbijały się w moją kurtkę.

– Tak – potwierdziłem w końcu.

– Jesteś szalony – powtórzył. – To wiele kilometrów cały czas pod górę. Nie dojdiesz tam. Kurka, nawet ja bym nie doszedł. No, wskakuj!

– Mam psa – poinformowałem go.

– Nie szkodzi, w samochodzie i tak jest brudno.

– I nóż – dodałem.

Zmarszczył brwi.

– Dobra. Tylko mnie nie skalecz.

Nadal stałem bez ruchu. Miałem zbyt wielki zamęt w głowie, żeby myśleć jasno.

– Słuchaj, rozumiem – oznajmił mężczyzna, ścisząc głos. – Zachowujesz się rozsądnie, ale ja nie jestem żadnym zbrojcem. Chcę ci tylko pomóc, synku. Zamarniesz tu. Wsiadaj.

Zgodnie ze wszystkimi lekcjami przyswojonymi od nauczycieli i rodziców nie powinienem wsiadać do tego samochodu. Ale oczy i głos tego człowieka mówiły co innego. „Nieznajomy to tylko przyjaciel, którego wcześniej nie spotkałeś”. Tak twierdził mój dziadek. Niezbyt mądra sentencja, bo na świecie pewnie jest mnóstwo złych nieznajomych, ale czasami chyba wszystko może być prawdą.

Drzwi ciężarówki otworzyły się ze skrzypieniem zardzewiałych zawiasów. Podniosłem Beau i to jego najpierw usadziłem na wielkiej przedniej kanapie obok kierowcy. Z plecakiem w dłoni wspiąłem się do środka i zatrzasnąłem drzwi.

Mężczyzna skinął mi głową, wrzucił bieg i samochód ruszył. Opierałem się o drzwi i na wszelki wypadek trzymałem dłoń na klamce.

– Jestem Wesley – przedstawił się kierowca, nie spuszczać wzroku z drogi przed sobą.

– A ja... hm... Jesse – odpowiedziałem.

Zerknął na mnie kątem oka.

– Miło mi – rzucił z lekkim skinieniem.

W środku było ciepło. Gorące, suche powietrze z zakurzonych nawiewów dmuchało mi

prosto w twarz, z głośników sączyło się zawodzące staroświeckie country. W uchwycie obok dźwigni biegów stał styropianowy kubek z kawą, a w wysuniętej metalowej popielniczce tlił się papieros. Mężczyzna zauważył, że na niego patrzę.

– Przepraszam – rzucił i zgasił niedopałek. Jego włosy i wąsy miały chyba kiedyś kolor jasnobrażowy, ale teraz były przede wszystkim siwe. Sympatyczne zmarszczki otaczały jego oczy i usta. Linie uśmiechu, jak nazywała je moja mama.

Przez chwilę jechaliśmy w milczeniu.

– No i po co wybierasz się do Raju?

Obliziałem wargi i wyjrzałem za okno. Wierzchołki drzew chygotały się na wietrze, a kałuże na poboczu odbijały tylko czarne niebo.

– Pochodzić – wyjaśniłem zdawkowo, nie patrząc na niego.

– Hm. – I to była cała odpowiedź.

Pozwoliłem, by panujące w kabinie ciepło przeniknęło przez moją skórę, aż do kości. Potrzebowałem go, by stawić czoło temu, co mnie czekało.

– Masz bardzo grzecznego psiaka – stwierdził kierowca, głaszcząc Beau, który zaczął radośnie młócić ogonem w siedzenie.

– To prawda. Jest greczny.

– Każdy powinien mieć psa – zauważył z namysłem, ciągle drapiąc Beau. – Psy uczą ludzi miłości i serdeczności, przypominają o tym, co naprawdę ważne. – Kiwnął głową i upił łyk kawy. – Życie bez psa nie ma sensu, zawsze to powtarzam.

– Tak. – Oparłem czoło o chłodną szybę. Myśli, które osaczały mnie w czasie marszu, wsiadły ze mną do ciężarówka. Jak dręczące duchy. – Ale psy umierają – dodałem cicho, niemalże do siebie.

Mężczyzna upił kolejny łyk kawy.

– Jasne. Pewnie, że tak. Ale ich śmierć nie sprawia, że ich życie jest mniej warte.

Prawie się uśmiechnąłem.

– Moja mama kiedyś powiedziała coś podobnego.

– Tak? Musi być wyjątkową kobietą.

– To prawda.

Powieki miałem tak ciężkie jak nogi podczas wędrówki. Serce również.

– Jesteś zmęczony.

– Tak, przepraszam.

– Nie ma sprawy. Prześpij się, jeśli chcesz.

* * *

Obudziłem się jakiś czas później, zdziwiony, że udało mi się zasnąć. Beau pochrapywał wtulony we mnie. Ciężarówka zwolniła, a Wesley opuszczał właśnie szybę w oknie po swojej stronie. Przetarłem oczy i wyjrzałem na zewnątrz.

Przed nami znajdowała się mała budka, taka jakby kasa. Wielki drewniany napis wykonany dużymi, wyraźnymi literami nad całą szerokością drogi głosił: Park Narodowy Góry Rainier. W okienku biletowym dostrzegłem kogoś w mundurze strażnika leśnego. Łało jak z cebra.

– Muszę dać panu pieniądze – odezwałem się nieprzytomnie.

– Nie, ale może chciałbyś się schować.

Bez zadawania zbędnych pytań rozpiąłem pasy i ześlizgnąłem się na podłogę.

Wesley podjechał do kasy i zwolnił, nie zatrzymując się. Kucałem na tyle nisko, że widziałem tylko górną krawędź okienka.

– Siema, Sheila. – Głos Wesleya zabrzmiał spokojnie i zwyczajnie.

– Cześć, Wesley. Niezłą pogodę przywiozłeś.

Wesley zaśmiał się.

– No raczej. Przykro mi. Mimo to miłego popołudnia życzę.

Samochód przyspieszył, szyba poszła w górę, a ja wgramoliłem się z powrotem na siedzenie. Wesley swobodnie trzymał rękę na kierownicy.

– Pracuje pan tutaj? – zapytałem.

– Tak jakby. Pracuję jako biolog w służbie parków narodowych, więc mam pod opieką kilka ośrodków na północnym wschodzie.

– Aha, fajnie.

– Jeszcze tylko kilka kilometrów do Raju – dodał.

– Super. – Twarde, brutalne pięści strachu uderzyły w mój brzuch. Raj. Tutaj to wszystko naprawdę się zaczyna. I tutaj naprawdę się skończy.

Wesley zanurzył dłoń w dużej papierowej torbie leżącej na siedzeniu i wyciągnął owiniętą w folię kanapkę.

– Głodny?

Zerknąłem na zawiniątko i zanim zdążyłem nad sobą zapanować, głośno przełknąłem ślinę.

Wesley wybuchnął śmiechem.

– Proszę, jedz. Ja jakoś nie mam apetytu. Z szynką i serem, ale bez warzyw i innych takich. Podziel się z psem, jeśli chcesz.

Mój żołądek, mimo nudności i zmartwień, zaburczał głośno. Za kilka kilometrów, za kilkanaście minut, wyruszę w ostatnią wielką wędrowkę pod górę, ale muszę przedtem coś zjeść. Przyjąłem więc kanapkę.

– Nadchodzi niezła burza – stwierdził Wesley, pochylając się nad kierownicą i patrząc w niebo przez przednie okno. – Żał mi wszystkich głupców, którzy będą próbowali wejść na górę przez kolejne dni.

Nie odpowiedziałem. Myślałem o Jess, która godzinami grała ze mną w karty, kiedy byłem zbyt chory, by wyjść z pokoju. Która strzegła moich tajemnic.

– Nawet ratownikom trudno by było podjąć jakąś akcję – dodał.

Jadłem kanapkę, dzieląc się z Beau każdym kęsem. Pochłaniał je łapczywie z moich drżących palców. Z głośników nadal łagodnie sączyło się country. Kobięcy głos śpiewał niespiesznie i smutno.

– Zamierzasz wybrać się na wycieczkę, tak? – zapytał Wesley. – Całkiem sam?

Przełknąłem przeżutą kulę chleba i wędliny.

– Tak. – Myślałem o mamie, która zasypiała na krześle obok mojego szpitalnego łóżka.

Opony mruczały na asfalcie. Deszcz stukał i pukał o dach, okna, maskę. Żulem coraz wolniej, aż dopasowałem się do tempa żalobnego country. Miałem przy sobie Beau, a góra znajdowała się coraz bliżej. Pragnąłem nigdy nie cofnąć się od tego miejsca, ale też nie musieć iść naprzód. Chciałem, by wszystkie zegary na całym świecie się zatrzymały.

I tak się stało na krótką, ciepłą chwilę.

– Jadę właśnie ze Spokane – ciągnął Wesley, a ja słuchałem go tylko jednym uchem. – Przez Wenatchee. To takie małe miasteczko po drugiej stronie gór. – Drgnąłem lekko na dźwięk znajomej nazwy rodzinnego miasta, ale nie zaniepokoiłem się na tyle, by prysnąć cały mój spokój. – Zaginał tam chłopiec.

Przestałem przeżuwać. Ostatni kęs chleba z szynką zamienił się w klej w moich ustach. Czulem, że kierowca przygląda mi się kątem oka.

– Naprawdę? – udałem zainteresowanie.

– Tak, przedwczoraj. Po prostu zniknął. Pół stanu mówi tylko o tym.

Udało mi się przeżuć kanapkę do końca i przełknąć. Żołądek znów się zbuntował, a ból głowy, który prawie zasnął wraz ze mną, obudził się i zaczął szaleć pod czaszką.

– Przykra sprawa – rzuciłem. Wesley pokiwał głową i napił się kawy. – A gdzie się podział ich zdaniem?

– Nie są pewni. Myśleli, że pojechał do Spokane, ale tam go nie znaleźli. Przez chwilę wydawało im się, że jest w Moses Lake, a ostatnio słyszałem, że dotarli aż do Seattle, ale później ślad się urwał. Nie mają pojęcia, gdzie szukać.

A zatem Jessie nic nie powiedziała. Dochowała tajemnicy.

Wesley zerknął na mnie, a potem znów spojrział przez przednią szybę. Dałem resztę kanapki Beau.

– Powiadają, że chłopiec ma ze sobą psa.

Nerwowo zacisnąłem dłonie w pięści. Wyrząłem przez okno na zacinający deszcz, ale się nie odezwałem. Wycieraczki machały niestrudzenie, dzięki czemu ulewa nie oślepiła nas zupełnie.

– No cóż – westchnąłem, gdy cisza zrobiła się nieznośna, lecz nie miałem przygotowanej żadnej odpowiedzi. Zamierzałem rzucić coś w rodzaju: „Mam nadzieję, że go znajdą”, ale byłoby to tak wierutne kłamstwo, że nie chciało mi przejść przez usta. Zagryzłem wargi i zamknąłem oczy. – Mam nadzieję, że nic mu się nie stało – dodałem w końcu.

– Aha, ja też. – Głos Wesleya był miękki i cichy. I zadumany.

Jechaliśmy jakieś pięć, sześć minut bez słowa. Przycisnąłem czoło do zimnej szyby, lewą ręką objąłem psa i biłem się z myślami. On wie. Musi wiedzieć. Zawiezie mnie teraz na policję. Nie, może nie. Może jest najgłupszym biologiem na świecie. Przecież świat jest pełen tępych ludzi. A może wie, ale go to wcale nie obchodzi.

Jednego nie ogarniam: dlaczego ktokolwiek chciałby mnie powstrzymać. Pragnę tylko umrzeć. Taka to prawda.

– Miałem kiedyś syna – odezwał się Wesley, a ja skupiłem się na utrzymaniu kanapki w żołądku. – Też był z niego dobry chłopak. Silny, wesoły, śmiał się dużo i głośno.

Moje uszy słuchały jego słów, ale zmęczony umysł pracował nad czymś innym. Nad planem. Gdzieś wyżej powiem, że muszę pójść za potrzebą, a Wesley zatrzyma się, żeby mnie wypuścić. Z powodu burzy i zachmurzenia było prawie zupełnie ciemno.

– Wstąpił do wojska, żeby dostać się na studia – ciągnął. – Bystry dzieciak. Zrobiłbym dla niego wszystko.

Wejdem między drzewa i ucieknę razem z Beau. Zanim zacznie nas gonić, jeśli w ogóle na to wpadnie, będziemy już daleko. Skinąłem do siebie głową, przesuwając czołem po szybie.

– Kiedy go wysłali do Iraku, prawie umarłem. Nie lubię się zamartwiać, ale przysięgam, nie spałem calutką noc, gdy tam poleciał. Był tak potwornie daleko, a ja nie mogłem mu w niczym pomóc. Nie mogłem nic dla niego zrobić. Nie mogłem się nijak zatroszczyć o mojego chłopca.

To będzie oznaczało dłuższą wędrówkę i dłuższą wspinaczkę. Jednak jeśli poczekam do chwili, gdy dotrzemy prawie na miejsce, to nie będzie o wiele dłuższa. Poza tym nie miałem wyboru. Wesley dokładnie wiedział, kim jestem. Musiałem uciec.

Zorientowałem się, że zamilkł. Spojrzałem na niego. Zęby miał mocno zaciśnięte, brwi zmarszczone. Zauważyłem, że lekko mu drży dolna warga. Lecz kiedy znów się odezwał, jego głos nadał brzmiał łagodnie, równo i spokojnie.

– Gdy rozległo się pukanie do drzwi, wiedziałem, co oznacza, zanim je otworzyłem

i ujrzałem ludzi w mundurach. Wiedziałem. Oni tylko to potwierdzili. Powiedzieli, że mój chłopiec nie żyje. Zginął tysiące kilometrów od domu. – Nie spuszczałem wzroku z Wesleya, a on nie spuszczał wzroku z drogi. Jego oczy podejrzenie błyszczały, a jego ton nie był już taki łagodny, równy i spokojny. – Ojciec powinien zapewnić swoim dzieciom bezpieczeństwo. Powinien je chronić. To jest najważniejsze. Taka prawda. A ja nie mogłem pomóc mojemu synowi. – Oddychał przez nos.

– Przykro mi – powiedziałem.

Kiwnął głową.

– Mnie też. – Odwrócił głowę w lewo, głęboko odetchnął, po czym znów spojrzał przed siebie.

– Widziałem w wiadomościach rodziców Marka, tego zaginionego chłopca.

Niemalże się wzdrygnąłem na dźwięk swojego imienia.

– Wyglądali na przerażonych. I zrozpaczonych. Bardzo im współczułem.

Przełknąłem głośno ślinę, a potem jeszcze raz. Wiedziałem, że powinienem być zasmucony lub zły. Albo jedno, albo drugie. Dokonałem wyboru.

Wbiłem paznokcie w wewnętrzną stronę dłoni i podkuiliłem palce u stóp.

– Na pewno nic mu nie jest – odrzekłem, a mój głos był bezwzględny i wściekły niczym burza na zewnątrz. – Nic mu nie jest i nie potrzebuje niczyjej pomocy.

Wesley uniósł brwi i ściągnął usta, po czym przekrzywił głowę, lekko wzruszając ramionami.

– Może. A może nie. – Ściszył głos. – Rzecz w tym, że podali też informację, iż ten chłopiec jest bardzo chory.

Ostatnie słowo zawisło w ciepłym powietrzu kabiny niczym dżgający mnie oskarżycielsko palec.

– Zdaje się, że ma raka.

Oddychałem szybko i zaciskałem zęby. Nienawidzę słowa „chory”. Nienawidzę słowa „rak”.

– Już od jakiegoś czasu, ale dzielnie z nim walczył. Myślał, że się już całkiem wylizał, lecz wtedy... – Głos Wesleya się załamał, a on sam odetchnął głęboko. – No, mówią, że choroba znów zaatakowała. Niedawno.

Nienawidziłem sposobu, w jaki to powiedział. Takim tonem ludzie zazwyczaj wygłaszają beznadziejne frazesy typu: „Tak bardzo mi przykro”.

– To fatalnie – skwitowałem. Drzewa migały za oknem, czarne i ponure w burzowym mroku. Starłem się śledzić wzrokiem każde z nich.

– No, fatalnie. Ale lekarze mówią, że ma jeszcze szansę. Nadal może z tego wyjść, powiadają. Jednak jeśli szybko nie podejmie terapii, to... cóż, będzie po sprawie. Choroba wróci na dobre. I nic się nie da zrobić.

Przełknąłem gorzką gulę, która utkwiała mi w gardle.

– To fatalnie – powtórzyłem schrypniętym głosem. Zanurzyłem palce głębiej w sierści Beau, dotykając jego skóry, i przysunąłem bliżej siebie na siedzeniu. Pies przeciągnął się i delikatnie polizał mnie po dłoni. Powiedziałem do niego szeptem, choć Wesley chyba mnie usłyszał: – Choroba zawsze wraca. – Odchrząknąłem i spojrzałem na niego. – Mówili takie rzeczy? W wiadomościach? Powiedzieli o tym wszystkim?

– Mmm, dziś rano.

Prychnąłem z wściekłością.

– Czy to nie sprawa osobista? Prywatna? Dlaczego podają to do publicznej wiadomości?

Wesley wzruszył ramionami.

– Chyba po prostu chcieli, żeby wszyscy go szukali, żeby wiedzieli, jak poważna jest sytuacja...

– To jego problem – przerwałem ostrzej, niż zamierzałem. – Wyłącznie jego. Może powinni po prostu zostawić go w spokoju.

Znów zapadło milczenie. Słysząc było tylko deszcz, szum opon, warkot silnika, radio i oddechy naszej trójki. Oparłem głowę o szybę.

Wesley przerwał ciszę.

– A jak myślisz, co on robi, ten biedny, chory chłopiec?

Chciałem położyć sobie Beau na kolanach, skryć twarz w jego sierści, przytulić się i nie odpowiadać. Ale nie oderwałem czoła od okna. I podniosłem dłoń, którą obejmowałem psa. I zamknąłem oczy.

– Pewnie idzie umrzeć – odrzekłem. – Może na jakiejś górze.

Wesley wydmuchał powietrze przez nos i chyba pokiwał głową.

– A dlaczego chciałby zrobić coś takiego?

– Nie wiem. Może jest zmęczony byciem „tym biednym, chorym chłopcem” – odparłem, ciskając w niego jego własnymi słowami. Złość sprawiła, że brzmiały ostrzej. – Może chce choć raz być bohaterem. Może odebrano mu wszystko inne: przyjaciół, rodzinę, przyszłość. Wszystko, co chciałby robić. Całe życie. Może więc pozostała mu tylko jego śmierć. To jedyne, na co ma wpływ. Więc tego chce.

– Myślisz, że chce tego?

Zacisnąłem mocniej powieki.

– Nie, ale tylko to ma. A szpitale są do bani. I terapie. I to, gdy przyjaciele patrzą, jak chorujesz. I patzenie, jak twoi rodzice płaczą. Więc może chce po prostu wspiąć się na górę i zniknąć.

Otworzyłem oczy i spojrzałem prosto na Wesleya.

– Może tylko tego chce. Albo tylko to ma. I może powinni mu pozwolić to zachować.

Mężczyzna pokiwał głową i skrzywił się.

– Życie jest nieźle pokręcone, co, synku? – W jego słowach brzmiał ból. – Trudno się w tym wszystkim rozeznąć. Każdemu z nas, bo to dotyczy nas wszystkich. Ale czasami po prostu nie wiadomo, w którą stronę pójść.

Nie odezwałem się, ponieważ czasami nawet dobre odpowiedzi brzmią źle, jeśli pytanie nam się nie podoba. Taka to prawda.

– I jak myślisz, co człowiek powinien zrobić? Taki człowiek, który być może spotka tego chłopca idącego samotnie drogą, i wie, co się dzieje? Co powinien zrobić?

Nie spuszczałem oczu z twarzy Wesleya. Mój głos zabrzmiał miękko, nie było już w nim złości. Nie było jej też we mnie.

– Powinien go podwieźć. I pomóc mu. Powinien go zawieźć tam, gdzie chłopiec potrzebuje, żeby mógł zrobić to, co musi.

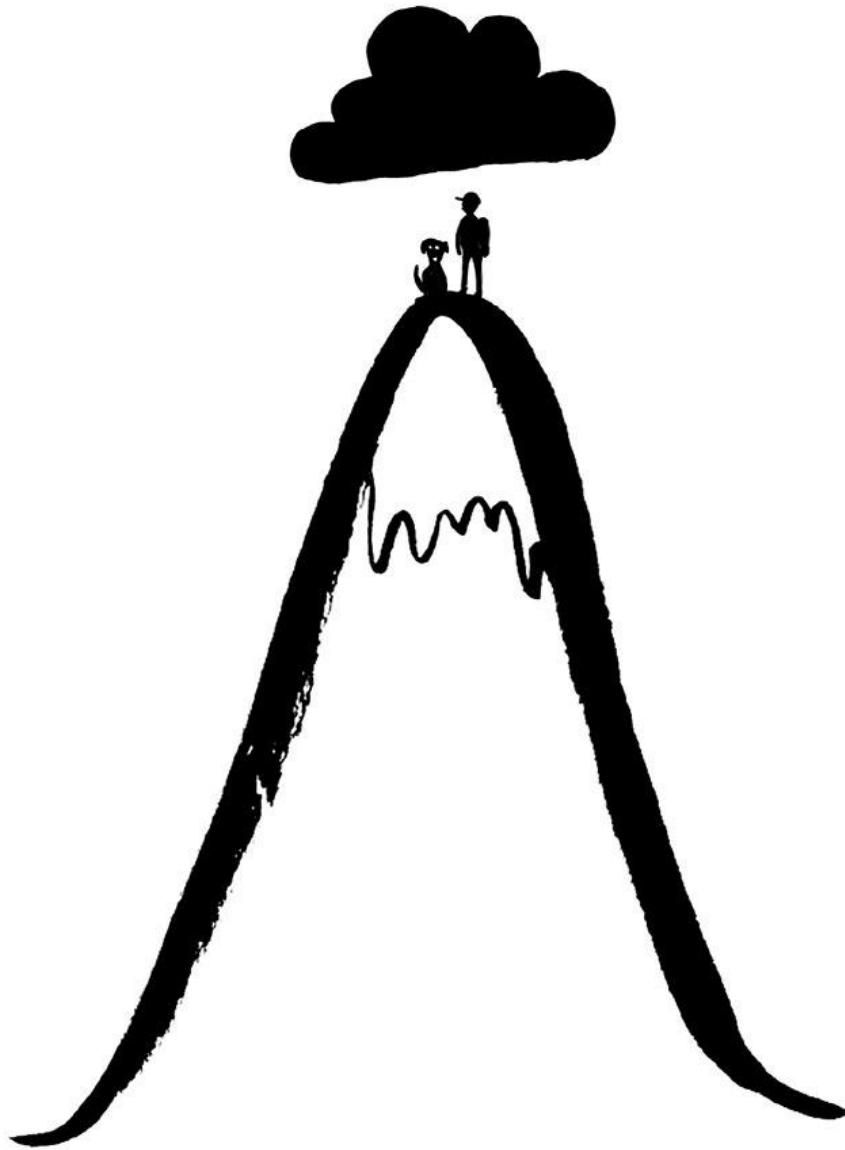
W głośnikach jęknęła gitara. Męski głos zapłakał. Na zewnątrz widziałem tylko deszcz i ciemność.

– Nie mogłem pomóc mojemu synowi – wyznał Wesley.

Odwróciłem wzrok i spojrzałem na strugi wody spływające po szybie.

– Może mógłby pan pomóc temu choremu chłopcu.

Rozdział 9½



*W ciemności gdzieś tam
Samotny mój przyjaciel.
Tęsknię za nim wciąż.*

Jessie oglądała dziennik telewizyjny. Podali tylko krótką wzmiankę o Marku, drobną aktualizację przed pogodą, wraz z numerem telefonu, pod który można dzwonić. Znała go już na pamięć.

Najważniejszą wiadomością teraz była nadciągająca z północy burza. Niska temperatura, silny wiatr, intensywne opady. Zimowa burza pod koniec wiosny, jak mówili. Niezwykle zjawisko. Gwałtowna. Niebezpieczna.

– Policja apeluje, by nie wychodzić z domów – przekazał spiker. – Podróżować należy tylko w razie konieczności.

Pojawiła się mapa stanu z przesuwanymi się chmurami. Opady śniegu wyłącznie w górach, zapewnili i to miała być dobra wiadomość. Jess spojrzała na górę Rainier zaznaczoną na mapie i całkowicie pogrążoną w bieli.

– Och, Marku – wyszeptała do ekranu.

Zastanawiała się, czy jego rodzice też oglądają prognozę. Miała nadzieję, że jednak nie. Co prawda nie wiedzieli, dokąd ich syn zmierza, ale niezależnie od tego wiadomość o burzy musiałaby ich zaniepokoić jeszcze bardziej.

– Pogoda nas nie rozpieszcza, drodzy państwo – mówił prezydent pogody. – Ale niestety zanoszą się na to, że będzie znacznie gorzej.

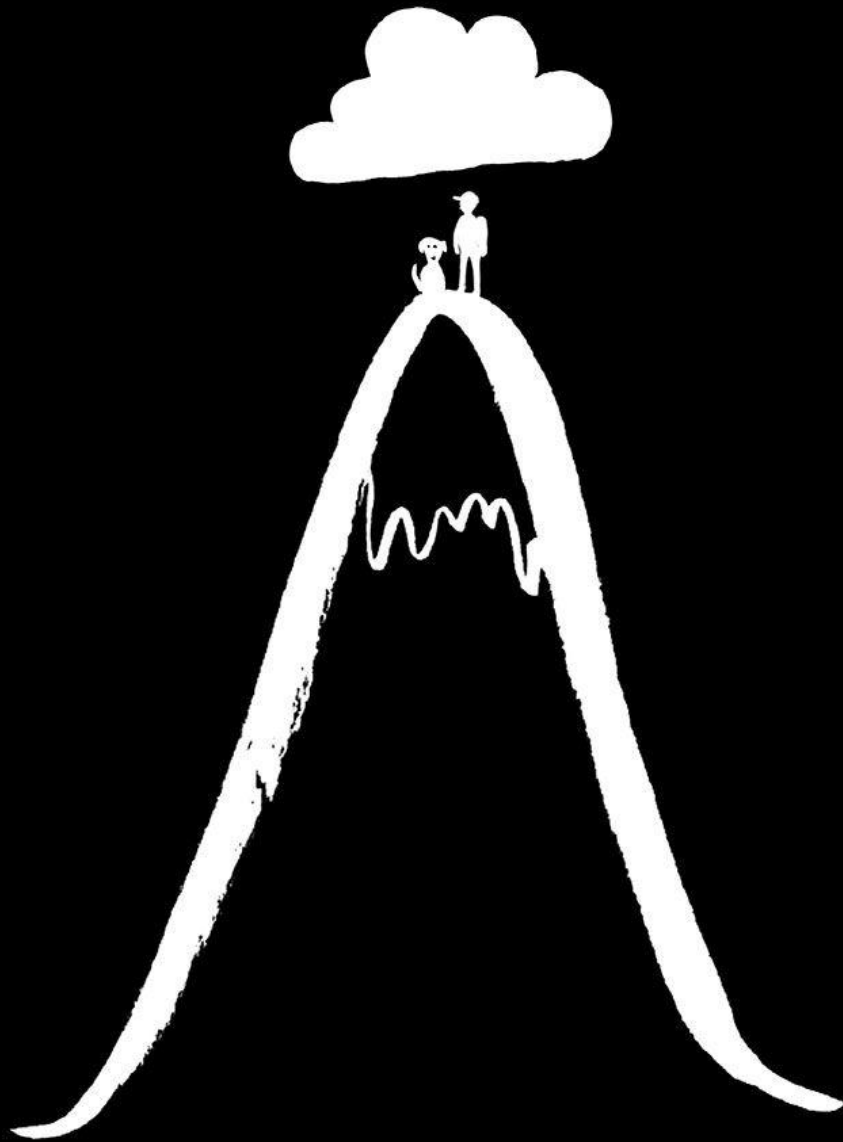
Nagła, potworna myśl uderzyła Jess: a jeśli Mark chciał, żeby im powiedziała? Jeśli na to liczył? A jeżeli kulił się gdzieś, drżący i przerażony, zastanawiając się, dlaczego nie wezwała pomocy?

Może powinna go uratować?

Niepewność boli.

*Strach i myśli jak chmury
Na tym nocnym niebie.*

Rozdział 10



Do pokonania 13 km

Siedzieliśmy w kabinie ciężarówki na prawie zupełnie pustym parkingu przed budynkiem Centrum Turystycznego Raj. Był duży, drewniany i miał ogromny skośny dach o kilku połaciach. Choć zima już dawno minęła, wokół nadal zalegały hałdy śniegu.

Tu wysoko, blisko końca drogi, blisko szczytu góry, wiatr zachowywał się niczym żywa istota, która chybotwała samochodem i wciskała się przez szpary w drzwiach. Krople deszczu głośno tłukły o karoserię, a na przedniej szybie mieszały się ze śniegiem.

Siedzieliśmy w pełnym napięcia milczeniu. Wesley patrzył prosto przed siebie na chmury i deszcz, zagryzając wargi. Wyraźnie nie chciał spoglądać na mnie.

– Byłeś już kiedyś na górze Rainier? – zapytał w końcu.

– Nie. Wybierałem się tutaj z dziadkiem, ale... – Zamilkłem i westchnąłem. Czulem przemożny smutek i zmęczenie. – Mój dziadek był świetnym wspinaczem. Obiecał, że zabierze mnie na górę Rainier, kiedy mój stan się poprawi. To była nasza wielka tajemnica. Ale gdy mnie zrobiło się lepiej, on zachorował. Na nerki. I już nigdy nie wyzdrowiał. – Zamrugalem powoli ze znużeniem, wspominając. – Był jak wielki i silny bohater, a potem po prostu zmarniał. Miesiącami leżał w szpitalu i robił się coraz mniejszy, słabszy i bledszy, opleciony coraz większą płataniną różnych rurek. To było tak... tak, jakbym widział siebie. Swoją przyszłość. Wie pan, jakie były ostatnie słowa dziadka?

Wesley pokręcił głową.

– W przeddzień śmierci powiedział: „Nigdy nie chciałem umierać w taki sposób”. I kazał mi złożyć obietnicę, że wejdę na Rainier za niego. – Uniosłem wzrok, patrząc w stronę szczytu góry skrytego w chmurach. – Oczywiście nie mógł przewidzieć, że znowu zachoruję. Ale obietnica to obietnica.

Kolejny podmuch zakołysał autem, przypominając nam o zimnym świecie na zewnątrz.

– Jak mam ci na to pozwolić? – zapytał Wesley, nadal na mnie nie spoglądając. – Jak mam ci pozwolić iść, skoro wiem... jeśli wiem... – Urwał i szorstkim gestem przyglądził wąsy.

Wiedziałem, że muszę skłamać, by mnie puścił.

– Nie będę się pchał na samą górę, proszę pana. Wiem, że to bez sensu. Pójdę tylko kawałek, może spróbuję znaleźć się nad poziomem chmur, żeby zobaczyć szczyt. Dla dziadka. A potem zaraz wrócę na dół. – Poklepałem plecak. – Mam wszystko, czego potrzebuję. Jedzenie, sprzęt i tak dalej. Wiem, co robię.

Wesley w końcu spojrzał na mnie, miał zmartwioną minę i pełne bólu oczy. Nie lubiłem siebie za przykrość, którą mu sprawiam.

– Proszę – ciągnąłem. – Nigdy nie miałem wyboru. Przez całe życie nie miałem żadnego wyboru. Proszę mi pozwolić dokonać choć takiego. Proszę choć o to jedno, zanim znów wszystko zostanie mi odebrane.

– Mógłbyś pójść z przewodnikiem, synu, albo ja mógłbym ci towarzyszyć, albo...

– Nie, muszę to zrobić sam. Tę jedną rzecz.

– Synu, możesz tam stracić życie.

Zabawne: siedząc w tej ciężarówce i nie mając przed sobą już niczego prócz góry, byłem tak przerażony, że z trudem oddychałem, a mój żołądek rzucał się jak ryba w sieci, lecz nigdy nie czułem się bardziej gotowy. Miałem dosyć wszystkiego. Chciałem, by to się wreszcie skończyło. Taka to prawda.

– I tak umrę – odparłem. Beau siadł oparty o mnie. Pochyliłem się, by wciągnąć w nozdrza zapach jego sierści. – Nic innego mnie nie czeka. Niech mi pan pozwoli wejść na górę. To moje jedyne marzenie. Proszę.

Wesley pokiwał głową, ale bardziej do siebie niż do mnie. W końcu wyciągnął rękę i mocno ścisnął moje ramię.

– Idź – powiedział.

– Dziękuję – odrzekłem. – I proszę nikogo nie zawiadamiać, dobrze? Nic mi nie będzie. Nie chcę, by ktoś ruszył mi na pomoc. Nie chcę ekip ratunkowych. Nie chcę, by rodzice się martwili, że wyruszyłem w góry. Zadzwonię do nich z centrum turystycznego, kiedy zejdem na dół, i nie będą się już musieli niepokoić.

Wesley przygryzł wargę.

– Pójdiesz tylko kawałek, a potem zejdziesz na dół?

– Tak – skłamałem. – Kawałek w górę i z powrotem.

Drzwi otworzyły się ze zgrzytem i wiatr wpadł do środka, obejmując mnie swoimi palcami. Beau dał susa przez moje nogi, bo chciał koniecznie wysiąść pierwszy. Wyślizgnąłem się na zewnątrz i już miałem zatrzaskać drzwi, gdy Wesley zawołał do mnie:

– Synu! – Zatrzymałem się z ręką na klamce, a lodowaty deszcz siekł mnie po twarzy. – Nie wiem, czy nikogo nie zawiadomię. Wiem, że nie zrobię tego przez godzinę lub dwie. Mogę zapewnić ci przynajmniej tyle. A może trochę więcej. Nie wiem.

Skinąłem głową. To najlepsze, co mogłem dostać, i miałem szczęście, że było tego choć tyle.

– Dobrze. Dziękuję.

Zatrzaskałem drzwi, a ciężarówka, nie czekając, ruszyła i powoli się oddaliła. Nadal słyszałem muzykę country, nadal czułem ciepło szoferki, gorące powietrze, zapach kawy, kanapki i papierosowego dymu. Wiedziałem, że to może być moje ostatnie szczęśliwe miejsce, ale ja nawet w nim nie czułem się szczęśliwy.

Uniosłem aparat do oka i zrobiłem zdjęcie, ujmując w kadr zieloną ciężarówkę, biały śnieg, czarne chmury, sylwetkę przyjaznego człowieka za kierownicą i oddalające się czerwone tylne lampy. Zostałem całkiem sam.

Odwrociłem się w stronę góry, lecz nadal nie było jej widać. Nie chciała mi się pokazać, ukrywała się w chmurach i czekała, aż do niej przyjdę.

– No to dotarliśmy, kolego – zwróciłem się do Beau, a on zapiszczał i zaczął się kręcić wokół mnie w podskokach.

Po drugiej stronie parkingu, tuż za centrum turystycznym, dostrzegłem kępę pochylonych przez wiatr sosen. Poszedłem tam z psem przy nodze.

– Zostań – poleciłem mu. Beau przekrzywił łeb i spojrzał na mnie badawczo. – Zaraz wrócę.

Położyłem przy nim plecak, odwróciłem się i odszedłem. Wiedziałem, że na mnie poczeka. Był bardzo mądrym psiakiem.

Przestronny hol centrum turystycznego, z wysokimi sufitami i dużą otwartą przestrzenią, wypełniały gabloty wystawowe. Znajdował się tam duży trójwymiarowy model góry Rainier, który można było obejść naokoło, tablice na temat lokalnej flory i fauny, informacje o historii i szlakach wspinaczkowych. Spojrzałem na makietę góry z czarnymi skalistymi połaciami oraz majestatycznym białym szczytem i poczułem się maleńki, przerażony i nieskończenie samotny, samotny, samotny...

Z powodu nadciągającej burzy centrum było prawie zupełnie wyludnione. Tylko garstki turystów stały tu i tam, zgrupowane dwójkami, trójkami i czwórkami. Rozpoznałem kilku pasażerów autobusu i szybko odwróciłem wzrok. Jako jedyny przyszedłem tu zupełnie sam.

Na piętrze znajdował się sklep z pamiątkami, w którym sprzedawano książki, mapy, filmy i breloki do kluczy. A także przekąski. Przekopałem kieszenie w poszukiwaniu resztki pieniędzy

i wygrzebałem marne dziewięć dolców. Ostatnie dziewięć dolców w moim życiu.

Chwyciłem parę snickersów, trochę orzeszków w czekoladzie, torebkę mieszanki studenckiej. Jakaś rodzina kręciła się po sklepie, a podekscytowane, hałaśliwe dzieciaki naciągały rodziców na kupno zabawek. Przemknąłem między nimi niezauważony, tak jakbym już był duchem. Chciałem poprosić, by mi kupili pluszaka, a potem pojechać z nimi do domu, zmienić nazwisko i żyć na zawsze.

Sprzedawczyni podsumowała moją należność za zakupy.

– Osiem pięćdziesiąt – oznajmiła opryskliwym tonem. Miała na twarzy za grubą warstwę makijażu, czuć od niej było papierosami i patrzyła tak, jakby mnie nienawidziła. Ból głowy, wiecznie obecny, poskrobał tępyimi zębami o wewnętrzną stronę mojej czaszki.

To nie może być ostatnia osoba, z którą porozmawiam w życiu. To nie może się tak skończyć. Czuję się wystarczająco mały i samotny.

– Jest tu gdzieś telefon? – zapytałem słabym głosem, z trudem przebijającym się przez dudnienie w głowie i łomot serca.

– Na dole – odrzekła.

Odłożyłem jeden baton.

– Czy może mi pani wydać resztę w ćwierćdolarówkach?

Niemalże przewróciła oczami, ale dała mi drobne bez słowa.

Zszedłem na dół.

Telefon znajdował się w ciemnym pustym korytarzyku prowadzącym do ubikacji.

Dłonie mi się trzęsły, a monety zaciśnięte w pięści były śliskie od potu.

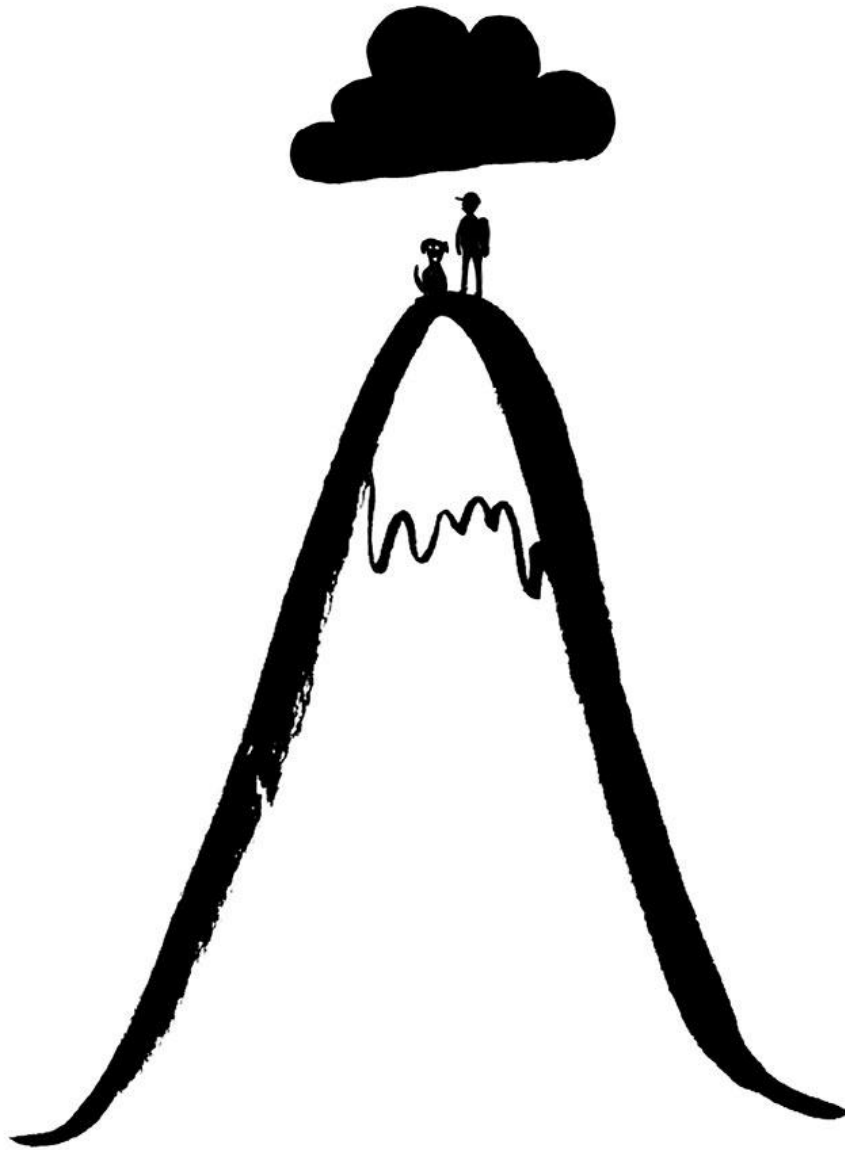
Po kolei wrzuciłem wszystkie ćwiartki do aparatu. Drżałem tak bardzo, że ledwo stałem, a moja głowa była jednym wielkim tętniącym bólem. Zaciśnąłem powieki, próbując przypomnieć sobie numer. Miałem tylko jedną próbę, nie mogłem się pomylić.

Przyciski były metalowe i starte od dotyku tysięcy palców.

Po ostatniej cyfrze przyłożyłem słuchawkę do ucha, oparłem się o ścianę budki i zamknąłem oczy. Wychwytywałem trzaski setek kilometrów zakłóceń.

Telefon dzwonił.

Rozdział 10¹/₂



*W pokoju ciemność.
Siedzi sama w milczeniu.
Dzwoni telefon.*

Jessie podeszła do telefonu, spojrzała na wyświetlacz, na którym widniał napis: „Numer nieznanym”, i podniosła słuchawkę.

– Halo? – odezwała się.

– Cześć, Jess.

Nie musiał mówić, że to on. Szklanka wyslizgnęła jej się z palców i uderzyła w podłogę, a woda się rozchlapała, lecz Jess nawet tego nie zauważyła. Jego głos, który znała tak dobrze – ukochany głos, za którym tęskniła od dwóch dni – sam jego głos, cichy i daleki w słuchawce telefonu, sprawił, że jej oczy wypełniły się gorącymi łzami.

– Mark? Mark!

Zaśmiał się cicho i nieśmiało, jakby przestraszony.

– Hej, Jess. Co... co u was?

Pokręciła głową, czując, że oddycha za szybko i za płytko. Bała się, że zaraz zemdleje.

– Kompletne szaleństwo, ale to nieważne... Zupełnie nieważne! Gdzie jesteś? Nic ci się nie stało?

– Jestem tutaj, Jess. Jestem tutaj.

„Jestem tutaj”. Powiedział to na poły z dumą, na poły z lękiem. Jakby nie mógł się zdecydować, z której części serca płyną te słowa. A ona nie mogła się zdecydować, którą stroną serca je słyszy.

– Rozumiem. Nic ci nie jest?

Nastąpiła długa, długa cisza. Jess już myślała, że Mark się rozłączył, i kolana niemalże się pod nią ugięły.

Lecz wtedy znów go usłyszała, ale brzmiał, jakby się oddalał, jakby się zegnał.

– Chciałem tylko cię usłyszeć.

– Mark...

– Poczuję się trochę samotny i zanim odejdę, chciałem...

Zniknął gdzieś w oddali, a ona czekała. Słowa „zanim odejdę” osiadły w jej głowie niczym czarne ptaki na nagrobku.

– Mark?

– Dzięki za wszystko, Jess. Za wszystko. Jesteś...

– Mark...

Mówił dalej, cicho, lecz szybko, tak jakby chciał ją zagłuszyć.

– Jesteś najlepsza. Zawsze byłaś. Dziękuję ci za to. I... i... Kocham cię, Jess. Po prostu cię kocham, i tyle.

Nie było w tym nic romantycznego. Nie miało znaczenia, że on jest chłopakiem, a ona dziewczyną. Liczyło się tylko to, że byli przyjaciółmi. Najlepszymi przyjaciółmi.

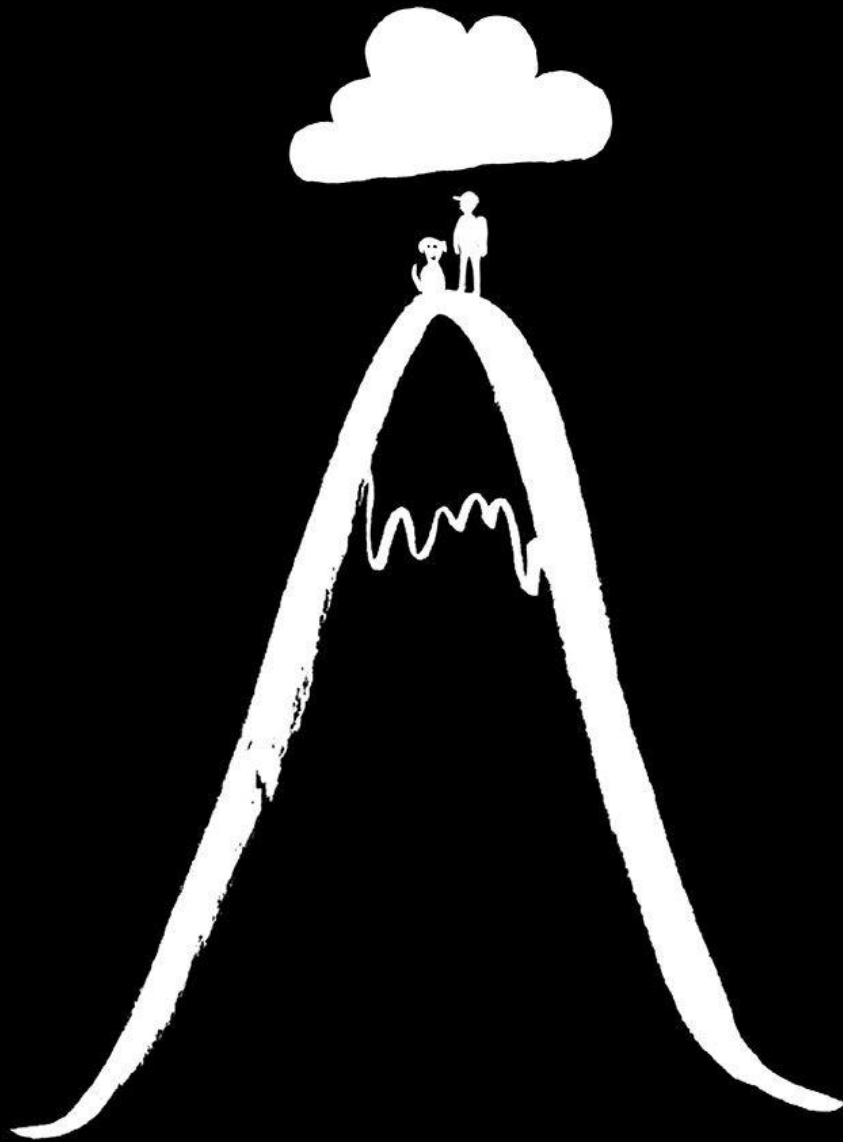
Jego głos był bardzo delikatny i zagubiony, kruchy i słaby. Ale jej przyjaciel dokonał tego: dotarł tak daleko, zupełnie sam.

Serce Jessie równocześnie śpiewało i pękało. Taka to prawda.

– Mark, poczekaj! – niemalże krzyknęła. – Posłuchaj, potrzebuję cię. Nie możesz... – Ale

połączenie zostało przerwane.
„Kocham cię, Marku” –
Szeptęła do słuchawki
Cichej niczym sen.

Rozdział 11



Do pokonania 13 km

*Burza i chaos.
Zacząłem iść pod górę.
Beau szedł obok mnie.*

To oczywiste, ponieważ zawsze był przy mnie. Gdy odłożyłem słuchawkę i wyszedłem na zewnątrz, siedział tam, gdzie go zostawiłem obok plecaka pod drzewami, i czekał cierpliwie. Mój drugi najlepszy przyjaciel.

Wyciągnąłem zapasową parę skarpet oraz buty do chodzenia po górach, a trampki postanowiłem zostawić. Włożyłem dwie pary rękawic, zimową kurtkę oraz ocieplaną kominiarkę, która zakrywała całą twarz poza oczami i wąską szczeliną na usta. Okłamałem Wesleya: nie miałem żadnego sprzętu, który jest konieczny, by wyprawić się na górę taką jak Rainier. To, co miałem, powinno wystarczyć, bym dotarł odpowiednio wysoko i nie wrócił. Choć druga część mojej wypowiedzi była prawdziwa: dokładnie wiedziałem, co robię.

Wyjąłem też małe czarne opakowanie na film wielkości baterii R14. Wcześniej okleiłem je szczelnie taśmą i założyłem metalowe kółko przechodzące przez wywierconą w pokrywce dziurkę. W środku znajdował się list z wyjaśnieniem, z przeprosinami dla mamy i taty, a także moje nazwisko, adres oraz numer telefonu. Przypiąłem pudełko do obroży Beau obok adresówki.

– Wrócisz bezpiecznie do domu, kolego – szepnąłem i pocałowałem go w nos. – Musisz. – Uśmiechnął się do mnie po psiemu i sapnął.

Podzieliśmy się bananami, suszonym mięsem i mieszanką studencką. Rozpakowałem snickersa, żeby zjeść go po drodze, i wstałem. Bardziej gotowi już nie mogliśmy być.

Szlak zaczynał się tuż za centrum turystycznym obok parkingu. Jakby to nie było nic wielkiego. Po prostu spacerek przez hektary śniegu, lodu, głazów, szczelin lodowych do górującego nad tym wszystkim szczytu uspiętego wulkanu. Bułka z masłem.

Od samego początku szlak piął się stromo pod górę. Gdy tylko zeszliśmy z parkingu, zewsząd otoczył nas śnieg, i choć był ubity na twardo przez stopy wszystkich wędrowców przede mną, mimo to przy każdym kroku lekko się ślizgałem. Spowolniło to mój marsz, za to przyspieszyło oddech, a przecież dopiero zaczynałem. Beau truchtał wokół, ciesząc się z powodu śniegu oraz kanapki z szynką i serem w brzuszku. I chłopca u jego boku. Nie przejmował się jakimiś tam górami.

Nie chciałem się nad niczym zastanawiać, więc myślałem jedynie o tym, że wiatr przenika przez moje ubrania aż do skóry, że stopy już zaczynają mi marznąć, a nogi mam słabe i miękkie. Myślałem o wywracającym się żołądku, który nie mógł się zdecydować, czy wymiotować, czy umierać z głodu. Nie musiałem za to myśleć o głowie – miazdzący, narastający ból nie pozwalał mi o niej zapomnieć ani na chwilę.

Tak. A czasami, między jednym krokiem a drugim, myślałem o mamie i o tym, że nie będzie miała kogo okrywać kocem przed snem.

I o tacie, który prawdopodobnie siedzi sam przy stole w jadalni, patrząc na swoje dłonie. Tak jak to robił godzinami po śmierci mojego dziadka, a swego ojca.

I o Jessie. Czasami też o Jessie i o tym, jak trudno musiało jej być dochować tajemnicy.

Ale starałem się tego nie robić.

Gdy mięśnie nóg zaczęły mnie palić z bólu, płuca walczyły o każdy haust rozrzedzonego

górskiego powietrza, a słabe kolana trzęsły się jak galareta, zatrzymałem się na pierwszy odpoczynek. Pochyliłem się, wspierając dłonie na udach i próbując oddychać powoli, żeby nie zwymiotować. Obejrzałem się przez ramię.

Centrum turystyczne nadal było widoczne i nawet nie wydawało się o wiele mniejsze. Pokręciłem głową.

– Dobra – wysapałem do Beau między oddechami. – Koniec oglądania się za siebie.

Im wyżej się wchodzi, tym trudniej oddychać. Taka to prawda. Czytałem o tym. Im wyżej, tym rzadsze jest powietrze i tym mniej potrzebnemu organizmowi tlenu. Przy mniejszym dopływie tlenu mięśnie szybciej się męczą, nie można złapać oddechu, a mózg funkcjonuje wolniej. Wszystko staje się trudniejsze. W naprawdę wysokich górach wspinacze mają własne zbiorniki tlenowe i oddychają przez maski podobne do płetwonurkowych. To ich trzyma przy życiu.

Cały czas szedłem. Wiatr wiał mi w plecy, co było prawdziwym plusem tej sytuacji. Dął tak mocno, że czasami prawie mnie przewracał. Był lodowato zimny, głośny i miotał twardymi, szczypiącymi płatkami śniegu – ale pchał mnie pod górę.

Niepokoilo mnie drżenie nóg, a także klucie w pustych płucach, i sposób, w jaki mój żołądek wywracał się i zaciskał. Za prędko to przyszło. Wiedziałem, że mam fatalną kondycję, że jestem słaby i chory, ale za szybko opadałem z sił. Nadal miałem sporo do przejścia.

Szedłem dalej. Wszystkie myśli, które chciałem powstrzymać, szalały w mojej głowie. Twarze, głosy i wspomnienia. O wszystkich ludziach, za którymi tęskniłem. O Jessie, tacie, mamie. Innych też, ale głównie o tej trójce. To im będzie mnie najbardziej brakowało.

Potknąłem się i upadłem na kolana. Przez chwilę klęczałem, próbując złapać oddech na wietrze, w którym było więcej śniegu niż tlenu. Nogi miałem miękkie jak ugotowane spaghetti. Beau przytulił się do mnie, a w mojej głowie nieruchomo trwały wizerunki najbliższych. Trzymałem je tam mocno. I wtem, w nagłym podmuchu, mój smutek zmienił się w zimną złość.

Będą za mną tęsknili, ale przynajmniej będą mieli taką możliwość, bo będą nadal żyli. Mają życie przed sobą.

Owszem, Jess dochowała tajemnicy. I co z tego? Zachowała w sekrecie to, gdzie zamierzam umrzeć – ale to ja musiałem tam dotrzeć i zająć się umieraniem.

Mama nigdy mnie już nie otuli kocem, jasne. Ale za to mnie już nigdy nie będzie ciepło.

Tato będzie siedział sam po ciemku przy stole – ja umrę sam w zamieci.

Będą płakali, kiedy odejdę, ale to ja odejdę. Mieli wszystkie jutra świata na to, by poczuć się lepiej.

– To niesprawiedliwe! – krzyknąłem, a wiatr porwał moje słowa i poniósł je w lodową kurzawę.

Nie ogarniam tego: właściwie wszystkiego. Kompletnie nic z tego nie pojmuję.

Moja złość była na tyle silna, by postawić mnie na nogi i krok po kroku powieść wyżej w śnieżycę.

Szedłem. Burza była zawzięta, ale ja też.

Piesek towarzyszył mi niczym anioł stróż. Cały czas patrzyłem na śnieg pod moimi stopami i widziałem, że Beau nie odstępował mi na krok. W sierść wczepiły mu się twarde kulki zbitego śniegu, a kiedy zatrzymaliśmy się na odpoczynek, zauważyłem, że się trzęsie. Sapał z wywieszonym jęzorem, ale był cały czas u mego boku. Ufał mi. Szedł ze mną. Moje serce zamarło, gdy pomyślałem o celu naszej wędrówki, więc szybko odepchnąłem od siebie te myśli.

Szedłem dalej, a to naprawdę nie było co. Byłem tak chory, że nie powinienem mieć sił na wyjście z parkingu, lecz mimo to szedłem pod górę.

Choć obiecałem sobie, że nie będę tego robił, jeszcze raz obejrzałem się za siebie.

Budynek centrum turystycznego dawno już zniknął z widoku. Za mną była tylko beznadziejna biała pustka. Po prostu nicość. I nikogo w niej.

Samotność zawyła głośniejszą niż wiatr.

Głośniejszą nawet niż moja złość.

Zacząłem szczerkać zębami.

– No cóż – westchnąłem, opadając na kolana, żeby objąć trzęsącego się Beau za szyję – stało się. Stało się, kolego. Poszliśmy sobie. – Pies przytulił się do mnie. Przeraziłem się, jak bardzo drży. Wyciągnął szyję, żeby polizać moją brodę, a ja podrapałem go za uszami.

Nie wiedziałem, czy łyzy mogą zamarznąć. Czy mogą zamienić się w lód w oczach i oślepić? Wydawały się na to zbyt gorące.

Zwróciłem się w kierunku, w którym miałem iść, nadal na kolanach. Stok wznosił się nade mną coraz bardziej stromo, ale zamieć ograniczała widoczność do jakichś trzydziestu metrów.

– Chciałbym cię zobaczyć! – krzyknąłem w nadziei, że wiatr zaniesie moje słowa ukrywającej się górze. Nie było odpowiedzi ani nawet żadnego prześwitu w chmurach. Wstałem więc i ruszyłem dalej.

Wiatr rozproszył całe moje poczucie czasu i orientację w przestrzeni. Istniały tylko dwa kierunki: góra i dół, a ja musiałem iść w górę. Wypatrywałem cieni odcisków stóp wszystkich turystów i przewodników przede mną, których śladem podążałem. Śnieg był tak jasny, nawet w mroku burzy, że musiałem mrużyć oczy. Chwilami całkiem je zamykałem, bo dziwnym sposobem wydawało mi się wtedy, że jest nieco cieplej.

Nie widziałem słońca, ale czułem, że się przesuwają po niebie. Coś w cieniach lub w kącie padania przygaszonego światła mówiło mi, że południe przyszło i minęło, a popołudnie i po nim wieczór czaiły się już za warstwą chmur. Później nadejdzie noc, a z nią ciemność. Zignorowałem swoje płuca, nogi, głowę i ruszyłem szybciej.

Szedłem naprzód.

Wędrowałem przez wiele minut lub godzin, trudno powiedzieć. Przez wiele metrów lub kilometrów, trudno stwierdzić. Było mi zbyt zimno, bym czuł głód.

Choć nie oglądałem się za siebie, jednak czasami zatrzymywałem się i próbowałem dojrzeć coś przed sobą. Chciałem ją zobaczyć. Chciałem zobaczyć tę górę i upewnić się, że naprawdę istnieje.

Lecz ciągle kryła się gdzieś w chmurach, wciąż nieobecna.

Kiedy kolejny raz stanąłem i padłem na czworakach z drżącym Beau pode mną, zauważyłem grupę wspinaczy. Próbowałem wypatrzeć szczyt, gdy padający śnieg rozstał się nagle na moment i ujrzałem turystów idących gęsiego. Byli daleko i wydawali się maleńcy. Schodzili w dół od strony szczytu z powrotem do świata ludzi.

Ale nie szli w moją stronę.

Byli z boku na grani śnieżnej nieco wyżej niż ja. Dzieliła nas niewielka, ale głęboka dolina.

Kłęczałem w śniegu wsparty na dłoniach. Potrząsnąłem głową, przez popękane usta wciągając rzadkie powietrze i starając się zebrać myśli.

– Zeszli ze szlaku – zwróciłem się do Beau słabym, zasapanym głosem. – Zgubili się.

Przyszło mi do głowy, że powinienem do nich dotrzeć i spróbować ich ostrzec, że idą w złym kierunku. To wielka góra. Jeśli się pójdzie za daleko w niewłaściwą stronę, można zniknąć na zawsze. Ale nie, przecież nie mogą mnie zobaczyć: dzieciaka, zupełnie samego na górze w zamieci. Podziękują mi za ratunek, a potem zawloką siłą na dół. Poza tym na pewno idzie z nimi przewodnik, który bezpiecznie sprowadzi ich do domu.

Dom. Bezpieczny. Potrząsnąłem głową, z trudem wstałem i ruszyłem dalej.

Jakąś chwilę później – a może kilka godzin, nie wiem – uświadomiłem sobie, że nie idę już po niczych śladach.

Zatrzymałem się jak wryty. Śnieg przede mną miał idealnie równą powierzchnię wygładzoną przez wiatr. Odwróciłem się i spojrzałem w tył. Żadnych śladów stóp, nawet moich.

Stałem i walczyłem z powietrzem o oddech, zupełnie otumaniony. Moje myśli nie chciały się łączyć w logiczny ciąg, a dreszcz wstrząsał całym moim ciałem. Nie miałem pojęcia, jak długo siedłem, nie patrząc, dokąd zmierzam.

Przypomnieli mi się tamci turyści, którzy schodzili z góry.

To nie oni zbczyli ze szlaku, lecz ja.

Z której strony byli?

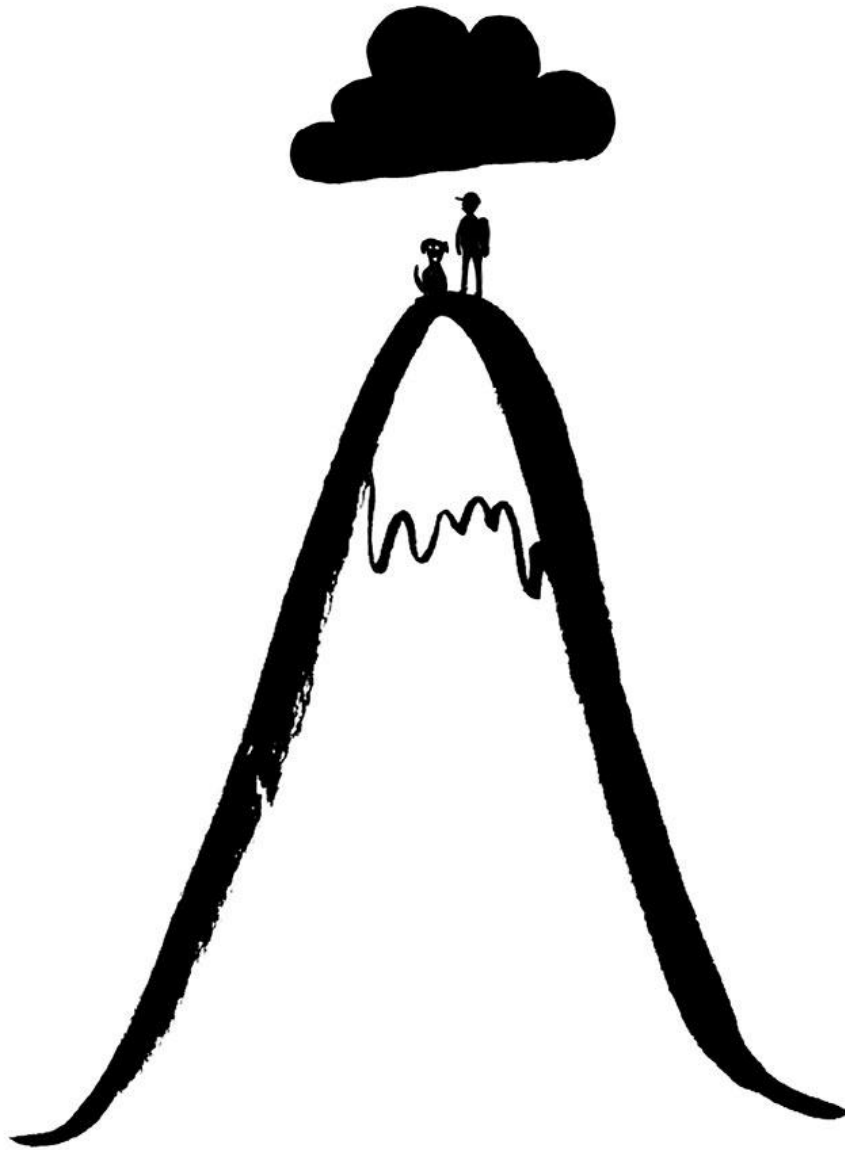
Rozejrzałem się wokół i ujrzałem tylko biel. Nie widziałem śnieżnej grani, którą szli, ani oddzielającej nas dolinki. Nawet nie pamiętałem dokładnie, w którą stronę patrzyłem, kiedy ich zauważyłem. Byłem całkowicie skołowany.

Kręciłem się w kółko, wyężając wzrok i potrząsając głową. Beau u moich stóp otrzepał się i zaskomlał. Niezależnie od tego, gdzie spojrzałem, wszędzie była tylko biel. Ale miała ciemniejszy odcień niż poprzednio.

Nadchodziła noc.

A ja się zgubiłem.

Rozdział 11½



*Czekanie boli.
Fala myśli mnie dławi.
Pytania dręczą.*

Jessie siedziała przy stole, a mama Marka kończyła przygotowywać obiad. W te dni, gdy mama Jess pracowała do późna, dziewczynka zawsze jadła obiad z rodziną Marka. Tylko że teraz go z nimi nie było.

„Jestem tutaj, Jess”.

Te słowa cały czas odbijały się echem w jej sercu. Były jak otwarta rana, której nie powinna dotykać, ale nie mogła się powstrzymać.

„Poczułem się trochę samotny”.

Miała wrażenie, że jej świat jest niczym talerz, który zaraz roztrzaska się o podłogę.

W telewizji znów podawano wiadomości. Słyszała spokojny, wyraźny głos spikera. Skupiał się na dwóch najważniejszych komunikatach: Marku i burzy. Dla ekipy telewizyjnej to były dwie odrębne historie, ale nie dla Jessie.

Zastanawiała się, dlaczego mama chłopca nie wyłączy telewizora. Żeby zagłuszyć ciszę? Żeby się upewnić, że reszta świata nie zapomniała o jej zaginionym synku?

Tato siedział przy stole naprzeciwko Jess przed rozłożoną gazetą. Wpatrywał się w nią bez ruchu. Wyglądał na bardzo zagubionego.

W końcu mama przyniosła dwa talerze spaghetti z klopsikami. Pachniało ciepło i znajomo. Pewnie przygotowała je, dlatego że było to ulubione danie Marka. Jakby się chował gdzieś w ogródku za domem, a poczuwszy ten zapach, szybko wyjdzie z ciemności. A może dlatego, że to było jedyne, co mogła dla niego zrobić: przygotować jego ulubiony posiłek. Tak robią mamy.

Tato nawet nie podniósł wzroku znad gazety, której nie czytał.

– Musisz coś zjeść – napomniała go cicho mama, kładąc mu dłoń na ramieniu.

– Nie jestem głodny – odrzekł, kręcąc głową. – Mówiłem ci.

– Wiem, kochanie. Ale musisz jeść.

Znów pokręcił głową i głośno odetchnął.

– Nie mogę. Jeszcze nie.

Mama przyjaciela wsparła rękę na biodrze i zrobiła groźną minę.

– Nie odejść stąd, dopóki nie zjesz klopsika.

Tato spojrzał na nią, ściągając brwi, ale nabił mięsną kulkę na widelec i włożył do ust. Czoło nadal miał zmarszczone, lecz w kącikach ust czaił się uśmiech. Mama poklepała go po ramieniu i wróciła do kuchni.

Tato zauważył, że Jessie przygląda mu się z drugiej strony stołu, więc mrugnął do niej porozumiewawczo. Odpowiedziała uśmiechem i oboje nabrali pełne widelce spaghetti.

Smak ulubionego dania przyjaciela tylko wzmógł jej melancholię. Pomyślała o całej ich czwórce, tak bardzo ze sobą związanej, a także o Beau, gdzieś tam w świecie wiernie towarzyszącemu swojemu panu. I nawet o swojej mamie, która niedługo wróci z pracy do pustego i ciemnego domu.

Szyby w oknach, za którymi panowała kompletna ciemność, zadrżały pod naporem burzy.

A tu w środku była jego rodzina. Przyjaciele. Światło, ciepło, gorące spaghetti i ludzie pomagający sobie nawzajem. Mama pomogła tacie, namawiając go do jedzenia. A on pomógł jej, jedząc. Choć czuli się zagubieni i zrozpaczeni, mimo to nieśli sobie pomoc.

Nawet jeśli tego nie chcieli.

Nawet jeśli nikt na to nie liczył.

Usłyszała koniec prognozy pogody w wiadomościach: „...W większej części stanu został ogłoszony stan zagrożenia. W górach odnotowano rekordowo niskie temperatury i opady śniegu. Zostańcie w domu z rodzinami. Podczas takiej burzy to najlepsze rozwiązanie. Do zobaczenia później, Rebecca”.

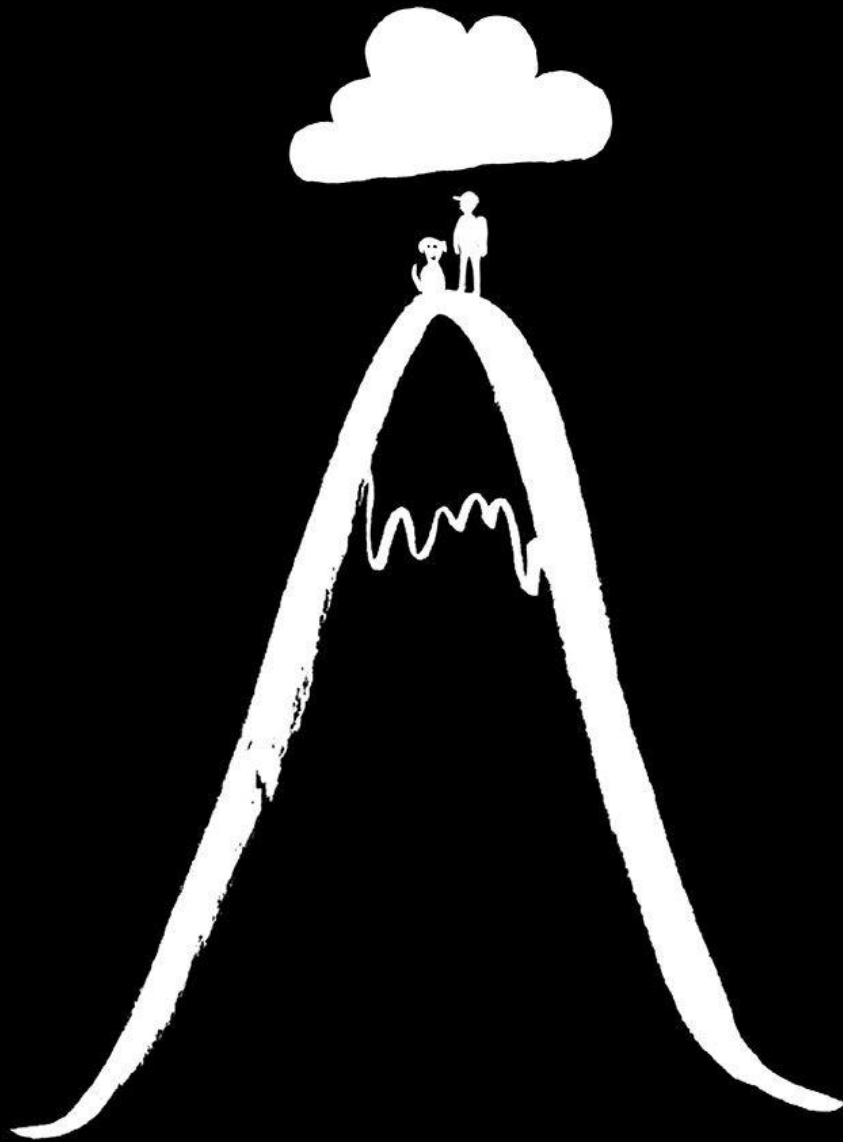
Ciepłe łzy wezbrały w oczach Jessie. Powstrzymała je, mrugając gwałtownie. Musiała być silna.

Wstała od stołu.

Dzięki za obiad – rzekła.

Pójdę do domu.

Rozdział 12



Do pokonania 11 km

*Cały świat to wiatr.
Śnieg i mróz otacza mnie.
Nadchodzi ciemność.*

Trząśłem się już tak gwałtownie, że aż bolało, i co chwilę się potykałem, bo zupełnie straciłem czucie w stopach. Wiatr przenikał przez ubrania, choć włożyłem na siebie wszystko, co miałem: kurtkę na polar, polar na sweter, sweter na koszulkę. Ale to nie wystarczało. Wicher był potworem o lodowych pazurach, które zatapiał głęboko w moim ciele i nie chciał puścić.

Beau dzielnie brnął przez śnieg, choć czasami zapadał się w nim po brzuch i musiał skakać, żeby ruszyć dalej.

Mój świat robił się coraz mniejszy i coraz głośniejszy. Skurczył się do zamrożonego cienistego kręgu śniegu. Czasami podmuch wiatru na chwilę rozwiewał chmury, dzięki czemu mogłem sięgnąć wzrokiem do śnieżnych grani i dalszych zwałów chmur. Ale głównie widziałem tylko śnieg pod nogami, własne stopy i psa, który dzielnie przy mnie trwał.

Tak, szedłem dalej, choć zupełnie nie wiem dlaczego. Chciałem dotrzeć na szczyt góry, której nawet nie widziałem. Byłem tak wycieńczony, że uniesienie stopy przy każdym kroku niemalże przerastało moje siły. Ale nie ustawałem.

Nie widziałem żadnego szlaku. Całkiem się zgubiłem, jednak nie przejmowałem się tym jakoś szczególnie. Szlaki są dla ludzi, którzy zamierzają wracać. Ja potrzebowałem tylko iść w górę.

– Nie poddam się! – krzyknąłem do wiatru, ale moje słowa zabrzmiały jak sapnięcie, jak kaszel. Były słabe i bezgłośnie, a wicher porwał je, zanim świat zdążył je usłyszeć. Tylko ja o nich wiedziałem, a przecież zamarzałem na śmierć.

Potknąłem się, bo moje mięśnie odmówiły współpracy. Próbowałem zrobić kolejny krok, lecz okazało się, że nie mogę. Usiłowałem podnieść nogę, ale ani drgnęła. Pomyślałem, że może gdzieś utknęła.

A potem usłyszałem skomlenie psa i zorientowałem się, że nie ma go obok mnie. Był za mną. Zapierał się wszystkimi łapami, zaciskając zęby na nogawce moich spodni.

– Puś mie... – powiedziałem. Przestraszyłem się, słysząc, jak bełkotliwie brzmią moje słowa. Znow spróbowałem ruszyć nogą, ale on chwycił jeszcze mocniej. Zachwiałem się i upadłem na kolano. – So jes, piesu? – wysapałem. Zaskomlał znow, a potem wypuścił nogawkę po to tylko, by raz cicho szczeknąć.

Znałem to szczeknięcie. Tak informował, gdy ktoś nieznajomy podchodził do drzwi. Tak wyrażał niepokój, kiedy ciemną nocą usłyszał dźwięk, który mu się nie spodobał. Tak mnie ostrzegał.

Wydał to ostrzegawcze szczeknięcie, a potem znow chwycił mnie za spodnie.

Kłęcząc w śniegu, próbowałem złapać oddech i pomyśleć, ale ani jedno, ani drugie za bardzo mi nie szło.

W końcu uniosłem głowę, by spojrzeć przed siebie przez wirujące płatki śniegu i ujrzałem szczelinę lodową.

Szczeliny lodowe to chyba największe niebezpieczeństwo, jakie czyha na wspinaczy. Najprościej mówiąc, jest to gigantyczne pęknięcie w śniegu i lodzie. Długi, wąski, poszarpany

kanion przecinający zbocze, który może być naprawdę niewiarygodnie głęboki. Zdarza się, że u góry ma zaledwie metr lub półtora szerokości, ale za to sięga setki metrów w głąb. Czasami przysypuje go śnieg, jakby góra zastawiła pułapkę. Jeśli wspinacz do niego wpadnie, prawie zawsze jest to koniec jego historii. Leci w dół w ciemność, a szczelina robi się coraz węższa i ciaśniejsza, aż w końcu utyka w niej, ściśnięty między dwiema lodowymi ścianami, bez szans na jakikolwiek ratunek. Umiera z zimna, głodu lub braku tlenu, uwięziony w czarnej lodowej trumnie. To największy lęk ludzi, którzy chodzą po górach.

A na Rainier jest mnóstwo szczelin lodowych.

I właśnie jedna z nich rozciągała się tuż przede mną. Miała może półtora do dwóch metrów szerokości, ale nie widziałem jej dna. Od wpadnięcia do niej dzielił mnie tylko jeden krok. Moje serce, i tak tłukące się mocno w piersi, zaczęło walić jak młotem. Z powodu śniegu, mroku i wyczerpania w ogóle nie zauważyłem rozpadliny. Wszedłbym prosto w nią, gdyby Beau mnie nie powstrzymał.

Usiadłem, z trudem oddychając i słuchając łomotu serca w uszach, i znów zerknąłem w oblicze śmierci. Było ciemne, zimne i bardzo bliskie.

Sięgnąłem w tył i niezręcznie poklepałem Beau przemarzniętą dłonią.

– Dobry piesek – wydyszałem, a on puścił w końcu moją nogawkę. Pochyliłem się i przytuliłem go, przyciągając mocno drżące ciało do siebie. – Dobry z ciebie pies, kolego. – Polizał mnie po brodzie zimnym i suchym językiem.

Zgrabiały mi dłońmi rozpiąłem kurtkę i polar, wpuszczając do środka lodowate powietrze, i wyjąłem aparat. Nie miałem już czucia w palcach, więc zimno mi nie przeszkadzało, dzięki czemu udało mi się unieść aparat i nakierować obiektyw w dół na rozdziawioną paszczę szczeliny. Była jak czekająca śmierć. Od tego uciekałem i ku temu zmierzałem. W gardle czułem twardą, zimną kulę. Zwolniłem migawkę i zrobiłem zdjęcie tej śmierci.

Sweter mi się podsunął i wiatr wgrzył się niczym wygłodniały wilk w odsłonięty brzuch. Opuściłem aparat na pierś, poprawiłem sweter i zapiąłem kurtkę. Mimo że klęczałem od kilku minut, nadal brakowało mi tchu. Moje płuca nie znajdowały tu dość powietrza, by normalnie oddychać.

Wyplątałem się z pasków plecaka i położyłem go na śniegu przed sobą. Nie czułem palców dłoni i choć próbowałem kilka razy, nie udało mi się chwycić przywieszki zamka. W końcu złapałem ją w zęby i ciągnąłem plecak rękami, aż udało mi się go otworzyć.

W środku nie zostało wiele poza notesem. Kilka prawie zamarzniętych bananów, snickers, butelka wody z warstewką lodu u góry, paczka psich przysmaków.

Rozdarłem torebkę zębami i wysypałem chrupki na śnieg. Beau rzucił się na nie i połknął w mig, głośno miażdżąc zębami. Wgryzłem się w skórkę pierwszego banana i udało mi go obrać, po czym pochłonąłem go w kilku kęsach. Czułem mdłości, a żołądek miałem zupełnie skurczony, ale rozpaczliwie potrzebował pożywienia, więc zatrzymał owoc. Odgryzłem kawałek snickersa razem z opakowaniem. Był prawie całkiem zamarznięty, ale mimo to słodki, słonawy i przepyszny. Po pierwszym gryzie wyplułem kawałki papierka. Wyschnięte usta niemalże całkiem mi się skleiły od czekolady i karmelu, ale nie przestałem jeść, dopóki baton nie zniknął. Smakował tak cudownie, że niemal się uśmiechnąłem.

Potrząsałem butelką, aby połamać warstwę lodu, i napiłem się wody, choć paliła mnie w gardło. Resztą napoiłem Beau, lejąc ją drżącą strużką, z której chleptał krople, zanim spadły na śnieg. Miałem nadzieję, że mu to wystarczy.

Spojrzałem w górę ponad szczeliną, przed którą piesek mnie uratował. Śnieżycy nadal szalała. Słońce, gdziekolwiek było, całkiem już zniknęło. Noc skradała się wśród burzy.

Jednak gdy wstałem, poczułem, że odzyskałem siły w nogach. Nie wiem, czy dzięki

odpoczynkowi, czy posiłkowi – ale byłem gotów iść dalej.

– Ruszamy, Beau – wyspałem, wkładając plecak, który już prawie nic nie ważył. Został mi tylko notes, ołówek i kawałek liny. Niewiele tego.

Odwróciłem się i ruszyłem w bok, wzdłuż rozwartej szczeliny. Była czarna, a wiatr upiornie w niej zawodził. Biegła zygzakiem ukośnie do stoku, raz szersza, raz węższa i wyglądała na wygłodniałą. Cały czas kontrolowałem ją kątem oka. Beau szedł po mojej drugiej stronie, z dala od rozpadliny, też zerkając na nią niespokojnie.

Z każdą chwilą świat robił się coraz ciemniejszy i ciemniejszy, jakby mrok wyciekał ze szczeliny lodowej i unosił się w górę przez wirujący śnieg, by zapełnić niebo. Krok za krokiem mdłe światło niknącego słońca zastępował srebrny blask nocy. Walczyłem z wstrząsającymi mną dreszczami i szedłem bez ustanku.

W końcu dotarłem do miejsca, w którym rozpadlina zwężała się do wąskiego pęknięcia, mającego jakieś pół metra szerokości. Jeden długi krok albo krótki skok. Spojrzałem w górę stoku i zauważyłem, że dalej szczelina znów się rozchodzi. Znajdowałem się po niewłaściwej stronie i nie wiadomo, jak długo musiałbym iść, żeby obejść całą przepaść. Może kilka kilometrów, a czas raptownie mi się kończył.

– No dobra – powiedziałem, opadając na kolana. – Musimy przejść tutaj. – Beau zapiszczał i przestąpił z łapy na łapę. Ziewnął szeroko i zastępował na śniegu. – Przykro mi, kolego, ja też nie mam na to ochoty, ale musimy to zrobić. Taka to prawda.

Zdjąłem plecak i przrzuciłem na drugą stronę. Wydawało się, że to całkiem niedaleko.

Szczelina była może wąska, lecz nadal głęboka. Wychyliłem się i zobaczyłem tylko niebieskie ściany znikające gdzieś w czarnej czeluści. Próbowałem przełknąć ślinę, ale albo wyschła zupełnie, albo zamarzła.

Wysunąłem jedną stopę do przodu tak, że palce wystawały troszkę za krawędź. Beau za moimi plecami warknął, a potem warkot przeszedł w żalosne skomlenie. Nie zareagowałem na to. Kolana mi się trzęsły coraz bardziej, więc nie zastanawiając się dłużej, odepchnąłem się stopą z całą siłą, jaka pozostała mi w mięśniach, i wyrzuciłem drugą nogę w przód. Otwarta czarna paszcza lodu mignęła pode mną, a potem wylądowałem po przeciwnej stronie i poślizgnąłem się na zamrożonym śniegu. Udało mi się przedostać przez rozpadlinę i przez chwilę leżałem wyczerpany, ciesząc się z tego wyczynu.

– Dobra, Beau, chodź! – zawołałem do psa. – Odwróciłem się i uklęknałem. – Naprzód, piesku! Dasz radę! To niedaleko!

Beau nadal przestępował z łapy na łapę. Skowyczał i biegał tam i z powrotem po śniegu, drżąc na całym ciele.

– To nic strasznego, piesku! Nie patrz w dół! Tylko skacz do mnie, Beau! No chodź, Beau! Hop!

Ostrożnie podszedł do groźnej rozpadliny. Znów zaskomlał, kładąc uszy i podwijając pod siebie ogon. Przednimi łapami podkradł się do samej krawędzi. Przysiadł na tylnych nogach i opuścił zadek gotów do skoku. Spojrzał na mnie tymi swoimi pełnymi ufności oczami.

Nie ogarniam tego: dlaczego ten pies mi zaufał i po raz kolejny gotów był pójść za mną wszędzie po tym, jak go zaprowadziłem w góry w taką śnieżycę. Taka to prawda.

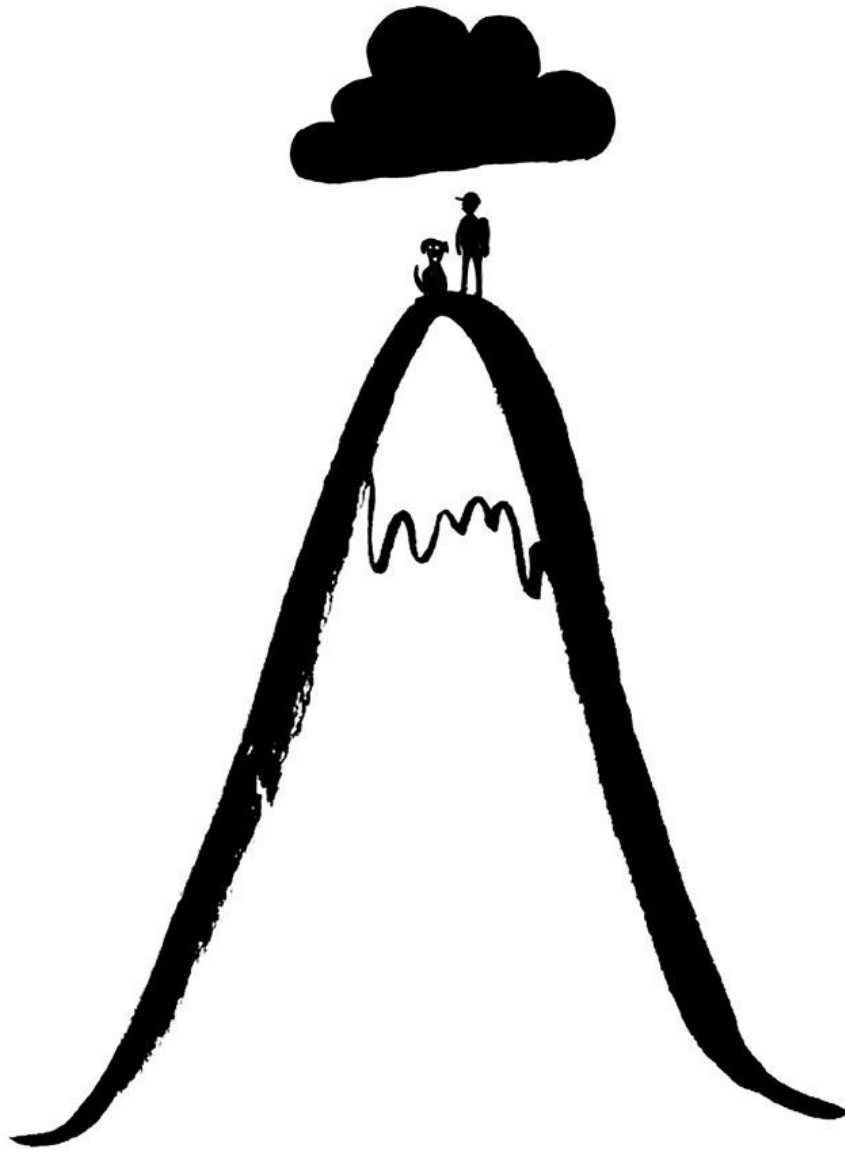
Beau wyskoczył, ale lewa jego łapa poślizgnęła się na lodzie, więc wybił się tylko z prawej.

Przednimi łapami przeskoczył rozpadlinę. Lecz tylnymi już nie sięgnął.

Przez sekundę trzymał się lodu pazurami, ale nie miał ich o co zahaczyć.

Po chwili zniknął za krawędzią lodowej szczeliny.

Rozdział 12¹/₂



*Pada czarny deszcz.
Na wargach smak cichych łez.
Strach. I samotność.*

Jessie chodziła od ściany do ściany po swoim pokoju.

Bez chwili przerwy.

Otaczała ją ciemność, w domu taka sama jak na dworze, bo dziewczynka nie włączyła światła. Musiała poradzić sobie sama ze zbyt wieloma rzeczami. Strachem. Samotnością. Świadomością tego, co zrobiła. I czego nie zrobiła. Wszystko to tłoczyło się wokół niej, aż przestało się mieścić w pokoju, więc gwałtownie otworzyła drzwi i pobiegła do wyjścia, a potem ulicą w zacinającym deszczu. Wyszła z domu Marka godzinę temu, a teraz biegła z powrotem pod wiatr.

Wpadła na frontowy ganek, ale zanim zdążyła zapukać, drzwi otworzyły się i stanęła w nich mama Marka.

– Jess! Miałam właśnie iść po ciebie, bo nie odbierałaś telefonu. Ktoś zadzwonił!

– Co?

– Ktoś zadzwonił na linię alarmową. Wiemy, gdzie jest Mark.

Mama zawahała się. Nie uśmiechała się, w jej oczach nie było blasku, a twarz znaczyły cienie troski.

– Tak? To dobrze, prawda? Dobrze?

Kobieta spojrzała nad jej głową w zacinający deszcz i smagający wiatr. Przygryzła dolną wargę.

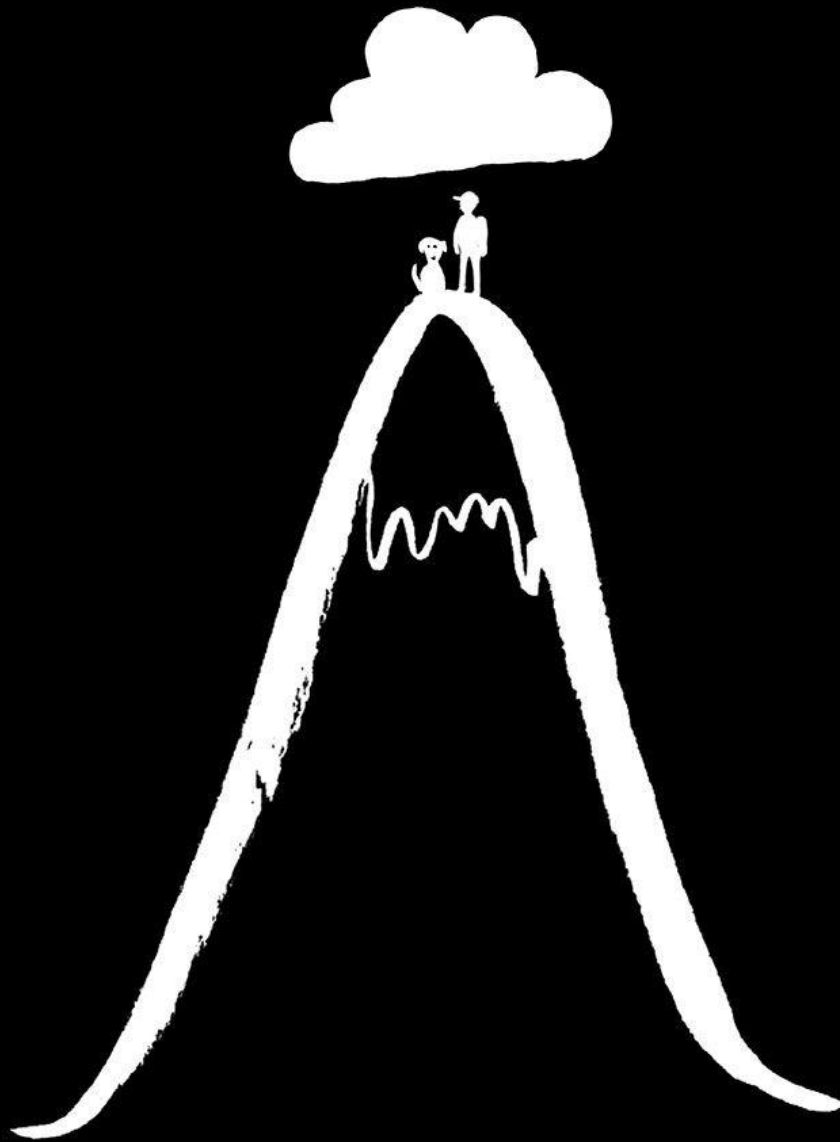
– Nie, kochanie. Niedobrze.

Deszcz zalewa twarz.

Płuca walczą o oddech.

Nadzieja zgasła.

Rozdział 13



Do pokonania 9 km

Skoczyłem naprzód, kiedy Beau jeszcze trzymał się pazurami lodu. Upadłem na twarz dokładnie w chwili, gdy jego nos zniknął za krawędzią rozpadliny. Pojechałem kawałek na brzuchu, wyprężając ramiona i wyciągając ręce w stronę psiaka. Lód pod moim policzkiem był twardy jak asfalt.

Nie zdążyłem nawet krzyknąć.

Dłonie, osłonięte grubymi rękawicami, miałem tak zgrabiałe, że ledwo poczułem, jak ciało Beau się między nimi przesuwają. Z całą energią, jaka mi jeszcze pozostała, zacisnąłem palce w żelaznym uścisku, modląc się, bym zdołał go pochwycić.

Ręce miałem tak przemarznięte, że zupełnie straciłem w nich czucie, ale jedno ramię mnie zabolowało. Zapiękło od wysiłku wywołanego utrzymaniem sporego ruchliwego ciężaru. Złapałem mojego przyjaciela!

Oderwałem policzek od lodu. Bolące ramię chowało się za krawędzią aż po bark. Wychyliłem się i ujrzałem Beau zwisającego nad ciemnością i śmiercią. Czubkami trzech pozbawionych czucia palców ledwo trzymałem go za obrożę.

Piesek wiercił się i miotał, przerażony i podduszony. Wykręcał się i szarpał, a ja poczułem, że jeszcze chwila, a wysunie się z obroży i przepadnie na zawsze.

Pociągnąłem, sapiąc z wysiłku. Aparat, który miałem na szyi, wbijał mi się w pierś jak kamienna pięść. Moje palce już całkiem omdlewały.

– Dam radę, Beau! – jęknąłem. – Utrzymam cię! Nie poddam się! – Pies cały czas wiercił się i wyrwał. – Wystarczy mi sił! – Zacząłem go wyciągać, centymetr po centymetrze udręki. Mięśnie ramienia wrzeszczały z bólu. Powiew wiatru naparł na mnie niczym rozjuszony byk.

Moje trzy palce, słabe i pozbawione czucia, w końcu puściły.

– Nie! – wrzasnąłem, gdy piesek wyslizgnął się z mojego uchwytu i zanurkował w morderczą ciemność rozpadliny.

Nasze spojrzenia spotkały się na chwilę. Patrzyłem w oczy Beau, jedno brązowe i jedno zielone, a on spadał.

Czas się zatrzymał. Beau zawisł bez ruchu w powietrzu, a ja nadal wyciągałem do niego pustą dłoń. Cały świat zamarł. Zostałem na zawsze uwięziony w chwili odejścia mojego psa.

A potem zaczerpnąłem powietrza. I wypuściłem je. Beau nadal wisiał w powietrzu, wpatrując się we mnie. Podmuch wiatru zrzucił do szczeliny chmurę śniegu. A pies trwał zawieszony nad nieskończoną czernią.

To nie czas się zatrzymał, tylko Beau. Zamrugąłem i spróbowałem przebić wzrokiem mrok.

Mój piesek utknął w lodowej rozpadlinie.

Jej ściany zwężyły się do wąskiej szczeliny kilkadziesiąt centymetrów od krawędzi, a potem znów się rozszerzały. Beau tkwił w przewężeniu.

Moje serce stanęło.

Czytałem o tym. Zdarza się, że wspinacze wpadają do szczelin lodowych i klinują się między ścianami. Początkowo czują ulgę, że nie spadli na sam dół, ale potem ciepło ich ciała rozpuszcza lód i powoli ześlizgują się niżej. Znów go wytapiają i osuwają się głębiej. Szczelina robi się coraz węższa, oni zsuwają się niżej, a lód zaczyna ich ścisnąć, aż w końcu między ich tak, że nie mogą oddychać. A potem umierają, powoli zgniatani przez dwie ściany lodu.

– Nie – jęknąłem, spoglądając w oczy przyjaciela, wpatrzone we mnie z rozpaczą. – Nie!

Psy umierają. Ale nie mój pies! Nie w taki sposób.

Nie mój pies, który wyskoczył w ciemność, żeby przegnać wilki. Który wyciągnął mnie

z rzeki. Który wyruszył ze mną w góry w śnieżycę. Który próbował przeskoczyć śmierć, bo tak mu poleciłem. Mój pies...

Próbowałem go dosięgnąć, ale sprawa była beznadziejna. Utknął dobre dwa metry niżej, całkiem poza zasięgiem moich rąk. Zaskomlał, spróbował szczechnąć i ześlizgnął się jeszcze o kilka centymetrów.

– Nie ruszaj się, Beau! – krzyknąłem. I przypomniałem sobie o linie w plecaku, a także o ulubionej zabawie mojego psa w przeciągnięciu sznurka.

Rzuciłem się do tyłu, chwyciłem plecak, otworzyłem jednym pociągnięciem, wyjąłem zwinięty sznur i znów zanurkowałem w stronę rozpadliny. Owinąłem się liną kilka razy w pasie, tak by został dostatecznie długi luźny kawałek, a potem zawiązałem na końcu węzeł.

– Dobrze, kolego! – zawołałem do przerażonego psiaka. – Przeciąganie sznurka, pamiętasz? Chcesz się pobawić? – Beau znów zaskomlał i osunął się kilka kolejnych koszmarnych centymetrów. Wbiłem kolana w twardey śnieg najmocniej, jak się dało, i rzuciłem koniec z węzłem do rozpadliny.

Pomachałem liną przed pyskiem Beau, ale nie złapał jej. Potrząsałem sznurem przed jego nosem, a on odwracał łeb w drugą stronę.

– No, Beau! Łap! Szarpiemy się! – Głos miałem wysoki i spanikowany. Brzmiał dziwnie w moich uszach, jakby krzyczał jakiś obcy dzieciak. Beau osunął się jeszcze niżej w szczelinie. Mięśnie mi drżały, a żołądek wywracał się i buntował. Oczy wypełniły się gorącymi łzami. – Teraz, Beau! – pisałem. – Łap, piesku! Łap linę! Proszę, złap ją.

Sznur prowokacyjnie podskakiwał mu przed nosem i wreszcie Beau kłapnęła szczęką, chwytając go. Poczulem, jak jego ciężar napiął linę owiniętą dookoła mojego pasa.

– Tak! Dobry piesek! Dobry piesek! Trzymaj mocno!

Zacząłem ciągnąć. Początkowo nawet nie drgnął, ale nic nie zmusiłoby mnie do rezygnacji. Wychyliłem się do tyłu i Beau wyrwał się ze śmiertelnego lodowego uścisku. Wyciągałem go ręką za ręką, plecy i ramiona mnie piekły, ale nie zwalniałem ani na sekundę. Beau zaciskał zęby na linie, a ja modliłem się, żeby ani na chwilę nie puścił. Gdy był już prawie na górze, jakieś trzydzieści centymetrów od krawędzi, wstałem ostatnim wysiłkiem woli i padłem na plecy.

Głowa i przednie łapy Beau pojawiły się nad krawędzią lodu. Widziałem między swoimi stopami, jak drapie pazurami lód. Szarpnąłem linę resztką sił i psiak, nadal ze sznurem w pysku, wyleciał z rozpadliny prosto na moją pierś.

Leżałem na plecach, spazmatycznie wydychając resztki powietrza. Beau otrząsnął się, zapiszczał i położył się na mnie, swoim ciężarem wyciskając ostatnie pozostałości tlenu z moich płuc, ale go nie zepchnąłem. Mocno objąłem ramionami mojego pieska, przytuliłem i zamknąłem oczy.

– Prawie cię straciłem, kolego – wysapałem w jego futro, a on zamerdał ogonem. – Przepraszam – powiedziałem, nim szloch ścisnął mi gardło. – Bardzo cię przepraszam.

Gdy wypowiedziałem te słowa na głos, nie było już odwrotu. Zanurzyłem twarz w oszronionej sierści mojego psa i zapłakałem, a potężne łkanie wstrząsnęło nami oboma. Próbowałem zaczerpnąć tchu między szlochami, lecz powietrze było tak rzadkie, że niewiele to dawało. Więc sapałem i płakałem, połykając łzy. Oplakiwałem tak wiele rzeczy.

W końcu pociągnąłem nosem, zadrżałem i zsunąłem Beau z siebie. Przetoczyłem się na brzuch i uklęknałem. Otarłem rękawem łzy, żeby nie zamarły mi na twarzy. Otaczała mnie wyjąca ciemność. Była jak cień stopy olbrzyma wzniesionej tuż nad moją głową. Klęczałem w mroku i chłodzie, patrząc w górę i mrużąc oczy, by nie zasypywał ich gęsty śnieg.

I wtedy stało się to, na co czekałem.

Wiatr zawył głośniej, siekąc mnie śniegiem po twarzy.

A potem zapadła martwa cisza. Spokój jak we śnie. Zadymka ustała, zasłona chmur rozstała się i pojawiła się ona: wielka, piękna i tak bliska, że mógłbym wyciągnąć rękę i jej dotknąć.

Kłęczałem w śniegu, zewsząd otaczała mnie śmierć, i patrzyłem na moją górę.

Nie byłem sam, bo oczywiście Beau był przy mnie. A góra przede mną. Biała i lśniąca, niewiarygodnie jasna w blasku księżyca. Wstrząsająca, nieporuszona biel na tle czerni burzowego nieba nocą.

Rainier jest niesamowitą górą. Gniewną i dumną. Wydaje się niemalże, że rzuca wyzwanie niebu.

Otworzyłem usta, a moje serce opadło głęboko w lodową szczelinę i wróciło, wzlatując wysoko.

Szarpnąłem zdrętwiałymi palcami zamek kurtki, po czym rozchyliłem ubrania, wyciągnąłem aparat i uniosłem w stronę tego, czego szukałem. Nie wiedziałem, czy tak wielka góra zmieści się w małym kadrze. Ale wycelowałem obiektyw i nacisnąłem migawkę.

Nawet nie miałem pewności, czy zrobiłem zdjęcie. Może mój palec w rękawiczce, kompletnie pozbawiony czucia, nie wcisnął migawki do końca. A może cała elektronika w aparacie już dawno przestała działać przez ostry mróz. Ale uniosłem aparat i spojrzałem przez mały kwadratowy wizjer na górę, którą przyszedłem odnaleźć i zdobyć.

Dziwne, że coś może wyglądać równocześnie na tak bliskie i tak odległe. Jakbym mógł wyciągnąć rękę i dotknąć góry, ale też iść dzień po dniu i nie dotrzeć do niej nigdy.

Odetchnąłem i położyłem dłoń na głowie psa, który jak zawsze stał u mego boku.

– Nie chcę umierać – powiedziałem. Spojrzałem na niego i dodałem przez łzy: – Nie chcę umierać, Beau. Nie tutaj. – Gdy tylko to powiedziałem, głośno w ciemnościach wobec potężnej góry, złość i samotność, które mnie dręczyły, rozwiały się jak chmury otaczające szczyt.

Przypomniała mi się kelnerka w barze tej pierwszej ponurej nocy z dala od domu. To, jak próbowała mi pomóc, a ja się na nią złościłem. Chciałem do niej wrócić. Pomyślałem o tej serdecznej kelnerce i uniosłem stopę, a potem postawiłem ją na śniegu.

Pomyślałem o chłopaku, który mnie pobił. O jego spojrzeniu, gdy zobaczył moją łysą głowę, i o tym, że zostawił mi pieniądze. Może i należały do mnie, ale byłem nieznajomym z zakrwawioną twarzą, a on jednak coś mi dał, choć nie musiał. Postawiłem drugą stopę na śniegu i wstałem.

Pomyślałem o trzech aniołach śpiewających o poranku swoje pieśni w gorącej kuchni. Przypomniałem sobie ich głosy i niemalże usłyszałem je, poczułem zapach jedzenia, które wcisnęły mi w ręce, i postąpiłem krok do przodu.

Nie, nie do przodu. W tył. Krok w dół zbocza, w stronę domu.

Pomyślałem o małej Shelby jadącej autobusem na spotkanie z tatą. Zranionej i złej, ale mimo to chętnej, by się zaprzyjaźnić z dziwnym chudym dzieciakiem na siedzeniu za nią. Dwa kolejne kroki, chwiejne, ale nadal w dół. Beau, dygocząc, szedł obok mnie.

Pomyślałem o kierowcy autobusu, który uważał, że jestem oszustem, ale był gotów poświęcić swój prywatny czas i odwieźć mnie do domu. Wykonałem kolejny krok.

Pomyślałem o Wesleyu. O jego utraconym synu, który zginął daleko od domu. O kanapce, muzyce w radiu, zapachu dymu papierosowego i jego spojrzeniu, gdy mnie zostawiał. O tym, jak powiedział: „Bo to dotyczy nas wszystkich”, i szedłem dalej.

Pomyślałem o rodzicach. O długich nocach w różnych szpitalach. O cichym płaczu, kiedy myśleli, że śpię. O dzielnych uśmiechach, by podnieść mnie na duchu. Rozmyślałem o tym wszystkim i tęskniłem za nimi.

Pomyślałem o Jess. Przyjaciółce najlepszej z najlepszych. Wiernej towarzysze o najcieplejszym uśmiechu, która potrafiła siedzieć przy moim łóżku bez słowa. Po prostu ze mną być. I dochować tajemnicy. Przypomniały mi się ostatnie słowa, które wykrzyczała, gdy odkładałem słuchawkę telefonu: „Potrzebuję cię!”.

Na szczęście Beau nie musiałem wspominać, ponieważ nadal szedł, sapiąc, obok mnie. Przyjaciel, który jest ze mną zawsze i wszędzie. Wyciągał mnie z lodowatych rzek i ostrzegał przed rozpadlinami, których nie zauważyłem. Skakał nad śmiercią, żeby pozostać przy mnie.

Nie czułem się już samotny w górach. Ani odrobinę. Czułem, że oni wszyscy mnie otaczają. Wydawało mi się, że mogę odbyć tę wyprawę sam. Ale nie mogłem. I wcale już nie chciałem.

Nie istnieje coś takiego jak „sam”. Taka to prawda.

Oddychałem najgłębiej, jak potrafiłem – z szeroko otwartymi ustami niczym ryba na dnie łodzi – mimo to w płucach czułem pustkę. Nie wystarczało mi tlenu, żeby odetchnąć. Ale szedłem nadal.

Wędrowałem wzdłuż szczeliny, bo nigdy w życiu nie kazałbym Beau znów przez nią skakać. Postanowiłem iść w dół zbocza i dotrzeć aż do miejsca, w którym się kończy, a potem ją obejść. Najważniejsze, że droga wiodła w dół.

Nie było mi już zimno. Wiatr nadal mnie trącał i szarpał brutalnie, i wpychał się przez rękawy aż do szyi. Śnieg ciągle kąsał mnie po twarzy. W stopach, rękach i nosie straciłem czucie. Ale nie było mi zimno.

I nie byłem zły.

Ani odrobinę.

Nagle to ogarnąłem: ogarnąłem wszystko. Schodząc z tej góry, stawiając jeden niepewny, słaby krok po drugim w głębokim śniegu, zrozumiałem wszystko. Pomyślałem o całej mojej chorobie, złości, strachu. O wszystkim, co było ciemnością i burzą. Zagubiłem się w tym. Zapomniałem, że zawsze istnieje druga strona burzy. I ludzie, którzy nas przez nią przeprowadzą.

Cały świat jest burzą i wszyscy się czasami w niej gubimy. Szukamy szczytów skrytych w chmurach, które nadadzą życiu jakąś wartość, jakby to miało znaczenie. Czasami udaje nam się je zobaczyć. A potem idziemy dalej.

Szedłem więc dalej.

Być może trwało to wiele godzin, nie mam pojęcia. Wiem tylko, że robiło się coraz ciemniej i cieplej, a ja wciąż szedłem. Wiatr tak przybrał na sile, że niemal zwiewał mnie ze zbocza, ale nie ustawałem. Z trudem utrzymywałem myśli w głowie, lecz maszerowałem bez przerwy.

Aż w końcu przestałem iść.

Podczas tej ostatniej długiej wędrówki wzdłuż rozpadliny cały czas się potykałem i wywracałem, właściwie co kilka kroków. Mimo to wstawałem i ruszałem dalej. Lecz nadszedł moment, w którym potknąłem się, upadłem w śnieg wśród wyjącego wiatru, i już się nie podniosłem.

Przez jakiś czas nawet nie zauważyłem, że nie wstałem. Z zimna, wyczerpania i braku tlenu w powietrzu mój mózg już dawno przestał sprawnie funkcjonować. Szedłem bezmyślnie niczym zombie, prowadzony tylko wizją twarzy z przeszłości. Dopiero kiedy poczułem, jak Beau trąca mnie nosem, zamrugałem i zorientowałem się, że leżę. Na moim wyciągniętym ramieniu osiadła już spora warstwa śniegu, więc musiałem tak leżeć od kilku minut.

Mrużąc oczy, wbiłem wzrok w ciemność. Kawalek dalej poprzez śnieg dostrzegłem głębszy cień. Był to nawis, niewielka skała z wgłębieniem poniżej. Dźwignąłem się na czworakach.

– Muszę odpocząć – wyjaśniłem pieskowi, choć wargi miałem tak zeszywniałe z zimna, że zabrzmiało to jak niewyraźne mamrotanie. – Tylko chwilę.

Zapisał w odpowiedzi równie słabiutko, jak ja mówiłem.

Ruszyłem na czworakach w stronę zagłębienia.

Beau szedł ze mną tak blisko, że niemalże wciskał się pod mój brzuch.

Kocham tego psiaka.

Tuż pod nawisem znalazłem miejsce, w którym nie wiało. Najprawdopodobniej nadal panował mróz, ale ja już od dawna go nie czułem. Wydawało mi się, że jest tu przytulnie, spokojnie i cicho. Beau zwinął się u mojego boku i położył mi głowę na piersi. Drżał cały, więc objąłem go ramieniem.

Przyszło mi na myśl, by wyjąć notatnik, ale to nie miało sensu. Nie byłbym w stanie policzyć sylab ani utrzymać ołówka w palcach. I może nie miałem już nic więcej do powiedzenia.

Próbowałem wydobyć aparat spod warstw ubrania, ale straciłem czucie już nie tylko w palach, lecz także w przedramionach i ramionach. Leżałem w ciemnościach, oddychając płytko zimnym powietrzem.

Mrugałem powiekami przez dłuższą chwilę, a przez moją głowę przepływały wspomnienia. I twarze. Wszystkie dobre rzeczy. To one przetrwały burzę. Uśmiechnąłem się w ciemnościach.

– Prawie mi się udało – wymamrotałem do Beau, choć nie byłem nawet pewien, czy chodzi mi o wejście na szczyt, czy powrót do domu.

W pewnej chwili obudziłem się z drgnieniem i zauważyłem, że pieska nie ma u mojego boku.

Usiadłem i rozejrzałem się, ale otaczały mnie tylko ciemność, wichura i śnieg. Nie było przy mnie Beau.

Pies mnie opuścił.

Przełknąłem gorące łzy i upadłem w śnieg.

Przecież taki był plan. Miałem wspiąć się na górę i nie wrócić, a gdybym zginął, Beau powinien znaleźć drogę powrotną. Był psem, do tego mądrym. Będzie wiedział, kiedy mnie zostawić, pójdzie z powrotem po naszych śladach do ludzi, którzy mu pomogą. Tak to zaplanowałem.

Mimo to było mi ciężko i źle, że mnie zostawił. Źle, że zostawił mnie całkiem samego. Lecz chciałem, by sobie poszedł. Chciałem, by przeżył. Taka to prawda.

– Do widzenia, kolego – szepnąłem w burzę. Z moich ust chyba nie wydobył się żaden dźwięk, choć wargi się poruszyły. – Powodzenia. Kocham cię, Beau.

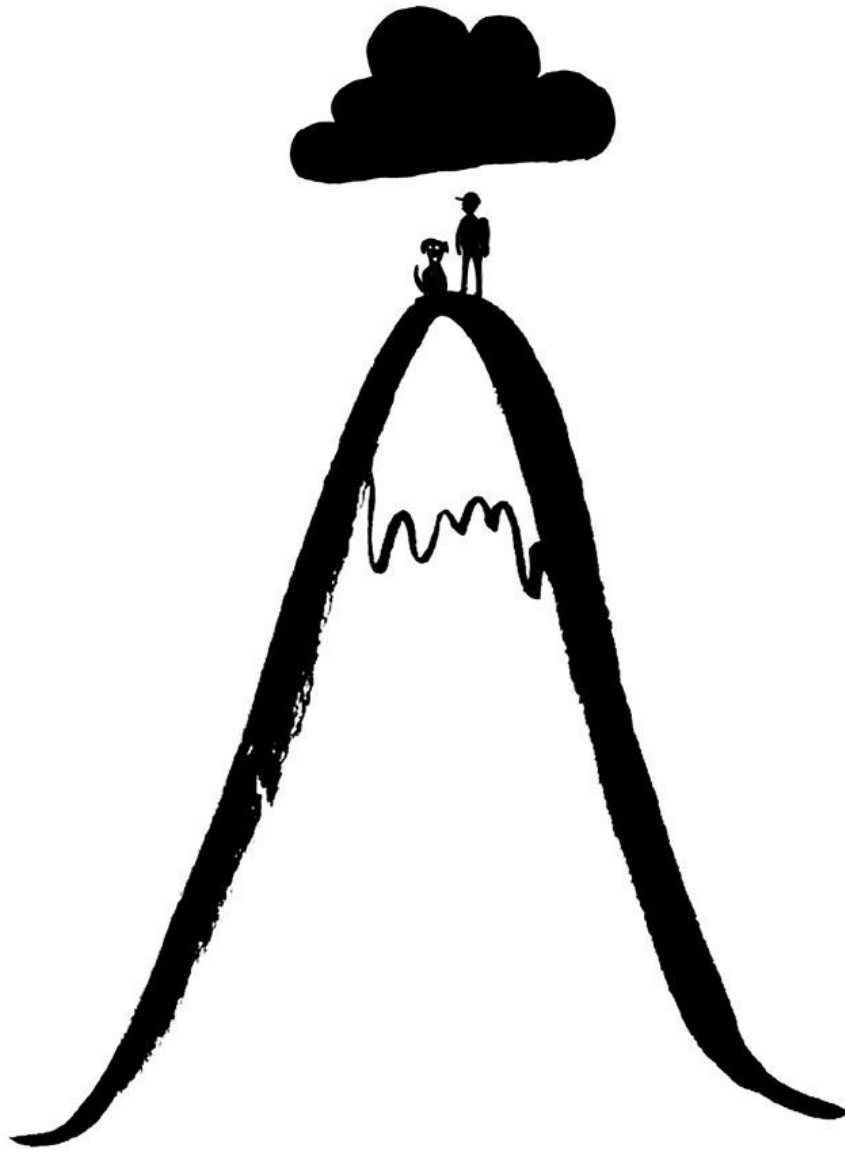
Wiatr i ciemność zamknęły się nade mną.

Zostałem sam. Nie, tak naprawdę wcale nie.

Na mojej zziębniętej twarzy pojawił się uśmiech, gdy myślałem o piesku zbiegającym na dół w otwarte ramiona, pomocne dłonie, ciepłe miejsca. Wróci do Jess, do mamy i taty, którzy są tak daleko. I tak blisko, właściwie tuż przy mnie. Uśmiechnąłem się mimo zimna.

I zamknąłem oczy, by umrzeć.

Rozdział 13¹/₂



*Dni poza czasem.
Tydzień trwający wieczność.
Przyjaciel wrócił.*

Po tym, gdy ratownicy odnaleźli Marka na górze Rainier, Jessie miała wrażenie, że wpadła w jakiś szalony wir wydarzeń. Kamery, lekarze, dziennikarze, policja, rodzice Marka, którzy traktowali ją, jakby należała do rodziny. Pojechali razem przez śnieżycę w góry, podążając drogą, którą pokonał Mark do Seattle. Mama nie odkładała telefonu ani na moment, bo ciągle dostawała nowe wiadomości od policji stanowej, koordynatora grupy ratowniczej, służb Parku Narodowego. Natychmiast przekazywała wszystkie wieści mężowi i Jessie.

Ratownicy wyruszyli na górę w czasie rozszalałej śnieżycy, mimo ciemności i zagrożeń, i znaleźli chłopca w małym zagłębieniu pod śnieżnym nawisem. Tak bliskiego śmierci, że byli pewni, iż umarł.

Ale nie, nie całkiem. Jeszcze nie.

Z powodu śniegu zalegającego na drogach przetransportowali go do szpitala w Seattle helikopterem ratowniczym.

Jessie i jego rodzice pojechali prosto do szpitala, do którego weszli w eskorcie policji i wśród krzyków reporterów. Mark leżał w łóżku przerażająco blady, śmiertelnie wychudzony, podłączony do płataniny rurek, pompek i popiskujących maszyn. Nie ruszał się. Lekarze przedstawili im całą litanię jego dolegliwości: odmrożenia, odwodnienie, wyczerpanie, hipotermia, wstrząs. Rak.

Ta wyprawa go wykończyła. Brak snu, niedożywienie, stres, brak leków. Jego organizm zaczął się rozpadać.

Leżał w śpiączce przez wiele dni, a oni mogli tylko siedzieć przy nim, czekać i słuchać lekarzy.

– To cud, że w ogóle żyje – powiedział jeden doktor, a Jess niemalże mu przyłożyła.

– To żaden cud! – miała ochotę krzyknąć. – Nie powinien nawet być chory!

Ale bicie i krzyczenie nic by nie zmieniło, a nie chciała, żeby ją wyproszono ze szpitala. Musiała zostać przy Marku, czuwać u jego boku.

I była przy przyjacielu, gdy w końcu się obudził. Jego powieki drgnęły, chłopiec lekko się poruszył, otworzył oczy i spojrzał na nią. Była z nim sama w pokoju, bo rodzice wyszli na korytarz, żeby porozmawiać z kolejnym lekarzem.

Uśmiechnął się słabo.

– Hej, Jess...

Jessie otworzyła usta, ale z jej płuc nie wydobyło się powietrze. Jakby było za rzadkie. Wzrok jej się zmącił.

– Czy ja umarłem? – zapytał, lecz nie wyglądał na wystraszonego.

Jessie pokręciła głową.

– Nie – odpowiedziała prawie bezgłośnie.

– Och – westchnął Mark, cicho, miękko i tylko z lekkim zdziwieniem. Jego zielone oczy były bardzo spokojne, wilgotne i jasne, a głowa wydawała się rażąco łysa na tle bieli poduszki. – To dobrze.

I tyle. „Och. To dobrze”.

A potem nagły mrok przesłonił jego oczy. Chłopiec uniósł głowę z poduszki.

– A co z Beau? Żyje?

Jess odwróciła wzrok i spojrzała na słońce za oknem, myśląc o Beau.

A potem opowiedziała wszystko przyjacielowi.

Opowiedziała o tym, że ktoś zadzwonił na linię alarmową i poinformował, że Mark wyruszył z Centrum Turystycznego Raj na górę Rainier. Ratownicy pospieszyli go szukać mimo śnieżycy, choć tak naprawdę nie mieli nadziei, że w taką pogodę uda im się znaleźć jednego małego chłopca na tak wielkim obszarze. Lecz około kilometra od parkingu zauważyli, że schodzi w ich stronę mały brązowo-czarny piesek o oczach w różnych kolorach. Zupełnie przemarznięty i drżący. Cały czas czekał. Próbowali go złapać, ale piesek uciekał, prowadząc ich niezamierzony w górę.

Ruszyli więc za trzęsącym się pieskiem, który brnął dzielnie przez głęboki śnieg. Nawet gdy zszedł ze szlaku, zaufali intuicji i podążyli za nim.

Jess opowiedziała Markowi, że Beau zaszczekał, żeby ostrzec ratowników przed zabójczą czarną szczeliną lodową. Zawahał się tylko chwilę, nim ją przeskoczył, prawie tam wpadając.

Dotarli za niezwykle przewodnikiem prosto do miejsca, w którym leżał skulony Mark, niemalże zamrożony na śmierć. Piesek kulał całą drogę powrotną do swojego chłopca i padł koło niego, opierając brodę na zamrożonych rękawiczkach Marka.

Beau go nie zostawił, wyjaśniła mu, tylko poszedł po pomoc. I sprowadził ją.

Mark nawet nie próbował ocierać łez z policzków.

– Jess, czy on to przeżył? Nie zginął?

Jess pociągnęła nosem, wytarła oczy i uśmiechnęła się.

– Nie – odpowiedziała i zaśmiała się. – Żyje. Nie mogli go od ciebie oderwać i musieli go nieść na noszach razem z tobą. Weterynarz jest w szoku. Twierdzi, że to niemożliwe, by Beau przetrwał to wszystko. – Chwyciła Marka za rękę. – Ale on musiał przetrwać, żeby cię uratować.

Być może psy umierają. Ale przyjaźń nie. Zwłaszcza jeśli jej się na to nie pozwoli.

Mark był skrajnie wychudzony i wyczerpany, ale w oczach dawno nie miał tyle życia. Odnalazł coś na tej górze. I wciąż to zachował.

– Czy jest dla niego jakaś szansa? – zapytali jego rodzice lekarza w obecności Jessie, kiedy ich syn spał. Trzymali się za ręce. – Czy może jeszcze pokonać chorobę?

Doktor wzruszył ramionami, ale było to pogodne wzruszenie.

– Rzekłbym, że potrzeba cudu – odpowiedział – ale ten chłopiec ma spore dokonania w cudotwórstwie. Jestem gotów postawić na niego swoje oszczędności.

Starali się nie dopuszczać do Marka kamer i reporterów, ale niestety stanowił gorący temat. Dzieciak z rakiem, który uciekł z domu. Umierający chłopiec, który chciał się wspiąć na górę. Niektórzy uważali go za głupca, inni za bohatera. Za to wszyscy chcieli usłyszeć jego historię, lecz poznała ją tylko jedna osoba. Tylko ona dowiedziała się wszystkiego.

Przez te dni w szpitalu, które złożyły się na tygodnie, Jessie siedziała nieustannie przy łóżku przyjaciela.

– Chcę ci wszystko opowiedzieć – wyznał. – I chcę, żebyś to ty przekazała moją historię.

Jess pokręciła głową.

– Nie... nie umiem.

Uśmiechnął się.

– Owszem, umiesz. Tylko ty możesz to zrobić. Zawsze dobrze sobie radziłaś z pisaniem.

– Jego uśmiech zbladł. – Chcę, żebyś to zrobiła, Jess, zanim wszystko zapomnę. – I dodał ciszej:

– Albo gdybym nie przeżył. Musisz to zrobić.

I Jessie oczywiście się zgodziła. Niektórym prośbom się nie odmawia.

Tak więc opowiedział jej o wszystkim w tym szpitalnym pokoju. Kartkowali dziennik zmoczony przez śnieg, czytając wierszyki, które zapisał, i oglądali zdjęcia, które zrobił.

Jess ujrzała rozbity zegarek na peronie kolejowym, a Mark wyznał jej, jaki był wtedy wściekły: na swoje życie i na czas, który mu ucieka.

Zobaczyła okna brudnego małego baru, pełne światła w ciemnym mieście i Mark opowiedział, jaki czuł się tam chory, przerażony i zły – nawet na kobietę, która okazała mu serdeczność.

Potem było rozmazane zdjęcie uniesionej pięści i wściekłej twarzy, patrzącej prosto w obiektyw, a Jess wysłuchiwała o bólu, ciosach, pieniądzech zostawionych przez chuligana, i o piesku, który był gotów walczyć z całym światem, by chronić swojego chłopca.

Następnie Mark pokazał jej fotografię korytarzyka kończącego się zaparowaną kuchnią, w której pracowały trzy kobiety, a potem odbicia tysego zakrwawionego chłopca w łazienkowym lustrze, i opowiedział o anielskich głosach oraz trudnej decyzji, by iść dalej.

Później Jess zobaczyła ujęcie małej dziewczynki w autobusie oraz Marka, w czapce i z uśmiechem, na tle rozmytego świata za oknem. Przyjaciel opowiedział jej o haiku i gniewie oraz o wniosku, że złość ma dla człowieka sens tylko wtedy, gdy nie widzi niczego poza nią.

Ujrzała psa śpiącego przy ognisku na zalanej deszczem wyspie zagubionej w ciemnościach. Mark zwierzył jej się z refleksji na temat strachu, przyjaźni i źródła ciepła w chłodzie. Światła w mroku.

Później zobaczyła tylne czerwone światła zielonej ciężarówki, która odjeżdżała, a przyjaciel opowiedział jej o utraconych synach, którym nie można pomóc, o muzyce country i dylematach dobrego człowieka, niemogącego się zdecydować, co jest słuszne.

Jej oczom ukazała się ziejąca czarna rozpadlina, czekająca, by pochłonąć umierającego chłopca i jego psa. Dowiedziała się, jak pies uratował swojego chłopca, a potem chłopiec psa.

W końcu ujrzała górę: wspaniałą, majestatyczną, piękną. I usłyszała o spokoju. O miłości. O tym, jak wszystko może nabrać sensu i stać się zrozumiałe.

Wśluchiwała się uważnie w każde słowo, martwiąc się, czy będzie umiała wszystko to przekazać, ale wiedziała, że musi sobie poradzić. Bo poprosił ją o to przyjaciel.

Mark nie spytał, czy zdradziła jego tajemnicę. Nie wypytywał policjantów ani rodziców o telefon na linię alarmową: czy usłyszeli schrypnięty głos starszego mężczyzny, czy przestraszony głos dziewczynki. Ale wiedział, że był tylko jeden telefon. I to wystarczyło. Dwie osoby wiedziały, jedna zadzwoniła. Obie próbowały mu pomóc na swój sposób.

W ciągu tych długich dni w szpitalu Mark i Jess mówili sobie wyłącznie prawdę. Może poza jednym wyjątkiem.

To było już pod koniec opowieści u schyłku długiego dnia. Godziny wizyt prawie się skończyły, a Mark był bardzo zmęczony, głos miał już słaby i cichy. Nagle zaskoczył Jess pytaniem.

– Byłem blisko? – zapytał. – Blisko szczytu? Chciałem się na niego wspiąć. Dostać się na sam szczyt. Byłem blisko?

Dziewczynka ścisnęła dłoń przyjaciela.

– Tak – odrzekła po kilku pełnych napięcia chwilach milczenia. – Tak, byłeś blisko.

Istnieje nie tylko jeden rodzaj prawdy. Jest prawda, którą da się zmierzyć, prawda map, wykresów i encyklopedii. Być może w ujęciu tej prawdy Mark nie dotarł na szczyt. Może nawet nie zbliżył się do niego. Może zgubił się, zбочył ze szlaku i nie znalazł się nawet w pobliżu żadnego szczytu.

Ale wobec innej prawdy, tej, którą odczuwa się głębiej, prawdy map się nie liczą. W jej ujęciu wychudzony chłopiec trawiony chorobą i jego mały brązowy piesek o jednym oku

brązowym i jednym zielonym dotarli znacznie dalej, niż można się było spodziewać. Dotarli dalej, niż mogą to zmierzyć umysły i mapy, ale nie dalej, niż może wymarzyć serce.

Według tej prawdy Markowi się udało: dotarł na szczyt każdej góry.

To, co powiedziała Jessie, nie było kłamstwem, lecz lepszym rodzajem prawdy.

Tego wieczoru w pokoju hotelowym dziewczynka postanowił zacząć spisywać historię przyjaciela, tak jak ją prosił. Wyjęła notes oraz ołówek i spróbowała znaleźć właściwe słowa.

„Mark był chory” – rozpoczęła, ale nie zabrzmiało to dobrze. W ogóle nie było trafne. Beau siedział przy niej, przytulając się ciepłym ciałem do jej nogi. Na ogół zwierzęta nie miały wstępu do tego hotelu, lecz dla niego zrobiono wyjątek.

„Mark był tak chory, że musiał odejść” – spróbowała znów. Nie!

„Mark...” – zaczęła na nowo, ale natychmiast to skreśliła. Zrozumiała, że nie może opowiadać jego historii z dystansu. Musiała ją przedstawić w jego imieniu. Ta opowieść zasługiwała na to. On na to zasługiwał.

Wydarła kartkę z notatnika i rzuciła ją na podłogę.

Przygryzła wargę i wstrzymała oddech.

Po chwili wiedziała już, co robić, a gdy zaczęła, nic nie mogło jej powstrzymać, dopóki właściwie nie opowiedziała historii swojego najlepszego przyjaciela i jego psa. Taka to prawda.

Przyłożyła czubek ołówka do kartki i zaczęła pisać.

„Góra mnie wzywała” – brzmiało pierwsze zdanie. „Musiałem uciec. Po prostu musiałem”.

PODZIĘKOWANIA

Jestem bardzo szczęśliwy i wdzięczny, że podczas mojej literackiej podróży otrzymałem tyle wsparcia od tak wielu osób. To grono jest zbyt liczne, bym mógł nawet zacząć wymieniać nazwiska, ponieważ nie wybaczyłbym sobie, gdybym kogokolwiek pominął. Zamiast tego mówię więc: Dziękuję Wam wszystkim. Każdemu, kto pomógł, zachęcał, pocieszał i wierzył we mnie przez te wszystkie lata. Czy jest to żona, czy córki, przyjaciele z dzieciństwa, ze studiów, z lat dorosłych, teściowie czy rodzice, rodzeństwo, współpracownicy, nauczyciele, agenci, redaktorzy, wydawcy, studenci, szefowie, kuzyni, ciotka, wuj, dziadkowie, graficy, członkowie klubu pisarskiego, organizatorzy konferencji literackiej czy ktokolwiek inny, kto stał po mojej stronie podczas całego tego przedsięwzięcia: dziękuję. A gdybyście się zastanawiali, czy zauważyłem, czy pamiętam i doceniam, odpowiedź brzmi: tak. Właśnie tak. Dziękuję.

fot. Kathryn Stevens



Dan Gemeinhart

mieszka w samym środku stanu Washington w USA razem z żoną i trzema córeczkami. Kocha swoją pracę nauczyciela i bibliotekarza w szkole podstawowej. Uwielbia jeździć na wycieczki, gotować i podróżować. Gra na gitarze (niezbyt dobrze) i czyta (nieustannie). W domu zawsze ma bałagan. I jest naprawdę szczęśliwym człowiekiem.

„Wzruszająca, wspaniała powieść, która sprawia, że chce się objąć głównego bohatera i mocno go przytulić”.



Mark jest zwykłym trzynastolatkiem.

Ma najlepszą przyjaciółkę o imieniu Jessie i ukochanego psa. Mark lubi robić zdjęcia i pisać haiku, a także marzy o tym, by kiedyś wspiąć się na pewną górę. Jednak pod jednym bardzo ważnym względem Mark różni się od swoich rówieśników. Jest poważnie chory na tyle poważnie, że połowę życia spędza w szpitalach, poddawany różnym terapiom. Mimo to nikt nie potrafi powiedzieć, czy chłopak ma szansę na wyzdrowienie.

Zmęczony tym wszystkim Mark postanawia spełnić swoje marzenie, choćby miała to być ostatnia podróż, o jakiej uda mu się dokonać.



Wyposażony w aparat fotograficzny oraz zeszyt opuszcza dom, aby z psem u boku zdobyć szczyt góry Rainier. Bo nigdy nie jest za późno na przygodę życia.



